

# Amos Oz

Wzgórze Złej Rady



CYKLADY

# Amos Oz

## Wzgórze Złej Rady

*Z hebrajskiego przetoczyła*

Agnieszka Jawor-Polak



Wydawnictwo Cyklady • Warszawa 2009

# Wzgórze Złej Rady

## I

Panował mrok. W ciemności kobieta powiedziała: – Nie boję się. Mężczyzna odpowiedział: – Boisz się, i to bardzo. Inny mężczyzna rzucił: – Ciszej tam.

Potem zapalono przyćmione światła po bokach sceny, kurtyna się podniosła i zapadła cisza.

W maju czterdziestego szóstego roku, w rocznicę zwycięstwa aliantów, Komitet Narodowy urządził wielki bankiet w sali kina Edison. Ściany zdobiły flagi Anglii i ruchu syjonistycznego. Na przedzie sceny stały wazony z pękami mieczyków. Zawieszono transparent z biblijnym cytatem: „Pokój niech panuje w murach Twoich, o Jeruzalem, a spokój w twoich pałacach!”<sup>1</sup>

Gubernator Jerozolimy wszedł na scenę energicznym krokiem i wygłosił krótkie przemówienie. Wtrącił lekki żarcik, odczytał kilka strof Byrona. Po nim wstał Mosze Szertok, by po angielsku i hebrajsku wyrazić odczucia społeczności żydowskiej. W obawie przed akcją podziemia rozstawiono w rogach sali, przy wejściach i koło sceny angielskich żołnierzy w czerwonych beretach, z pistoletami maszynowymi w rękach. Z łoży spoglądał w dół wyprężony jak struna Wysoki Komisarz sir Alan Cunningham ze skromną świtą złożoną z kilku dam i oficerów. Damy trzymały w dłoniach lornetki. Chór pionierów w błękitnych koszulach odśpiewał pieśni na cześć pracy: rosyjskie pieśni, w których podobnie jak w sercach publiczności nie było radości, lecz tęsknota.

Po występie chóru wyświetlono film. Czołgi Montgomery’ego mknęły przez Pustynię Zachodnią, wzbijając tumany kurzu, miażdżąc gąsienicami okopy i zasieki, kalecząc ostrzami anten szare pustynne niebo. Salę wypełnił huk dział i melodia gromkiego marsza.

W połowie filmu przez łożę honorowe przeszedł lekki szmer.

Projekcję nagle przerwano. W sali zapaliły się wszystkie światła. Ktoś podniesionym głosem strofował czy też pospiesznie wydawał komuś polecenie: pilnie potrzebny był lekarz.

Natychmiast poderwał się siedzący w dwudziestym dziewiątym rzędzie ojciec. Dopiął pod szyją swoją białą koszulę, szepnął Hillelowi, żeby zajął się mamą i uspokoił ją, dopóki sytuacja się nie wyjaśni, i niezwłocznie ruszył przez tłum w kierunku schodów, jakby z narażeniem życia rzucał się na pomoc ludziom uwięzionym w płonącym domu.

Okazało się, że zasłabła lady Bromley, szwagierka Wysokiego Komisarza. Twarz lady była równie biała jak jej długa suknia. Ojciec przedstawił się zwięźle przedstawicielom władzy i umieścił na swoim ramieniu wiotką rękę damy. Delikatny jak księżę wobec Śpiącej Królowej powiódł lady Bromley do damskiej garderoby, gdzie usadził ją na wyściełanym taborecie i podał szklankę zimnej wody. Trzech wysokiej rangi urzędników angielskich w strojach wieczorowych pospieszyło za nim. Stanęli w półkolu za pacjentką i podtrzymywali jej głowę, gdy z trudem przełykała niewielki łyk. Niemłody pułkownik w mundurze sił powietrznych wyjął z jej białej torebki wachlarz, rozłożył go ostrożnie i wachlował twarz damy.

---

<sup>1</sup> Psalm 122.7. Wszystkie cytaty biblijne pochodzą z wydania Brytyjskiego i Zagranicznego Towarzystwa Biblijnego, Warszawa 1975 – przyp. tłum.

Lady otworzyła zmęczone oczy. Przez chwilę z lekką ironią spoglądała na ludzi krzątających się wokół niej. Była bardzo stara, koścista, o ostrych ptasich rysach, cienkim spiczastym nosie i ustach zaciśniętych w złośliwym, niechętnym grymasie.

– A więc, doktorze? Co będzie? – rzucił pułkownik szorstko.

Ojciec zawahał się nieco, przeprosił dwukrotnie i nagle podjął decyzję. Nachylił się i pięknymi szczupłymi palcami rozluźnił tasiemki ciasnego gorsetu. Lady Bromley poczuła ulgę. Zasuszoną dłonią o wyglądzie kurzej łapki poprawiła rąbek sukni. Zaciśnięte wargi rozchyliły się lekko w pokracznym uśmiechu. Dama założyła stare nogi jedną na drugą i odezwała się wrogim metalicznym głosem:

– To przez ten klimat.

Jeden z wysokich urzędników zagaił uprzejmie:

– Droga pani....

Ale lady Bromley zignorowała go. Niecierpliwie zwróciła się do ojca:

– Zechce pan łaskawie, młody człowieku, pootwierać wszystkie okna. To też. Niech pan wypuści trochę powietrza. Miły z pana chłopiec.

Mówiła do niego w ten sposób, bo ojciec w białej koszuli opadającej na spodnie w kolorze khaki, z niedopiętym kołnierzykiem, w biblijnych sandałach wyglądał jak służący, a nie jak lekarz. Młodość lady upłynęła wśród małą, ogrodów i fontann w indyjskim mieście Bombaju.

Ojciec bez słowa protestu otwierał okno za oknem.

Napłynęło wieczorne jerozolimskie powietrze, a z nim zapachy kapusty, sosen i śmieci.

Ojciec wydobyl z kieszeni niewielki pakiecik z Kasy Chorych, bardzo ostrożnie oderwał rozek wzdłuż linii przerywanej i podał lady Bromley tabletkę aspiryny. Nie wiedząc, jak po angielsku wymówić słowo „migrena”, zaakcentował je po niemiecku. Zapewne w tym momencie jego niebieskie oczy za okrągłymi szklami okularów zajaśniały optymizmem i ciepłem.

Kilka minut później lady kazała się zaprowadzić z powrotem do łoża honorowej. Jeden z urzędników zapisał sobie w notesie nazwisko i adres ojca, powściągliwie wyrażając wdzięczność. Wymienili uśmiechy. Po chwili wahania urzędnik wyciągnął rękę i uściśnął ojcu dłoń.

Ojciec wrócił na swoje miejsce w dwudziestym dziewiątym rzędzie, między żoną a synem. Powiedział:

– Nic się nie stało. To przez ten klimat.

Światła w sali pogasły. Znowu ukazał się widzom generał Montgomery. Ścigał bezlitośnie generała Rommla po całej pustyni. Ekran wypełniały tumany kurzu i ogień, pokazano z bliska, jak Rommel z całej siły zagryza wargi. W tle ekstatycznie popiskiwała kobza.

Na koniec odegrano hymny, brytyjski i syjonistyczny. Bankiet dobiegł końca. Ludzie opuszczali salę kina Edison, udając się do swoich domów. Na Jerozolimę spadł gwałtownie zmierzch. W oddali widać było łyse wzgórza, a na nich samotne wieże. Dalekie zbocza usiane były chatami. Zaułki wypełniły cienie i szelesty. Całe miasto uległo bolesnej tęsknocie. W oknach zapalały się pierwsze światła elektryczne. Nastąpiło pełne napięcia oczekiwanie, jakby w każdej chwili mógł się rozlec nieznan, nowy dźwięk. Ale ze wszystkich stron dochodziły wyłącznie znajome odgłosy, kobiece utyskiwanie, skrzypienie żaluzji, wrzask roznamietnionego kocura wśród podwórzowych śmietników. I gdzieś bardzo daleko dzwon.

W pustym zakładzie fryzjerskim samotnie stał przy oknie właściciel, piękny bucharski Żyd w białym fartuchu, i golił się, nucąc pod nosem. W tym czasie skrzyżowanie przeciął angielski dżip, wyposażony w karabin maszynowy w połyskującej miedzią uprząży z taśm nabojoych.

Samotna staruszka siedziała na drewnianym stołku przed ciasnym sklepikiem papierniczym. Jej dłonie, pobrużdżone jak ręce tynkarza, spoczywały ciężko na kolanach.



Gasnące promienie słońca tworzyły nad jej głową aureolę, a wargi poruszały się bezgłośnie. Ze sklepienia dobiegał głos innej kobiety:

– *S'iz a pszute zach, s'iz a szlechte zach*<sup>2</sup>.

Staruszka nie odpowiedziała i nie poruszyła się.

Pod maglem Ernpreisa podszedł do ojca pobożny żebrak, poprosił o dwumillówkę, a otrzymawszy ją, gniewnie podziękował Bogu, powykłinał na Agencję Żydowską i końcem laski przepędził bezpańskiego kota.

Na wschodzie rozdzwoniły się dzwony, napływały dźwięki i wysokie, i głucho, były dzwony prawosławne, anglikańskie, greckokatolickie, abisyńskie, łacińskie, ormiańskie, jakby miasto nawiedziła zaraza albo pożar. Tymczasem dzwony chciały tylko nazwać wreszcie noc nocą. Od północnego zachodu, może od morza, powiał lekki wietrzyk, poruszył wierzchołkami ozdobnych drzew, które magistrat zasadził w górnej części ulicy Malachiasza, musnął kędzierzawą czuprynę chłopca. Był wieczór. Niewidoczny ptak wydawał dziwny, uporczywy trzel. Szczeliny w kamiennych murach porastał mech. Rdza rozpełzła się po starych żeliwnych żaluzjach i balustradach balkonów. Bardzo spokojnie stała Jerozolima w gasnącym świetle dnia.

W nocy znów zbudził chłopca atak astmy. Ojciec przyszedł boso uśmierzyć cierpienie dziecka piosenką:

*Drzemie kózka i baranek  
I ty też oczęta zmrucz.  
Ucichł nawet wiatr figlarny,  
Jerozolima śpi już.*

Nad ranem rozszczękały się szakale w wadi u podnóża dzielnicy Tel Arza. Za ścianą sublokator Mitia zajęczał przez sen: – Zostawcie go! On jeszcze żyje! Ja niiee znaaju! – i umilkł. Potem z oddali, od strony dzielnicy Sanhedria i arabskiej wioski Szu'afat, dobiegło pianie kogutów. O świcie ojciec włożył długie spodnie khaki, sandały, niebieską starannie wyprasowaną koszulę z szerokimi kieszeniami i wyszedł do pracy. Matka nadal spała, dopóki sąsiadki nie zaczęły tłuc z całych sił w pierzyny i materace. Wtedy wyszła z sypialni w jedwabnym szlafroku, podała dziecku jajko na miękko, kaszkę „Quaker” i kakao bez kożucha i rozczesła mu kędzierzawe włosy.

Hillel powiedział:

– Ja sam. Już.

Stary szklarz przeszedł ulicą, wołając: – Profersjonalny szklarz! Ameryka! Wszystko naprawi!

Dzieciaki krzyczały za nim: – Wariat!

Trzy dni później ojciec ze zdumieniem odebrał złożone podwójne zaproszenie na bal majowy w pałacu Wysokiego Komisarza na Wzgórzu Złej Rady. Na odwrocie karnetu kancelista dopisał po angielsku, że lady Bromley pragnie niniejszym przekazać doktorowi Kipnisowi wyrazy wdzięczności oraz najmocniej przeprosić, i że sam sir Alan łączy pozdrowienia.

Ojciec nie był prawdziwym lekarzem, tylko weterynarzem. Leczył bydło.

---

<sup>2</sup> Jidysz: Sprawa jest prosta, to nic dobrego.

## II

Urodził się i wychował na Śląsku. Słynny geograf Hans Walter Landauer był wujem jego matki. Młodość ojciec spędził w Lipsku, gdzie studiował w Instytucie Weterynarii. Specjalizował się w chorobach bydła regionów tropikalnych i subtropikalnych.

W trzydziestym drugim roku wyemigrował do Palestyny, by założyć w górach farmę. Był uprzejmym, małomównym młodzieńcem, marzycielem z zasadami. Marzyły mu się wędrówki z kijem i plecakiem po wzgórzach Galilei, chciał odkryć polanę w lesie, wyrąbać własnymi rękami drzewa, postawić nad strumieniem chatę z bali ze spadzistym dachem, poddaszem i piwnicą. Zamierzał zebrać pasterzy, zgromadzić stado bydła, we dnie wędrować na nowe odległe pastwiska, a noce spędzać wśród księżek w pokoju pełnym wypchanych jelenich łbów, pisząc dzieło naukowe lub wielki poemat.

Trzy miesiące przemieszkał w pensjonacie w miasteczku Jesud ha-Maala. Całymi dniami włóczył się samotnie po wschodniej Galilei, poszukując bawołów wśród bagien doliny Chula. Zeszczupłał, ogorzał od słońca, niebieskie oczy za okrągłymi szklami okularów wyglądały jak dwa jeziora w zaśnieżonym północnym kraju. Nauczył się lubić dalekie górskie pustkowia i zapach lata – wypalonych ostów, odchodów zwierzęcych, popiołu z ognisk, niosącego kurz wschodniego wiatru.

W arabskiej wsi Chalsa natknął się na pewnego ornitologa z Bawarii, mężczyznę samotnego, zagorzałego ewangelika, który wierzył, że powrót Żydów do ojczyzny zwiastuje zbawienie świata, i zbierał materiały do wielkiej pracy naukowej na temat ptaków Ziemi Świętej. Wypuszczali się razem na dalekie wędrówki, do doliny Mardż Ajun, do gór Naftalego i bagnistej doliny Chula. Kilkakrotnie docierali do odległych źródeł Jordanu. Spędzali tam cały dzień, siedząc w cieniu bujnej roślinności, wspólnie deklamowali z pamięci ulubione wiersze Schillera i określali właściwą nazwę każde zwierzę i ptaka.

Gdy ojciec zaczął się martwić, co będzie, kiedy się skończą pieniądze, które otrzymał od wuja swojej matki, słynnego geografa, postanowił pojechać do Jerozolimy i sprawdzić, jakie właściwie ma możliwości. Pożegnał się więc z samotnym bawarskim ornitologiem, spakował swój skromny dobytek i w jasny jesienny poranek zjawił się w biurze doktora Arthura Ruppina w Komitecie Narodowym.

Doktor Ruppin od pierwszej chwili polubił opalonego małomównego młodzieńca, którzy przyjechał do niego z Galilei. Przypomniawszy sobie, że w młodości uczył się o krajach tropikalnych z wielkiego atlasu geograficznego Landauera. Gdy ojciec przedstawiał mu plan założenia farmy bydła w górach Galilei, doktor Ruppin robił pospieszne notatki na małych karteluszkach. Ojciec zakończył słowami:

– Jest to zamysł niezmiernie trudny, lecz sądzę, że możliwy do wykonania.

Doktor Ruppin uśmiechnął się smutno:

– Możliwy, ale trudny do wykonania. Bardzo trudny.

I podał kilka przykrych faktów.

Przekonał ojca, by tymczasowo odroczył realizację swojego planu i zainwestował pieniądze w zakup młodego gaju cytrusowego koło osady Nes Cijona, a także niezwłocznie nabył niewielki dom w nowej dzielnicy Tel Arza, budowanej właśnie w północnej Jerozolimie.

Ojciec nie oponował.

Parę dni później Ruppin załatwił ojcu państwową posadę weterynarza, a nawet zaprosił go na kawę do swojego domu w dzielnicy Rechawia.

Przez kilka lat ojciec wstawał przed świtem i okopconymi autobusami wyruszał w teren do Betlejem, Ramalli, okolic Jerycha, Lod, aby z ramienia rządu doglądać wiejskiego bydła.

Gaj koło Nes Cijona zaczął mu przynosić skromny dochód, który wraz z częścią swojej pensji odkładał w Banku Anglo-Palestyńskim. Domek w dzielnicy Tel Arza wyposażył w łóżko, stół, szafę i regały na książki. Nad stołem zawiesił duży portret wuja swojej matki, słynnego geografa. Hans Walter Landauer spoglądał na ojca z wysoka nieufnie i z lekkim zdziwieniem, zwłaszcza późnym wieczorem.

Podczas swoich wędrówek po wsiach ojciec zbierał rzadkie gatunki ostów. Zgromadził kilka skamielin i trochę antycznych skorup. Posegregował je wszystkie z namysłem. I czekał.

Tymczasem słuch zaginał o jego matce i siostrach na Śląsku.

Z biegiem lat ojciec nauczył się trochę mówić po arabsku. Nauczył się samotności. Pisanie poematu odłożył na lepsze czasy. Każdego dnia dowiadywał się nowych rzeczy o tym kraju i jego mieszkańcach, a czasem także o sobie. Nie przestał marzyć o farmie bydła w Galilei, chociaż piwnica i poddasze zdawały mu się teraz zbędną dziecinadą. Pewnej nocy przemówił na głos do portretu wuja:

– Pożyjemy, zobaczymy. Jestem nie mniej uparty niż ty. Śmiejesz się, ale co tam. Śmieję się do woli. Proszę bardzo.

Nocami przy świetle lampki ojciec pisał dziennik, w którym wyrażał lęk o matkę i siostry, opisywał, jak cierpi z powodu chamsinów, wspominał o drobnych dziwactwach znajomych, pytał o sens tułaczki po zapomnianych przez Boga wsiach. Ostrożnie wysnuwał konkluzje ze swojej pracy. Przelewał na papier optymistyczne refleksje na temat postępów w różnych sferach poczynionych przez żydowską społeczność Palestyny. Ponadto po licznych skreśleniach sformułował kilka uwag za i przeciw samotności, a także wyraził nieśmiałą nadzieję na miłość, która pewnego dnia może i jemu się przytrafi. Następnie wyrwał ostrożnie tę ostatnią kartkę i podarł na drobne kawałki. Napisał też i opublikował w tygodniku robotniczym „Ha-Poel ha-Cair” artykuł zachęcający do picia koziego mleka.

Czasem pod wieczór odwiedzał w Rechawii doktora Ruppina, który częstował go kawą i ciastkami z kremem. Kiedy indziej bywał u swojego krajana, leciwego profesora Juliusa Wertheimera, mieszkającego w tej samej dzielnicy, po sąsiedzku z doktorem Ruppinem. Zdarzało się, że z dala dobiegały melancholijne, uporczywe dźwięki fortepianu, błagalne prośby, pełne rozpacz i dumy. Każdego lata płonęły skały na zboczach wzgórz, każdej zimy Jerozolimę spowijała mgła. Uchodźcy i pionierzy wciąż przybywali z najróżniejszych stron, wypełniając miasto zdumieniem i smutkiem. Ojciec kupił od nich trochę książek, w tym kilka pachnących skórą tomów w solidnej oprawie ze złoceniami. Od czasu do czasu wymieniał się nimi z doktorem Ruppinem lub profesorem Juliusem Wertheimerem, który zwykł witać go pospiesznym nieśmiałym uściskiem.

Czasami w któreś z wiosk Arabowie częstowali go chłodnym sokiem z granatów. Zdarzało się, że całowali go w rękę. Nauczył się pić wodę z glinianego dzbanka, przechylając go i nie dotykając wargami brzegu. Kiedyś jakaś kobieta posłała mu z dala mroczne palące spojrzenie, a on zadrżał na całym ciele i szybko odwrócił wzrok.

W swoim dzienniku napisał: „Mieszkam w Jerozolimie od trzech lat i wciąż za nią tęsknię, jakbym był nadal studentem w Lipsku. Czy to nie paradoks? A w ogóle – w tym miejscu ojciec skreślił kilka refleksyjnych, cokolwiek niejasnych zdań – jest tu mnóstwo sprzeczności i kontrastów. Wczoraj rano we wsi Lifta musiałem natychmiast zabić zdrowego, pięknego konia, bo jakieś chłystki w nocy wykłuły mu oczy gwoździem. Okrucieństwo dla samego okrucieństwa jest dla mnie jałowe i całkiem niepotrzebne. Tego samego wieczoru w kibucu Kiriath Anawim pionierzy puszczała gramofon suitę Bacha, aż poczułem wielką litość nad nimi, nad koniem, nad Bachem, nad sobą samym. Byłem o krok od łez. Jutro

urodziny króla i wszyscy pracownicy naszego wydziału dostaną identyczne okolicznościowe prezenty. Kontrastów jest mnóstwo. A i klimat nielekki”.

### III

Matka powiedziała:

– Włożę błękitną suknię z trójkątnym dekoltem i będę najpiękniejszą kobietą na balu. Zamówimy też taksówkę.

Ojciec odpowiedział:

– I nie zapomnij tam zgubić pantofelka.

Hillel wtrącił:

– Ja też chcę iść.

Ale dzieci nie bierze się na bal majowy w pałacu Wysokiego Komisarza. Nawet grzecznych dzieci. Nawet mądrych nad wiek. Bal na pewno nie skończy się przed północą. Dlatego spędzi wieczór u sąsiadki, pianistki madame Jabrowej i jej siostrzenicy Lubow, która każe się nazywać Biniaminą Ewen-Chen. Nastawią mu gramofon, dadzą kolację, pozwolą się trochę pobawić lalkami w strojach ludowych ze swojej kolekcji i położą go spać.

Hillel usiłował protestować:

– Ale muszę powiedzieć Wysokiemu Komisarzowi, kto ma rację.

Ojciec odrzekł cierpliwie:

– Racja jest po naszej stronie i Wysoki Komisarz z pewnością dobrze o tym wie, ale musi wypełniać wolę króla.

– Temu królowi to ja nie zazdroszczę, bo on jeszcze dostanie wielką karę od Boga, a wujek Mitia też o nim mówi król Kedorlaomer z Albionu, i mówi, że podziemie go złapie i rozstrzela za to, co zrobił tym, którzy uciekli z Europy – wyrzucił z siebie chłopiec jednym tchem.

Ojciec odpowiedział spokojnie, starannie dobierając słowa:

– Wujek Mitia czasem trochę przesadza. Król Anglii nie nazywa się Kedorlaomer, tylko Jerzy Szósty. Po nim wstąpi na tron prawdopodobnie któraś z jego córek, ponieważ król nie ma syna. Zabicie człowieka z przyczyn innych niż obrona własna to morderstwo. A wasza wysokość Hillel Pierwszy raczy teraz dopić kakao. A potem umyć zęby.

Matka, ze spinką do włosów w ustach i kolczykami z bursztynem w dłoniach, zauważyła:

– Król Jerzy jest bardzo szczupły i bladej. I zawsze ma smutną minę.

Pod koniec trzeciej klasy Hillel napisał na maszynie ojca list w trzech egzemplarzach i wysłał po jednym do króla w Londynie i do Wysokiego Komisarza: „Nasz kraj należy do nas zgodnie z zasadami Biblii i sprawiedliwości. Musicie natychmiast opuścić Kraj Izraela i wrócić do Anglii, nim będzie za późno”.

Trzeci egzemplarz natychmiast obiegł wzruszone sąsiadki. Pianistka madame Jabrowa zawyrokowała:

– Ten dzieciak to poeta!

Jej siostrzenica Lubow Biniamina dodała:

– I te loki! Jedną kopię trzeba koniecznie wysłać do doktora Weizmanna, niech się ucieszy.

Inżynier Brzeziński był zdania, że nie należy przesadzać, z pięknych słów nie powstanie dom. A od Geralda Lindleya, sekretarza, nadeszła zwięzła odpowiedź na papierze z emblematem rządu: „Pański list został potraktowany z należną uwagą. Zawsze bacznie słuchamy opinii obywateli. Z głębokim poważaniem”.



A jak płonęło w ogródku geranium w błękitnym świetle lata, jak chwytały to światło palczaste liście figowca na podwórzu, aż łamało się na niespokojne okruchy, jak słońce wczesnym rankiem wypadało zza Góry Skopus, by rzucić się wściekle na miasto, a złote i srebrne kopuły zmieniały się nagle w oślepiające kule ogniste, jak po wschodzie słońca ptaki wykrzykiwały radość albo rozpacz.

Błaszana rynna chłoneła ciepło i przyjemnie było jej dotknąć z rana. Biały i miły dla bosych stóp był czysty żwirek, którym ojciec posypał krętą ścieżkę, prowadzącą od schodów tarasu w dół, do ogrodzenia, do figowca, do końca ogrodu.

Ogród był nieduży, logicznie rozplanowany, utrzymany nienagannie. Dzięki marzeniom ojca kwadratowe i prostokątne rabatki wypełniły przestrzeń między plamami skał, tworząc samotną wyspę zdrowego rozsądku w pierwotnym krajobrazie, pośród kamieni, krętych dolin, chamsinów.

Wokół była dzielnica Tel Arza, garstka nowych domów z kamienia, rozproszonych samotnie na przypadkowym wzgórzu. W nocy podpełzną tu góry, po cichu zagarną dla siebie wszystko, domy, niepewne roślinki, nadzieje, piaszczystą drogę. Przyjdzie stado arabskich kóz, ogryzie i stratuje chryzantemy, narcyzy, lwie paszcze, mizerne zaczątki trawników. A pasterz, nieporuszony jak spalony słońcem cyprys, przyglądać się będzie w milczeniu żarłocznym bydłom.

Hillel całymi dniami patrzył na otaczające Tel Arza pasma pustych wzgórz. Czasem wyczuwał w radosnym zalewie błękitu, że gdzieś, w niewidocznych dolinach, już zbiera się jesień.

Przyjdzie jesień. Światło zszarzeje, przygaśnie. Niskie chmury uchwycą się gór. Wtedy wespnie się po gałęziach figowca aż na sam wierzchołek i stamtąd w jesiennym świetle zobaczy morze, pustynię, wyspy wśród rozdartych chmur, tajemnicze łądy, o których ojciec mu opowiadał rzeczowo, a matka ze łzami tęsknoty.

Ojciec mówił, że piękne kraje wypłyły nas ze ślepą nienawiścią, dlatego tu zbudujemy sobie kraj po stokroć piękniejszy. Ale matka nazywała Palestynę zaściankiem i mówiła, że nigdy nie będzie tu rzeki, katedry ani prawdziwego lasu. Wujek Mitia, sublokator, chichotał przez zepsute zęby i rzucał niezborne uwagi o bólach porodowych, drgawkach przedśmiertnych, Jerozolimie, która zabija swych proroków, klątwie bożej nad pustoszycielką – córą Babilonu. Wujek Mitia był wegetarianinem.

Z tych wypowiedzi Hillel nie mógł się zorientować, czy Mitia opowiada się po stronie ojca, czy też po stronie matki. To, co mówiła matka, wydawało się Hillelowi nie na miejscu, więc schodził na sam kraniec ogrodu, by ukryć się wśród gałęzi figowca i zgadywać zapach jesieni. Nadejdzie jesień. Jesienny smutek odprowadzać go będzie do szkoły, na lekcje muzyki u madame Jabrowej, do wypożyczalni książek „Odkupienie Syjonu”, towarzyszyć mu w nocy w łóżku, w jego snach. Na dworze rozpęta się burza, a on będzie pisał artykuł do gazetki klasowej. Słowa „prawdziwy las” użyte przez matkę, by wyszydzić Palestynę, dla niego miały w sobie dziwny, słotny czar.

## IV

Hillel był pulchnym, słabowitym chłopcem. Na końcu ogrodu, za figowcem albo w górze wśród gałęzi, miał kryjówkę, którą nazywał „skryjówką”. Zwykle się w niej chował, by podjadać ukradkiem lepkie słodczyce podarowane przez sąsiadki. Rozmyślał tam i wyobrażał sobie Afrykę, źródła Nilu, stada lwów w dżunglach.

Nocami, zwłaszcza na początku lata, budziły go ataki astmy. Chrypiał i dusił się, przez szpary w żaluzjach widział jakiś biały przeraźliwy kształt wykrzywiony w straszliwym uśmiechu i zaczynał płakać. Wtedy zjawiał się ojciec z niewielką latarką w rękę, siadał na

skraju łóżka i śpiewał mu piosenkę. Ciotki, sąsiadki i przedszkolanki uwielbiały chłopca, obcałowywały go z rosyjska, roztkliwiały się nad nim po polsku, nazywały go swoją wisienką. Czasem zostawiały na policzkach czy ustach Hillela soczyste ślady szminki. Były to kobiety bujnych kształtów i skore do wzruszeń. Na ich twarzach gościł grymas goryczy i pretensji. Zdawały się mówić: życie nie obeszło się ze mną z należą mi delikatnością.

Pianistka madame Jabrowa i jej siostrzenica Lubow, każąca się nazywać Biniaminą Ewen-Chen, uderzały w klawisze tak zdecydowanie, jakby tylko wrodzona szlachetność powstrzymywała je przed odpłaceniem życiu za krzywdy. Pani Wiśniak z apteki mamrotała Hillelowi na ucho, że małe dzieci są jedyną nadzieją narodu żydowskiego, a w szczególności jej samej. Czasem Hillel popadał w zadumę czy żal, a wówczas podnosił je na duchu słodkim zdaniem:

– Życie to krąg, krążymy w nim wszyscy.

Łzy wzruszenia napływały kobietom do oczu.

Ale dzieci z dzielnicy Tel Arza przeżywały go Galaretą. Szczupłe, niedobre dziewczyny, małe orientalne żmijki uwielbiały powalić Hillela na stertę żwiru i szarpać za jasne włosy. Na szyjach nosiły klucze i amulety. Pachniały przenikliwie orzeszkami pistacjowymi, mydłem, chałwą i potem.

Hillel zawsze czekał spokojnie, aż znudzi im się on i jego włosy. Wtedy wstawał, otrzepywał spodniki gimnastyczne i trykotowy podkoszulek ze żwirowego pyłu, oddech mu się skracał, oczy wypełniały łzami, zagryzał wargi i zaczynał wybaczać. Jakże szczytne wydawało mu się przebaczenie, przecież te dziewczyny nie rozumieją, co czynią, na pewno mają zgorzkniałych ojców i starszych braci piłkarzy albo przestępców, ich matki i siostry spotykają się angielskimi żołnierzami. Urodzić się taką dziewczyną to straszna rzecz. Jednej z nich pod przepoconą koszulką zaczęły nawet rosnać piersi. Hillel brał to pod uwagę, wybaczał, jego zdolność do rozumienia i wybaczenia sprawiała, że miłość własna wypełniała mu serce.

Potem uciekał do apteki pani Wiśniak, trochę płakał, choć nie z powodu zadrapań. Płakał nad gorzkim losem tych dziewczyn i własną wielkoduszością. Pani Wiśniak całowała go. Pocieszała lepkimi słodkościami. Opowiadała o młynie nad modrą rzeką, który dopiero co był, a już go nie ma. Hillel, starannie dobierając słowa, opowiadał jej sen z ostatniej nocy, sam go interpretował, opuszczał rozmarzoną aptekarkę i siedł na lekcję fortepianu w mrocznym i rzadko wietrzonym domu madame Jabrowej i Biniaminy. Pieszczoty, którymi obdarzyła go pani Wiśniak, Hillel oddawał dumnemu Beethovenowi z brązu, stojącemu na komódce. Przecież nawet Herzla wyzywano w dzieciństwie od wariatów. A Bialik obrywał od wszystkich.

Wieczorem, przed snem, Hillel jest zwykle proszony w piżamie do pokoju ojca. Pokój ten jest nazywany gabinetem. Są w nim regały z książkami, biurko, szklana gabłota, a w niej skamieliny i antyczne skorupy, zaś z góry, z sepiowej fotografii przygląda się temu wszystkiemu nieufnie słynny geograf Hans Walter Landauer.

Hillel ma wygłosić przy gościach kilka mądrych zdań. Jest całowany i odsyłany do swojej sypialni. Przez korytarz słychać zachwyty dorosłych, więc i on zachwyca się sobą w łóżku i zaczyna pieścić swój niewielki członek przez rozporek spodni od piżamy.

Potem, w ciemności, dolatują go dźwięki samotnej wiolonczeli Lubow Biniaminy i nagle czuje wstręt do samego siebie. W myślach nazywa się Galaretą. Ogarnia go żal i litość dla wszystkich mężczyzn i kobiet. W tym stanie zasypia.

– *Mamesz a mensz* – mówi pani Wiśniak. – Spryciarz. Urwis. Diabłątko. *Azój wi di gance miszpoche*.<sup>3</sup>

<sup>3</sup> Jidysz: Prawdziwy zuch (...) Jak cała rodzina.

Za niskim ogrodzeniem z żelaznych słupków i starej siatki, które zbudował i pomalował na jasne kolory ojciec, zaczynała się ziemia niczyja. Były tam pyliste, zawalone złomem place, gdzie trwał zapach ostów i odchodów zwierzęcych, dalej wadi z norami lisów i szakali, a jeszcze dalej w dole lasek, w którym dzieciaki znalazły kiedyś ogryzione kości tureckiego żołnierza pod stertą cuchnących szczątków janczarskiego munduru. Były też nieurodzajne zbocza rojące się od węży i zwinnych jaszczurek, a nocą może nawet od hien, zaś po drugiej stronie wadi – puste skaliste wzgórza i kolejne wadi, po których krążyli całymi dniami Arabowie w galabijach i ich stada. W oddali aż po horyzont ciągnęły się obce góry i obce wsie, minarety meczetów, Szu'afat, Nabi Samu'il, przedmieścia Ramalli. Był śpiew muezina porwany przez wiatr o zmierzchu, mroczne kobiety, gardłowo mówiący diabelnie przebiegli chłopcy. I ledwo wyczuwalne złe zamiary, odległe, nieskończenie cierpliwe, wiecznie czujne, choć niewidzialne.

Matka powiedziała:

– Kiedy ty, Hans, będziesz skakał jak miś na łańcuchu ze starą lady, ja w swojej błękitnej sukni będę siedziała sama w wiklinowym fotelu na końcu werandy, będę popijać martini drobnymi łyżkami i śmiać się w duchu. Ale potem też wstanę i porwie mnie do tańca gubernator Jerozolimy albo sam sir Alan. Wtedy przyjdzie twoja kolej na siedzenie w kącie i wcale nie będzie ci do śmiechu.

Ojciec powiedział:

– Przecież dziecko słucha i wszystko rozumie.

A Hillel:

– No i co.

Od sąsiada, inżyniera Brzezińskiego, ojciec pożyczył na bal angielski garnitur ze słynnych zakładów Szczupaka w Łodzi. Matka cały ranek przesiedziała w cieniu na tarasie, dopasowując garnitur do jego rozmiaru.

W południe ojciec przymierzył garnitur przed lustrem, wzruszył ramionami i stwierdził:

– Absurd.

Matka powiedziała ze śmiechem:

– Przecież dziecko słucha i wszystko rozumie.

A Hillel:

– No co, absurd to nie brzydkie słowo.

Ojciec powiedział:

– Żaden wyraz sam w sobie nie jest brzydki. Nieprzyzwoitość zazwyczaj kryje się za słowami lub między nimi.

Matka:

– Nieprzyzwoitość jest tu we wszystkim. Nawet w głębokich ideach, które wkładasz dziecku do głowy. Nawet w twoich uwagach. I to też absurd.

Ojciec nie odpowiedział.

W porannej gazecie „Dawar” napisano tego dnia, że polityka Białej Księgi to ślepy zaułek. Hillel w wyobraźni widział ten ślepy zaułek jak żywy.

Wegetarianin Mitia, sublokator rodziców, wyszedł od siebie boso i ruszył do kuchni zaparzyć sobie herbaty. Był to wysoki chłopak o suchotniczym wyglądem i przerzedzonych włosach. Ramiona miał obwisłe, kroki stawiał drobne, nerwowe. Miał dziwny zwyczaj przygryzać niespodziewanie brzeg kołnierzyka koszuli i gniewnie przesuwając dłonią po wszelkich napotkanych przedmiotach, takich jak stół, poręcz, regał, fartuch matki na wieszaku w kuchni. Mówił też sam do siebie. Poirytowany inżynier Brzeziński twierdził, że jeszcze pewnego dnia się okaże, że ten Mitia to niebezpieczny zakamuflowany komunista. Ale matka zaofiarowała się prać i prasować jego nieliczną garderobę wraz z ubraniami całej rodziny.

Mitia przydreptał do kuchni, gdzie zaczął wymachiwać ręką na wszystkie strony, jakby witał tłum ludzi. Nagle jego wzrok padł na słowa „ślepy zaułek” w nagłówku gazety „Dawar”, rozłożonej na przykrytym ceratą stole. Błysnął zepsutymi zębami i wycedził gniewnie: – Zgnilizna.

Potem, ściskając gorącą szklanekę w wielkich bladych dłoniach, wrócił zirytowany do swojego pokoju i zamknął drzwi na klucz.

Matka powiedziała łagodnie:

– Jak bezpański pies.

Po chwili milczenia dodała:

– Pięć razy dziennie myje się i polewa wodą toaletową, a mimo to czuć od niego nieprzyjemny zapach. Należałoby mu znaleźć dziewczynę. Może jakąś imigrantkę z gospodarstwa szkoleniowego dla kobiet, biedną, ale sympatyczną. Ty, Hans, idź się teraz ogolić. A Hillel – do lekcji. Co ja robię w tym domu wariatów.

## V

Matka jako młoda dziewczyna przyjechała z Warszawy studiować historię starożytną na uniwersytecie na Górze Skopus. Po niespełna roku miała serdecznie dosyć i kraju, i języka. Starsza siostra Niuta przysłała jej z Nowego Jorku bilet okrętowy na statek „Aurora” z Hajfy do Ameryki. Na parę dni przed wyjazdem doktor Ruppin przedstawił ją ojcu, pokazał mu jej piękne akwarele i po niemiecku wyraził żal, że także ta pani nas opuszcza, także ona uważa nasz kraj za nie do zniesienia i odpływa rozczarowana do Ameryki.

Hans Kipnis dłuższą chwilę przyglądał się akwarelom. Samotny ornitolog z Niemiec, towarzysz dalekich wędrówek do źródeł Jordanu, stanął mu nagle w pamięci. Delikatnie musnął krawędź jednego z obrazów, szybko cofnął rękę i nadmienił coś o samotności i marzeniach w ogóle, a w Jerozolimie zwłaszcza.

Matka uśmiechnęła się do niego, jakby niechcący stłukł cenny wazon.

Ojciec przeprosił i umilkł zmieszany.

Doktor Ruppin miał na ten wieczór bilet dla dwóch osób na koncert nowej orkiestry kameralnej, złożonej z uchodźców z Europy. Z radością z niego zrezygnował na rzecz młodej pary. I tak nie mógłby pójść, bo Menachem Usyszkin wrócił nagle przed paroma dniami do kraju i swoim zwyczajem natychmiast zwołał na dzisiejszy wieczór pilną naradę.

Po koncercie spacerowali ulicą Księżniczki Marii. Sklepowe witryny były jasno oświetlone, na jednej z nich kłaniała się w kółko mała nakręcana laleczka. Przez chwilę Jerozolima wyglądała jak prawdziwe miasto. Pary przechadzały się pod rękę, kilku panów paliło cygara przez krótkie ustniki. Obok rodziców zatrzymał się autobus, kierowca w krótkich spodenkach powiedział z uśmiechem: – Proszę. Ale oni nie chcieli jechać. Wojskowy dżip wyposażony w karabin maszynowy toczył się w dół ulicy. W oddali dzwonił dzwon. Oboje zgodnie stwierdzili, że Jerozolima ma w sobie jakiś przytłaczający czar. Potem postanowili spotkać się znowu nazajutrz i zjeść razem w kawiarni Sichela lody z truskawkami.

Przy sąsiednim stoliku rozsiedli się filozof Buber i pisarz Agnon, a ponieważ w toku dyskusji nie mogli się porozumieć, Agnon żartem zaproponował, aby spytać o zdanie młodzież. Ojciec coś odpowiedział, z pewnością była to uwaga cięta, lecz taktowna, ponieważ Buber i Agnon roześmiali się, komplementując z wdziękiem jego towarzyszkę. Pewnie w tamtej chwili niebieskie oczy ojca rozbłysły za okrągłymi szklami okularów, a usta naznaczył smutek.

Dziewiętnaście dni później naziści ogłosili rozbudowę swojej armii. W Europie panowało napięcie. Statek „Aurora” nigdy nie dotarł do Hajfy, zmienił kurs i popłynął na Antyle.

Ojciec umówił się ze swoim krajanem, profesorem Juliušem Wertheimerem, który zaopiekował się nim po przyjeździe do Palestyny. Chciał zasięgnąć jego rady w sprawie prywatnej.

Był zmieszany, jakby czuł się winny, i mówił w sposób bardzo zagmatwany. Profesor Wertheimer wysłuchał ojca z pewnym niepokojem. Potem przegonił z pokoju swojego kota i zamknął drzwi. Kiedy zostali sami, profesor dał ojcu do zrozumienia, że w żadnym razie nie wolno mu działać wbrew sobie w życiu osobistym. I właśnie te słowa sprawiły, że ojciec nabrał wewnętrznego przekonania, że wreszcie naprawdę przydarzyła mu się miłość.

Rut i Hans pobrali się w Jerozolimie w dniu, w którym Hitler ogłosił w Norymberdze, że dąży do pokoju i porozumienia, a wojny go mierzą. Wśród gości weselnych byli urzędnicy z wydziału weterynarii, w tym dwóch Arabów z Betlejem wyznania chrześcijańskiego, państwo Ruppinowie, uchodźcy i pionierzy, kilku sąsiadów z Tel Arza i szczupły student rewolucjonista z Góry Skopus, który nie spuszczał płomiennego wzroku z pięknej panny młodej. To on w imieniu przyjaciół gratulował nowożeńcom, zapewniając, że ostatecznie sprawiedliwość zwycięży, o czym wszyscy obecni przekonają się na własne oczy. Student zepsuł jednak wrażenie wywarne na gościach, gdy zaraz po tym wystąpieniu upił się niemal na umór jedną butelką słabego piwa Neszer i o młodej parze powiedział „burzuj i artystka”. Potem wszyscy zaproszeni się rozeszli, a ojciec wynajął taksówkę, by przewieźć nieliczne rzeczy matki z jej lichego pokoiku w dzielnicy Newe Sza’anan do domu, który od kilku lat szykował pieczołowicie w dzielnicy Tel Arza.

Tam, w Tel Arza, w niewielkim kamiennym domku z widokiem na skaliste wadi, urodził im się po roku jasnowłosy chłopczyk.

Kiedy matka wróciła z maleństwem ze szpitala, ojciec gestem ręki wskazał na swoje skromne włości i z ogniem w oczach powiedział:

– Na razie jest to zapuszczone przedmieście. W naszym ogródku rosną tylko maleńkie sadzonki. Słońce pali w okna przez cały dzień. Ale z biegiem lat wyrosną nam drzewa i będziemy tu mieli wspaniałą cień. Gałęzie osłonią dom. Pnącza obrosną ściany aż po dach i ogrodzenie wokół, zakwitnie passiflora. Gdy Hillel dorośnie, a my zestarzejemy się razem, będzie tu uroczy zakątek. Zrobimy jeszcze altanę z winorośli, gdzie będziesz mogła latem spędzać całe dnie, malując piękne akwarele. Może nawet będziemy mieli pianino. Zbudują nam dom kultury, wybrukują drogę łączącą naszą dzielnicę z miastem, a w Jerozolimie będzie hebrajski rząd z hebrajską armią. Doktor Ruppin zostanie ministrem, a profesor Buber prezydentem, albo może królem. A ja pewnego dnia może stanę na czele urzędu weterynarii. Z całego świata przybywać będą do nas imigranci.

Nagle zawstydzził się bardzo tej przemowy, zwłaszcza kilku użytych w niej zwrotów. Po jego twarzy przemknął smutek i szybko dodał rzeczowym tonem:

– Poezja. Filozofowanie. Ni stąd, ni zowąd uroczy zakątek, altana z winorośli. Idę po blok lodu, a ty połóż się i odpocznij, żebyś znów wieczorem nie miała migreny. Co za upał.

Matka ruszyła w stronę domu. Przy schodkach na taras stanęła i z pożałowaniem spojrzała na zardzewiałą puszkę z sadzonkami geranium. Powiedziała:

– Nie będzie passiflory. Będzie potop. Albo wojna. Wszyscy umrą.

Ojciec nie odpowiedział, bo czuł, że te słowa nie do niego są adresowane i że w żadnym razie nie powinny być paść.

Szorty khaki sięgały mu niemal do kolan. Nogi w sandałach były szczupłe, gładkie, opalone. Jego twarz, ukryta za okrągłymi szklami okularów, miała wyraz wiecznej wdzięczności czy też miłego zaskoczenia. W chwilach zakłopotania zwykł mówić:

– Nie wiem. Nie warto wiedzieć wszystkiego. Są na świecie sprawy, które lepiej po prostu pozostawić własnemu biegowi.

## VI

Na fotografii z młodości w albumie matki widać gimnazjalistkę o jasnych włosach i delikatnej, jakby jesiennej urodzie. W dłoniach trzyma biały kapelusz z szerokim rondem. Na ogrodzeniu za nią siedzą trzy gołębie i wąsaty polski student, bardzo roześmiany.

Matka uchodziła za najlepszą recytatorkę z całego gimnazjum. Mając dwanaście lat zwróciła uwagę nauczyciela literatury polskiej. Ów starzejący się humanista, jak opowiadała, wzruszał się niepomiernie słysząc, jak zachwycająco deklamuje poezję narodową.

– W głosie Rut – mawiał profesor ze ściśniętym gardłem – pobrzmiwa duch poezji ze źródła bijącego pośród strumieni na górskich łąkach.

A ponieważ sam siebie uważał za zaprzepaszczonego talent poetycki, zdarzało się, że pod wpływem emocji dodawał: – Gdyby sarny potrafiły śpiewać, ich głos brzmiałby zapewne jak głos małej Rut.

Matka powtarzała to zdanie ze śmiechem, uznając porównanie za bezsensowne. I nie chodziło jej wcale o śpiew saren, lecz o własne zainteresowania z tamtych czasów – przecież wcale nie umiała śpiewać. Jej uczucia kierowały się wówczas ku małym, czystym zwierzątkom domowym, ku sławnym ludziom, znanym myślicielom i malarzom, ku tańcowi, koronkowym sukniom i chusteczkom z muślinu, a także ku ubogim koleżankom, które nie miały ani sukien z koronki, ani jedwabnych chusteczek. Lubiła też ludzi skrzywdzonych przez los, z którymi stykała się w dzieciństwie: mleczarza, żebraka, babcię Gitel, służące, swoją nianię, a nawet miejscowego wariata, o ile tylko cierpienie ich nie oszpeciło i o ile było po nich widać smutek, a przy tym zachowywali się nieśmiało i ujmująco, jakby uznając swą winę i usiłując ją odkupić.

Przetłumaczyła z polskiego wypracowanie, które napisała w swoje piętnaste urodziny. Przepisała je potem na czysto kaligraficznym piśmie i kazała Hillelowi czytać na głos: „Błękitne morze pozwala promieniom słońca czerpać z siebie wodę, zmieniać ją w chmury podobne do brudnej waty, zlewać ulewnym deszczem góry, równiny i łąki – lecz nie brzydką pustynię – bo przecież w końcu i tak cała woda musi zebrać się i wrócić do morza. Jej powrót będzie dla morza pieszczotą”.

Nagle zirytowała się, wyrwała kartkę z rąk chłopca i podarła na drobne kawałki:

– Wszystko skończone! – krzyknęła rozpaczliwie. – Skończone! Przepadło! Umarło i już!

Było to pewnej zimowej jerozolimskiej soboty, miotanej wiatrem, smaganej martwymi liśćmi. W niewielkim domku w dzielnicy Tel Arza płonął niebieskim płomykiem naftowy piec. Na stole stała herbata, pomarańcze i wazon chryzantem. Pod dwiema ścianami wznosiły się regały z książkami ojca. Padał na nie cień. Od strony wadi nawoływał wiatr. Szyby w oknie drżały pod dotykiem mgły. Matka opowiadała z nutą goryczy i drwiny o swojej młodości w Warszawie, o spływach Wisłą, o białych strojach do gry w tenisa, o Siódmym Pułku Ułanów, który co niedziela defilował aleją Rzeczypospolitej. Czasem nagle zwracała się do ojca, nazywając go doktorem Sichelem zamiast doktorem Kipnisem, Hansem, Chananem.

Ojciec przykładając swe szczupłe, piękne palce do wysokiego czoła, niezdziwiony, nieurazony, i milcząco uśmiechał się na wspomnienie ciętej uwagi, którą uraczył kiedyś w kawiarni Sicheła pisarza Agnona i filozofa Bubera. Obaj byli ubawieni, poradzili się go w sprawie lodów truskawkowych, a nawet skomplementowali jego towarzyszkę.

Mając lat szesnaście, matka pozwoliła przystojnemu Tadeuszowi pocałować się przy balustradzie mostu, najpierw w czoło, po chwili w usta, ale nie zgodziła się na więcej. Był młodszym od niej o półtora roku, prostolinijnym i efektownym chłopcem o twarzy bez śladu trądziku, wyróżniał się w tenisie i biegach na krótki dystans. Kiedyś obiecał, że będzie ją



kochał wiecznie. W owym czasie wieczność znaczyła dla niej tyle co niewielki krąg miłego jasnego światła, a miłość – co gra w tenisa w błękitny świąteczny poranek.

Ojciec Tadeusza poległ w walce o wolność Ojczyzny. On także, gdy się uśmiechał, miał słodki dołeczek i nosił sportowe koszule przez całe lato. Matka uwielbiała całować Hillela w dołeczek na policzku, mówiąc:

– Był właśnie taki. Dokładnie.

Co roku w dniu święta narodowego Rut i Tadeusz stawali razem na przybranym kwiatami podium przed budynkiem gimnazjum. Gałęzie starych kasztanów tworzyły nad ich głowami szeleszczący baldachim. Zadaniem Tadeusza było zapalenie znicza niepodległości, za którą oddał życie jego ojciec. Uczniowie i nauczyciele zamierali w postawie na baczność, flagi Rzeczypospolitej łopotały na wietrze – nie wolno dotykać palcami fotografii – a Rut deklamowała nieśmiertelne strofy narodowego poety. Na wieżach wszystkich kościołów aż po krańce miasta biły uroczyście dzwony. A w nocy na przyjęciu u dyrektora opery rodzice pozwolili jej przyjąć zaproszenie i zatańczyć walca z samym generałem Guzińskim.

Potem wybuchł syjonizm. Przystojny Tadeusz wszedł w kręgi młodzieży endeckiej, a kiedy odmówiła spędzenia z nim weekendu u jego ciotki na wsi, posiał jej kartkę: „Wstrętna Żydówka”. Znienacka zmarł na wątrobę stary nauczyciel, który tak lubił mówić o sarnim śpiewie. Potem w jednym miesiącu umarli jej rodzice. Zostały po nich tylko sepiove fotografie na grubym papierze z ozdobnym obramowaniem.

Starsza siostra Niuta szybko znalazła sobie wdowca, ginekologa Adriana Szaubsa, wyszła za niego za mąż i wyjechali razem do Nowego Jorku. Matka natomiast przyjechała do Palestyny studiować historię starożytną na Górze Skopus. Wynajęta niewielki pokoik na końcu świata, w dzielnicy Nowe Sza’an. Niuta Szaub posyłała jej co miesiąc skromną zapomogę. W tym wynajętym pokoju kochało ją kilku wspaniałych mężczyzn, wśród nich podczas pewnej Chanuki natchniony poeta Aleksander Penn.

Po roku, rozczarowana krajem i językiem, postanowiła wyjechać do Nowego Jorku do siostry i szwagra. Wtedy doktor Ruppin przedstawił ją ojcu, a ten opowiedział jej nieśmiało o swym marzeniu, by stworzyć własnymi rękoma farmę bydła w górach Galilei. Pachniał nawet z lekka Galileą. Była śmiertelnie zmęczona, a statek „Aurora” zmienił kurs, popłynął na Antyle i nigdy nie zawinął do Hajfy.

Z północno-wschodniego okna domu w dzielnicy Teł Arza widoczna była w białym letnim świetle Góra Skopus, a na niej marmurowa kopuła, lasek i dwie wieże. Z daleka wieże zdawały się spowite gazą wielkiej samotności. Gdy kończył się szabat, światło przygasało wolno, z wahaniem, z przejmującą rezygnacją – jakby na zawsze. Jakby nie było odwrotu.

Rodzice siadywali naprzeciwko siebie w pracowni, którą ojciec nazywał gabinetem. Słynny geograf Hans Walter Landauer wbijał w nich nieufny wzrok z wyżyn swojej dużej fotografii. Ich pulchny synek wznosił na podłogowej macie skomplikowany zamek z klocków i burzył go nagle jednym ciosem, bo zawsze chciał zbudować inny. Czasem zadawał ojcu jakieś mądre pytanie i dostawał rozsądną odpowiedź, a czasem wtulał twarz w sukienkę matki, dopraszając się pieśczoły, i zmieszany na widok łez wypełniających jej oczy, cicho wracał do swojej zabawy.

Bywało, że matka pytała:

– Co będzie, Hans?

A ojciec odpowiadał:

– Wierzę i mam nadzieję, że sytuacja zmieni się na lepsze.

Gdy ojciec to mówił, Hillel przypominał sobie, jak w poprzednie święto Szawuot wyszedł rano z kolegami polować na lwy czy szukać źródeł Nilu w lasku Teł Arza, jak niespodziewanie błysnął mu przed oczami zmatowiały złoty guzik, potem niebieska tkanina, jak ukląkł i zaczął kopać obiema rękami, usuwać sosnowe igły, odsłaniać skarb, jak odkrył

przegniły wojskowy szynel, jak buchnął spod niego okropny słodkawy zapach, a on kopał dalej, aż znalazł kość słoniową wśród przerdzewiałych sprzączek, białe kły słonia, większe i mniejsze, i nagle kości słonia okazały się połączone z ludzką czaszką, która uśmiechnęła się do Hillela z paraliżującą sympatią, a wtedy zobaczył martwe zęby i puste oczodoły. Już nigdy nie będzie nigdzie szukał źródeł Nilu. Przenigdy.

W dni powszednie ojciec wyruszał na swoje wędrówki po wsiach ubrany w spodnie khaki, sandały, jasnoniebieską starannie wyprasowaną koszulę z szerokimi kieszeniami pełnymi notesów i rozmaitych kartek. Zimą nosił brązowe sztruksy, kurtkę, kaszkiet, a na buty zakładał kalosze, które wyglądały jak dwa czarne wojenne okręty.

Za to w wigilię szabatu zjawiał się po kąpieli w białej koszuli i szarych krajowych spodniach „Ata”, z równym przedziałkiem na mokrych włosach, pachnący swoim ulubionym płynem po goleniu i mydłem migdałowym. Wtedy matka całowała go niespodziewanie w koniuszek nosa i nazywała dużym dzieciakiem. A Hillel się śmiał.

Co rano zawiązywali Hillelowi na szyi ceratowy śliniaczek z nadrukiem przedstawiającym uśmiechniętego zajączka. Zajadał łyżeczką kaszkę „Quaker”, jajko na miękko i kefir. Opakowanie kaszki ozdobił wspaniały portret admirała o energicznej, stanowczej twarzy, w trójgraniastym napoleońskim kapeluszu na głowie i z lunetą w jedynej ręce.

W Europie w owych latach toczyła się wojna światowa, ale na ulicach Jerozolimy były tylko rozśpiewane grupki przemiłych żołnierzy australijskich, nowozelandzkich i senegalskich, którzy wyglądali jak figurki z marcepanu, i szczupłych Szkotów, tonących w morzu piwa i tęsknoty. Gazety drukowały mapy ze strzałkami. Czasem nocą przemierzały Jerozolimę z północy na południe długie kolumny wojsk z przygaszonymi światłami i w mroku rozlegał się jakby stłumiony pomruk. Miasto było bardzo ciche. Góry nieme. Wieże i kopuły trwały osamotnione. Odległą wojnę mieszkańcy przyjmowali z troską, lecz nie nerwowo. Wymieniali między sobą przypuszczenia i interpretacje. Wszyscy czekali, aż sytuacja się zmieni na lepsze, co z pewnością nastąpi szybko i może da się odczuć także w Jerozolimie.

## VII

W dzielnicy Tel Arza nie powstał dom kultury i nie wybrukowano dróg. Na ustronnym zboczu jednego ze wzgórz zaczął działać kamieniołom. Pan Kohen otworzył mały zakład stolarstwa artystycznego, który wytwarzał stylowe meble dla notabli z Jerycha i Betlejem, dla gubernatora Jerozolimy, dla dworu Abdullaha, emira Transjordanii. Inżynier Brzeziński wspinał się na dach domu i umieścił tam wielką antenę radiową, by móc odbierać nocą audycje nadawane przez najdalsze stacje. Zbudował też własnoręcznie teleskop, który również ustawił na dachu, bo w duchu przysiągł sobie, że kiedy przyjdą, zobaczy ich pierwszy.

Nocami z okolicznych dolin dobiegały szmery i szelesty. Po bezbronne domy uparcie sięgała dzikość żyjąca w skałach i łańcuchach górskich. Gdzieś niedaleko wyły szakale. Krew zastęgała w żyłach na myśl o tym, jak miękko i czujnie stąpają wśród rabatek, ocierają się o zapuszczone żaluzje, może nawet wchodzi na taras. Jedyne latarnia uliczna w stylu kolonialnym, z kłosem w szachownicę z kwadratowych szybek zwieńczonym zieloną kopułką, rzucała w nocy samotne światło na gruntową drogę. Palczaste dłonie figowca w dolnej części ogrodu były puste. Na dworze, w mroku, nie było żywej duszy. Na próżno się paliła witrażowa latarenka. Wszyscy mieszkańcy po zmierzchu zamykali się w swoich domach. Madame Jabrowa grała co wieczór na fortepianie, a jej siostrzenica Lubow Biniamina wygrywała na wiolonczeli melodie, od których ścisnęło się serce. Stary profesor Julius Wertheimer, krajan ojca, wycinał z zagranicznych gazet i wklejał do zeszytu wszelkie wzmianki na temat zjawisk nadprzyrodzonych. Prawa przyrody uważał za bezsensowne

pułapki i pragnął znaleźć w nich wyłom, jakąś prostą receptę, dzięki której on sam i cały prześladowany naród żydowski zdołają się uwolnić od przyciągania ziemskiego i poszybować ku sferom wolnym od brudu i plugastwa.

Noc w noc aż po świt inżynier Brzeziński kręcił gałką swojego radia szukając, znajdując i znów porzucając stacje nadające z Berlina, Londynu, Mediolanu, Vichy, Kairu i Cyrenajki. Sąsiedzi opowiadali, że często wraca z pracy na północnym brzegu Morza Martwego z butelką araku i po nocy upija się tym strasznym orientalnym trunkiem.

On sam opowiadał sąsiadom, że w młodości kierował w Rosji ogromną inwestycją, zbudował „jakby pisał poemat” elektrownię wodną w Taganrogu. Potem popadł w niełaskę u Stalina, był prześladowany, przeszedł aresztowanie i tortury, jakimś cudem udało mu się uciec tak jak stał i dotrzeć do Jerozolimy przez Afganistan, Teheran i Bagdad. Jednak tu, w Zakładach Chemicznych nad Morzem Martwym, z konieczności rozmieniał się na drobne, naprawiał pompy, pilnował generatora, montował jakieś żalosne systemy przełączników, nadzorował prowincjonalny transformator.

Pewnej nocy inżynier Brzeziński złapał w radiu „Eroicę” Beethovena, nadawaną przez jakąś nazistowską stację na Bałkanach, i wrzasnął na całe gardło: – Pali się! Pali!

Ojciec natychmiast wstał, ubrał się, odważnie przeszedł na drugą stronę gruntowej drogi, zapukał do jego drzwi i zawołał grzecznie: – Panie Brzeziński! Przepraszam bardzo, panie Brzeziński!

Ale drzwi pozostały zamknięte. Nie było żadnego pożaru. Tylko znał mrocznego wadi wiatr przyniósł zapach wygasłych ognisk. I jeszcze gdzieś z dala zawodzenie muezina, a może raczej głodnego szakala z lasku Tel Arza. Hillel budził się w takiej nocy w napadzie lęku i astmy, przez szpary w żaluzjach widział czaszkę tureckiego janczara unoszącą się w czarnym powietrzu i szczyrzącą do niego trupie szczęki, szybko naciągał na głowę prześcieradło i wybuchał płaczem. Ojciec weterynarz wstawał, bosy przychodził do pokoju chłopca, poprawiał mu pościel i śpiewał uśmierzającą cierpienie piosenkę:

*Drzemie kózka i baranek*

*I ty też oczęta zmruż.*

*Ucichł nawet wiatr figlarny,*

*Jerozolima śpi już.*

Zdarzało się, że później, nad ranem, sublokator Mitia jęczał nagle za ścianą przez sen:

– Nie macie litości! Nie ruszajcie go! On jeszcze żyje! *Ja nieee znaaju! Ja niee panimaaaju!* Nic tam nie ma! Nic!

I cichł.

Do świtu na polach zostawały już tylko szakale i mgły.

## VIII

Mitia zwrócił się do ojca:

– W tym garniturze, doktorze Kipnis, jest pan niezwykle podobny do Chaima Arlosoroffa, oby Najwyższy pomścił jego krew, a zbrodniarze nie zaznali spokoju. Toteż poproszę pana o niewielką dyplomatyczną przysługę. Czy zechce pan w moim zastępstwie przekazać krótką wiadomość cudzoziemskiemu Wysokiemu Komisarzowi? Kilka pilnych, niezwykle istotnych zdań. Na tę wiadomość Wysoki Komisarz już od dawna dyskretnie czeka, nie pojmując przyczyny zwłoki.

Ojciec powiedział:

– Jeśli w trakcie wieczoru w ogóle dojdzie do mojej osobistej rozmowy z Wysokim Komisarzem, w co stanowczo wątpię.

Mitia zachichotał nagle ukazując zepsute zęby, przygryzł brzeg kołnierzyka, jego koścista twarz przybrała wyraz bólu i obrzydzenia, a w oczach zapłonął ogień:

– Proszę mu to powtórzyć słowo w słowo: wkrótce nadejdzie nasz Mesjasz sprawiedliwy, nie będzie już długo zwlekał. Miecz ognisty obróci się w jego rękę. Przyjdzie ze wschodu, a wszystkie góry zapadną się przed nim pod ziemię. Żaden obszczymur się po nim nie ostanie. Czy zechciałby pan, doktorze Kipnis, powtórzyć wiadomość w tym brzmieniu, by nie daj Bóg nie doszło do jakiejś pomyłki?

Ojciec odrzekł:

– Nie sądzę, bym mógł podjąć się przekazania takiej wiadomości. A już z pewnością nie w języku angielskim.

Mitia, muskając przelotnie ceratę na kuchennym stole, wychrypiął:

– Jerozolima, która zabija swych proroków, spali zgreczonych w ogniu piekielnym.

I natychmiast dodał uprzejmie:

– Witam panią. *Pażałsta*, przecież ja tylko przekomarzam się z szanownym małżonkiem, a pani patrzy na mnie tak surowo. Nigdy, przenigdy sobie nie wybaczę, jeśli niechcący panią przestraszyłem. *Nikagda*. Natychmiast powinienem przeprosić, co też czynię. Jakże wspaniale wygląda pani w tej błękitnej sukni. Jakże wspaniała jest także wiosna w naszej Jerozolimie na progu wielkiej katastrofy. A w łazience wciąż cieknie kran z gorącą wodą, cieknie niestrudzenie. Powinniśmy coś w tej sprawie zrobić, i to niezwłocznie. Wszak nie mamy już czasu do stracenia. Prosiłem i już mnie nie ma. *Da*. Do zobaczenia. Szczęnie imię i pamięć niegodziwców, a prawi radować się będą. Po raz ostatni żegnam się z wami wszystkimi. Szczęśliw, który czeka, przybędzie i ujrzy<sup>4</sup>.

Ruszył do swojego pokoju niemal biegiem, odpychając po drodze chłopca. Oddychał ciężko, garbił się, pięści miał zaciśnięte. Ale nie trzasnął drzwiami, tylko zamknął je ze zdumiewająco delikatnie, jakby bardzo uważał, by nie zranić framugi, skrzydła drzwi ani ciszy, jaką nagle po sobie zostawił.

Matka powiedziała:

– Wysoki Komisarz w żadnym razie nie byłby w stanie pojąć, jak cierpi taki chłopak. Nawet sam król nie potrafiłby mu pomóc. Nawet Mesjasz, gdybym w niego wierzyła.

Zamknęła oczy i dodała innym tonem:

– Ale ja tak. Ja mogłabym z łatwością ocalić go przed obłędem i śmiercią, która w nim narasta. Właśnie ja. Przecież to samotność, Hans, to wygnanie, uraza, depresja, prześladowania. Ja byłabym w stanie przyjść do niego w środku nocy w koszuli, pachnąc perfumami, dotknąć go albo przynajmniej sprowadzić mu inną kobietę i przyglądać im się z boku, szczęśliwa. Ugasić ten palący żar i podarować mu spokój. To co, że od niego brzydtko pachnie. Dla puszczy i dla morza wszyscy mężczyźni i kobiety świata cuchną. Nawet ty, Hans. Potem bym słuchała, jak lka w moich ramionach, krzyczy coś nieskładnie po rosyjsku, śpiewa, charczy jak zarzynany byk. I wreszcie odpoczywa, uspokojony. Opuszkami palców zamknęłabym mu oczy i zaśpiewała mu: synu, śpij. Za ten czyn pokochałyby mnie nawet gwiazdy i góry. W tej chwili przestań tak na mnie patrzeć. I wiedz raz na zawsze, że nie znoszę, że nienawidzę Wertheimera, Bubera i tego twojego Szertoka. Najlepiej niech Ecel i Lechi wysadzą ich wszystkich w powietrze. Nienawidzę ich jak wściekłe zwierzę. I przestań tak na mnie patrzeć.

Ojciec powiedział:

– Wystarczy, Rut. Dziecko słucha i rozumie prawie wszystko.

Matka brutalnie przyciągnęła do siebie chłopca, przytuliła z całej siły, okryła mu twarz twardymi pocałunkami. Potem odezwała się cicho:

---

<sup>4</sup> Cytat z wiersza Jehudy Halewiego „Syjonie, czy nie zapytasz”.

– Tak. To prawda. Wystarczy. Ty mi już wybaczyłeś, Hans. Zaraz pojedzie czerwona taksówka i wyruszymy na bal. Stój spokojnie, Hans, aż ci zawiążę ten twój śmieszny krawat. Do Bubera i reszty nie mam właściwie pretensji. O, przypomniawsz sobie, że żyjesz. Wreszcie. Dlaczego się uśmiechasz?

Ojciec milczał.

## IX

Pod koniec tygodnia, w którym Hitler zajął Warszawę, Mitia porzucił swój kibuc w dolinie Jezreel. Powodem był spór ideologiczny. Otrzymał też niespodziewanie w spadku złotą biżuterię swojej jedynej krewnej, zapomnianej, zmarłej w Johannesburgu ciotki.

Wszystkie te kosztowności Mitia sprzedał pośpiesznie i nierozsądnie chytremu ormiańskiemu złotnikowi ze Starego Miasta i postanowił osiąść w Jerozolimie, by badać i udowodnić raz na zawsze pochodzenie narodów Ziemi od starożytnych Hebrajczyków. Zamierzał dostarczyć przekonujących dowodów na to, że wszyscy Arabowie, wieśniacy i nomadzi, są synami Izraela, którym islam narzucono mieczem, zaś naszą misją jest ratować ich z jego szponów. Przecież ich stroje, budowa czaszki, nazwy miejscowości, obrzędy i zwyczaje kulinarne świadczą lepiej niż tysiąc świadków o prawdzie, którą kierownictwo Agencji Żydowskiej próbuje celowo zataić. Jest na nią ślepe.

Był młodym i drobnym pionierem o obwisłych ramionach i nerwowym chodzie. Jako bezkompromisowy wegetarianin głosił, że jedzenie mięsa jest źródłem wszelkiej nieczystości. Miał jasne, niemal białe przerzedzone włosy. Gdy stał samotnie w kuchni, zaparzając i wlewając sobie herbatę do szklanki z wytartym złotym wrąbkiem, chłopiec nieraz widział w jego oczach ogień zawiści i samotności. Z profilu Mitia przypominał ptaka, który nieustannie tłumi nieprzepartą chęć kichania. Zepsutymi zębami przygryzał brzeg kołnierzyka.

Gdy się pojawił, zapłacił ojcu komorne za dwa lata z góry, poprosił i otrzymał pozwolenie na przeglądanie nagłówków w gazecie „Dawar” i skorzystanie czasem z maszyny do pisania. Kiedyś dwoma palcami wystukał „List do beztroskich w Syjonie”, w którym zgłaszał szereg pretensji i odmalowywał ponurą wizję przyszłości. List został odrzucony bądź zignorowany przez wszystkie gazety. Kiedyś Mitia dał ojcu do zrozumienia, że odkąd babilońskie bestie w ludzkiej skórze zamordowały Abrahama Sterna, pseudonim Jair, oby Najwyższy pomścił jego krew, on sam jest zakonspirowanym dowódcą podziemnej organizacji Lechi. Ojciec nie uwierzył, podobnie jak nie uwierzył inżynierowi Brzezińskiemu, który uważał Mitię za niebezpiecznego tajnego agenta komunistów.

O czystość dbał Mitia bezlitośnie.

Kończąc pobyt w toalecie, wyjmował z kieszeni niewielką puszczkę z angielskim napisem „Baby’s Delight” i posypywał deskę odrobiną pachnącego talku. Gazetę „Dawar” z najwyższą precyzją składał na czworo po użyciu i układał pod kątem prostym na brzegu regału. Gdy natknął się na kogoś wychodząc z łazienki lub z toalety, nazywanej przez niego ustępem, bladł i mamrotał niezborne przeprosiny. Dwa razy dziennie osobiście sprzątał i szorował swój pokój.

Mimo to jakiś subtelny odstręczający zapach, jakby woń starego tłuszczu do smażenia, towarzyszył Mitii w korytarzu, wydobywał się przez szparę pod drzwiami jego pokoju, dolatywał nawet z jego szklanki z wytartym złotym wrąbkiem.

Do swojej sypialni nie wpuszczał nikogo.

Zamontował sobie podwójny yale i zamykał drzwi na klucz nawet gdy szedł się myć. Czasem nad ranem pojękiwał przez sen po rosyjsku.

W miesiącach letnich Mitia wyruszał pieszo w kierunku Góry Skopus, nerwowym krokiem przemierzał wzgórze i doliny, i nie zważając na drogi i polne ścieżki wytyczał sobie

szlak prosty jak strzała. Jak huragan przecinał Sanhedrię, okrążał szkołę policyjną, wciskając mocno w ramiona ptasią głowę, wodził nieobecny wzrokiem, by w końcu, zdyszany i nieustępliwy, wyłonić się w dzielnicy Szejch Dżarrach, gdzie zawsze się zatrzymywał, by wypić poranną kawę wśród wąsatych Arabów w kefiach na głowie, z którymi uparcie, acz bez skutku próbował nawiązać rozmowę, ponieważ znał tylko klasyczny arabski, a i tak mówił z mocnym rosyjskim akcentem. Arabscy bywalcy kawiarni nazywali go Al-Hudhud, czyli dudkiem, być może z powodu czubka, jaki tworzyła jego rzadka, stercząca czupryna.

Całe dni przesiadywał w piwnicy Biblioteki Narodowej na Górze Skopus, pokrywając sterty karteluszków gorączkowymi zapiskami. Gdy wracał wieczorem do domu, często chichotał i odsłaniając zepsute zęby, wygłaszał tajemniczą przepowiednię:

– Zapewniam was, że dziś w nocy rozlegnie się wielki wybuch. Góry puszcza słodkie soki, a wszystkie wzgórza się rozpląną.

A jako że były to dni obfitujące w wypadki, czasem proctwo w pewnym stopniu się spełniało. Wówczas Mitia uśmiechał się skromnie jak nieśmiały artysta, którego dzieło zdobyło ważną nagrodę.

W ostatnim roku wojny światowej Hillel, podglądając przez dziurkę od klucza odkrył, że cały swój pokój od podłogi do sufitu Mitia obwiesił wielkimi mapami. Mapy porozkładane były również na stole, łóżku i pokrywającej podłogę macie. Na wszystkich widać było grube czarne i czerwone strzałki, proporczyki, guziki, zapałki.

– Tato, wujek Mitia jest szpiegiem?

– Takie głupoty, synu, są poniżej twojej godności.

– To dlaczego taki jest? Dlaczego ma w pokoju mapy? I strzałki?

– Sam jesteś szpiegiem. Szpiegowałeś wujka Mitię. To bardzo nieładnie, obiecaj mi w tej chwili, że to się nie powtórzy.

– Obiecuję, ale...

– Obiecałeś i koniec na tym. Nie powinno się obmawiać innych za plecami.

Pewnego dnia, w roku czterdziestym czwartym, Mitia zasugerował ojcu, że flota brytyjska powinna wdrzeć się „jak gniewne plemię” przez cieśniny Bosfor i Dardanele, roznieść Morze Czarne, skąpać w ogniu Półwysep Krymski, wysadzić „nieprzeliczone desanty” na wszystkich wybrzeżach słowiańskich, ukrećić kolejno łeb dwóm tyranom i „rozbić w proch smoka i egipskiego krokodyla”. Ojciec w milczeniu rozważył tę sugestię, obdarzył Mitię łagodnym, życzliwym uśmiechem i zauważył, że Rosjanie stoją teraz po stronie aliantów.

Mitia zachnął się:

– Jesteście pokoleniem pustyni. Nasieniem niewolników. Wszyscy dotknięci jesteście ślepotą. Chamberlainowie. Arlosoroffowie. Gandhiowie. Plebejusze. Kastraci. Nie pan osobiście, doktorze Kipnis, w żadnym razie przez myśl by mi nie przeszło określić pana w ten sposób. Mówię „wy” w sposób jak najogólniejszy. O, pani Kipnis, czytam w pani oczach, że rozumie mnie pani wyśmienicie, jednak mądrość i takt sprawiają, że woli pani milczeć, naturalnie słusznie. Wszak po tych kastratach nie zostanie najmniejszy ślad. Gdy oni wygłaszają wzniosłe mowy i z dumnie wyciągniętą szyją wołają: naród odwieczny, wieczność, wieczna Jerozolima, każdy kamień w murach tego miasta pęka ze śmiechu. Teraz przeproszę i pożegnaję się z państwem. Przepraszam i żegnam.

Pewnego razu, kiedy ojciec pracował za miastem, a matka poszła do fryzjera, Mitia zdybał Hillela w mrocznym końcu korytarza i przemówił do niego gorączkowo:

– My, powracający do Syjonu, a zwłaszcza twoje pokolenie o duchu niewypaczonym przez wygnanie, musimy rzucić się na kobiety fellachów i siłą zrobić im dzieci. Dzieci, które będą wyglądać jak ty. Mnóstwo jasnowłosych dzieciaków, białych, silnych i nieustraszonych. Tu idzie o nasze dusze. Niech świeże, rasowe nasienie, nowe nasienie sprawi, że wilki stepowe zastąpią wymoczków z jesziwy. Starzy kastraci kolejno wymrą, a wy, szczęśliwcy, odziedziczycie ten kraj. Wtedy płomień wyjdzie z Judy i strawi zdradziecki Albion. To rzecz



najprostsza pod słońcem, dobrze wiemy, że one wychodzą same nocą zbierać chrust na ognisko. Noszą ciemne suknie do kostek, ale pod nimi nie mają nic. Trzeba je ujarzmić i zapłodnić siłą. Uczynić to w świętym gniewie. Ich kobiety są czarne i włochate jak kozy, a my mamy berła ogniste. Musimy przemieszać krew, aż powstanie nowa, ciemna i gorąca. Rodzice niech cię nazywają Hillel, ja cię będę nazywać Itamarem. Słuchaj moich rozkazów, rekrucie Itamarze, masz nauczyć się jazdy konnej. Masz nauczyć się posługiwać sztyletem. Hartuj się. Masz, weź ode mnie wafelek i nie odmawiaj mi, proszę, bo to ja jestem dowódcą. Wszystko zachowamy w całkowitym sekrecie, podziemie nie ma litości dla zdrajców i szpicli. Któż to przychodzi z Seiru, z Edomu w czerwonych szatach<sup>5</sup>? Przychodzisz ty i mężczyźni z twojego pokolenia. Nimrodowie, Gedeonowie i Jeftowie, wszyscy zręczni wojownicy. Rekrucie Itamarze, jeszcze dostąpisz zaszczytu ujrzenia na własne oczy, jak całe imperium brytyjskie upada i leży w piachu jak szmaciana kukła. A dziedzic nadciągnie ze wschodu. Wstąpi na szczyt góry i żelazną ręką uderzy w ich pastwiska, aż czarne, włochate, chutliwe kozy fellachów będą wrzeszczeć ze strachu i rozkoszy. Lubieżne samice! A teraz masz tu szylinga i biegnij kupić sobie całą górę gumy do żucia. W prezencie. Tak. Ode mnie. Nigdy nie sprzeciwiaj się dowódcy. Leć!

Nagle jego płonący wzrok spoczął na fartuchu matki, zostawionym na wieszaku przy lustrze w korytarzu. Obnażając zęby, syknął:

– Malowana Jezabel i jej wszeteczeństwa!

I z wściekłością podreptał do swojego pokoju.

Hillel uciekł do ogrodu. Ściskając szylinga w spoczonej dłoni, wspiał się do swojej kryjówki w gałęziach figowca, oszołomiony wstrętными, natarczywymi wizjami: Jezabel. Kobiety fellachów. Chutliwe kozy. Długie suknie, a pod nimi nic. Rasowe nasienie. I lepkie od potu słowa „zapłodnić siłą”. Wolna ręka powędrowała do rozporoka, ale w oczach miał łzy. Wiedział, że bezlitosny atak astmy zacznie się dokładnie w chwili, gdy dotknie napiętego członka. Żelazna ręka. Itamar. Szmaciana kukła. Dziedzic nadciągnie ze wschodu.

Gdyby nagle miały wrócić starożytne czasy, które opisuje Biblia, mógłby być sędzią Izraela. Albo królem. Mitia będzie prorokiem w płaszczu z długiej wełny i zjedzą go niedźwiedzie, jak tego niedobrego tureckiego żołnierza. Ojciec będzie pasał stada królewskie na polach koło Betlejem. A matka nie będzie Jezabel.

Między grządkami pojawił się doktor Kipnis. Szedł rzeński, z włosami wciąż mokrymi po kąpieli, szorty khaki sięgały mu niemal do kolan, nogi w sandałach były szczupłe, opalone i gładkie. Ubrany był w podkoszulek. Jego oczy za okrągłymi szklami okularów wyglądały jak dwa błękitne, spokojne jeziora w zaśniewanym kraju.

Ojciec zręcznie podłączył gumowego węża do kranu na podwórku. Dokręcił go starannie. Ustawił strumień wody. W samotności podlewał spokojnie swój świeżo zasadzony ogród w świetle wczesnego popołudnia, nucąc melodię piosenki „Między Eufratem a Tygrysem”.

Woda wytyczała sobie kręte miniaturowe kanały. Ojciec co pewien czas nachylał się, by nakierować je we właściwą stronę.

Hillel poczuł nagle, że rozpięta go ogromna radość i miłość do ojca. Wychynął z kryjówki wśród gałęzi figowca, zeskoczył na ziemię, pobiegł ścieżką w górę przez śpiew letnich ptaków, przez wiatr przesycony zapachem dalekiego morza, przez rześiste światło popołudnia, obiema rękami objął biodra ojca i przyłgął do niego najmocniej, jak potrafił.

Hans Kipnis przełożył wąż z prawej ręki do lewej, pogładził lekko głowę syna i powiedział:

– Hillel.

Chłopiec milczał.

---

<sup>5</sup> Niedokładny cytat z Księgi Izajasza 63,1.

- Weź, Hillel. Proszę. Jeśli chcesz sobie trochę popodlewać, weź wąż, a ja poprzycinam krzewy. Pozwalam ci. Tylko bardzo uważaj, nie kieruj strumienia bezpośrednio na sadzonki.
- Tato, co to jest zdradziecki Albion?
- Tak pogardliwie fanatycy nazywają Anglię.
- A kto to są fanatycy?
- To ludzie, którzy nie mają żadnych wątpliwości i są całkowicie pewni, że wiedzą najlepiej, co jest dobre, a co złe i jak należy postępować, i żądają, by wszyscy myśleli i postępowali tak jak oni.
- Wujek Mitia też jest fanatykiem?
- Wujek Mitia to wrażliwy człowiek, który przeczytał mnóstwo książek, a szczególnie wnikliwie Biblię. Zapewne niepokój wywołany naszą sytuacją, a może także własne bolesne przeżycia powodują, że używa czasem słów, których ja na jego miejscu bym nie używał.
- A mama?
- Odpoczywa, jak zwykle po południu.
- Nie, powiedz mi, czy ona też jest fanatyczką?
- Mama wychowała się w dostatku i luksusach. Trudno jej się przyzwyczaić do warunków panujących w tym kraju, a ty, który się tu urodziłeś, może się czasem dziwisz jej zmiennym nastrojom. Ale przecież jesteś mądry i na pewno nie złościsz się na mamę, kiedy jest smutna albo tęskni za innym światem.
- Tato, muszę ci coś powiedzieć.
- Tak, synu?
- Mam szylinga, którego wcale nie chcę. Nie chcę też, żebyś zaczął pytać, kto mi go dał, bo nie powiem. Tylko zabierz go ode mnie i już.
- Dobrze. Przechowam twojego szylinga bez zadawania pytań. Tylko uważaj, żebyś nie zmoczył nowych sandałów przy podlewaniu naszej młodej winnicy. Teraz pójdę po sekator. Do zobaczenia. Powinieneś być włożył czapkę przy takim słońcu.

## X

Pod wieczór, kiedy góry zaczęły się otulać mrokiem, zmysłny wiatr penetrował łagodnie doliny i zagajniki, a z wieży w koszarach Schnellera dobiegał samotny dźwięk dzwonu, przygotowania dobiegły końca.

Pozostawało tylko zaczekać na taksówkę, pożegnać się i ruszyć w drogę. O niczym nie zapomniano. W pożyczonym od inżyniera Brzezińskiego czarnym garniturze, w nieskazitelnie czarnych, lśniących od pasty butach, ze starannie uczesanymi i przygładzonymi na mokro włosami, w okrągłych okularach Hans Kipnis wyglądał jak miły, łagodny pastor ewangelicki, z biciem serca wyruszający na własny ślub.

– Mój doktor Sichel – powiedziała ze śmiechem matka i pochyliła się, by poprawić mu białą trójkącik chusteczki w kieszeni marynarki.

Była nieco wyższa od niego i pachniała jesienią. Miała na sobie błękitną suknię o śmiałym kroju. Łezki jej kolczyków odbijały światło. Rut, dumna, zmysłowa, o powolnych kocich ruchach wyszła czekać na męża na werandzie. Odwróciła się nagimi plecami do domu i twarzą do mroczniejącego pustkowi. Jasny warkocz służył łagodnie na łuk jej lewego ramienia. Biodro ocierało się wolno, w rozmarzeniu, o zimną kamienną balustradę.

Jakże dzwoniły dzwony w calutkiej Warszawie w dniu Święta Niepodległości! Jak stawały dęba konie marmurowych jeźdźców na wszystkich placach miasta! Jak jej ciepły głos niósł się po podwórzu gimnazjum, gdy czytała płomienne strofy narodowego poety:

*Śmierć nie zabija ułanów,  
Unosi ich tylko ku niebu, czystych jak wiatr,*

*Kopyta ich koni już nie dotykają ziemi.  
Przez noc, nawałnicę i śniegi wrzawa cię dobiegnie,  
To spienione skrzydlate rumaki i mocami jeźdźcy  
Gniewnie cwałują w przestworzach na wieczny bój.  
Gdzie lasy, gdzie łąki, gdzie pola, gdzie Polska,  
Tam skrzydła, tam pęd prze z śniegi, prze z nawałnicę, przez noc,  
Bo ułani nie umierają, stają się tylko czyści i nieugięci jak ła...*

Głos Rut nasycał te strofy echem żałośliwych skrzypiec, gniewnych powstańczych werbli, majestatycznych organów.

Jakże ją wszyscy kochali. Przystojny Tadeusz stał wyprężony na podium pół kroku za nią, z płonącym zniczem w dłoni. Starsi nauczyciele, którzy mieli szczęście dowodzić ułanami w wielkiej wojnie o niepodległą Polskę, wciąż powracającej w ich snach, wzruszali się do łez, słuchając Rut. Zamykali oczy i kierowali ku niej całą moc swojej tęsknoty. Przyjmowała do serca ich pragnienie i miłość, gotowa ją odwzajemnić wszystkim dobrym ludziom.

Ze złymi ludźmi nie zetknęła się w tych szkolnych latach, zanim rodzice zmarli w ciągu jednego miesiąca, a siostra Niuta wyszła pospiesznie za owdowiałego ginekologa i wyjechała z nim do Nowego Jorku. Sądziła, że jeśli naprawdę gdzieś poza bajkami istnieją źli ludzie, to muszą zaludniać jakieś mroczne okolice. Do niej, ubranej w biały strój tenisowy, z rakietą inkrustowaną kością słoniową w rękę, nie mogli mieć dostępu. Dlatego skłonna była nawet do nich – o ile istnieją – żywić nieomal sympatię, ich los musi być smutny. Jakie to straszne być złym.

O siódmej góry pociemniały. W Jerozolimie zapłonęły światła. We wszystkich domach opuszczono żelazne żaluzje i zasunięto firanki. Mieszkańców opanował niepokój i tęsknota. Przez chwilę zdawało się, że Jerozolima wynurza się z mrocznego morza gór.

Hillela wysłano na noc do madame Jabrowej i jej siostrzenicy Biniaminy. Puszczą mu jakąś płytę z gramofonu, dadzą kolację, pozwolą się trochę pobawić lalkami w strojach ludowych ze swojej kolekcji i położą spać. Tymczasem nadjechała taksówka z żółtymi reflektorami i rozległ się przeciągły dźwięk klaksonu.

Cała ulica wyległa, by spojrzeć po raz ostatni na doktorostwo Kipnisów wyruszających na bal w pałacu Wysokiego Komisarza na Wzgórzu Złej Rady. Udręczona postać Mitii z mrocznym uśmiechem na twarzy ukazała się na progu domu.

Trzymał oburącz niedopitą szklankę herbaty, przygryzając brzeg kołnierzyka, a jego wargi poruszały się w ciemności, szepcząc jakieś przekleństwo albo złą przepowiednię. Leciwy profesor Julius Wertheimer, z palcem wsuniętym zamiast zakładki między kartki Nowego Testamentu w wydaniu niemieckim, uchylił lekko kapelusza i powiedział ze smutkiem, jakby Kipnisowie wyruszali w długą podróż na inny kontynent:

– Nie zapomnijcie o nas.

Aptekarka pani Wiśniak pomachała im z wiklinowego krzesła, na którym siedziała pod samotną latarnią: do widzenia i powodzenia. Dwie łzy zawisły na jej umalowanych rzęsach, ponieważ chwilę wcześniej spiker z „Głosu Jerozolimy” stwierdził, że co było, nie wróci, bo oto nadchodzą nowe czasy.

Po drugiej stronie ulicy pojawił się w ostatniej chwili lekko podchmielony inżynier Brzeziński z wielką latarką w rękę. Był to mężczyzna bujnie owłosiony, rudawy, grubokościsty, wściekle upstrzony piegami na całym ciele. Sapał jak drwal przy pracy, wzburzony i pełen emocji. Tubalnym głosem krzyknął w kierunku odjeżdżających:

– Niech im pan powie, doktorze, niech im pan wygarnie prosto z mostu! Ze mają nas wreszcie zostawić! Mają się stąd wynosić! Ze Biała Księga to dno! Ze cały ten kraj się stacza z każdym dniem! Niech im pan powie raz a dobrze! I jeszcze że życie w ogóle to tani, żalorny

trik! To jest prowincja! Niech się dowiedzą! I że my, *sam czort znajet*, tak niech im pan powie, wytrwamy w swoim zamiarze i będziemy dalej cierpieć i marzyć do ostatniego tchu! Niech im pan powie!

Nagle umilkł, gniewnym gestem kierując wielką latarkę prosto w mroczne niebo, jakby chciał oślepić gwiazdy.

Potem silnik zakrzuszył się, zawarczał i taksówka ruszyła z miejsca, wzbijając tumany kurzu.

Ulica została sama. Wszyscy mieszkańcy wrócili do domów. Tylko latarnia z kloszem w szachownicę rzucała wciąż bez potrzeby mizerne światło. Powiał wiatr. Liście figowca zaszumiły cicho i umilkły. Palczaste zielone dłonie wciąż były puste. W dali szczekały psy. Zapadła noc.

## XI

Lubow Biniamina była niską, krępą dziewczyną o śniadej cerze i wystającym podbródku. Przypominała powolne, rozłożyste i melancholijne ptaszysko. Może kuropatkę. Tylko wargi malowała mocno krwawopurpurową szminką. Jej ciężkie piersi rozpychały wyzywająco stanik sukienki. Jednocześnie jakaś niechlujność płynąca z rezygnacji zaznaczała się zawsze w jej ubiorze i zachowaniu: mógł to być oberwany guzik, paskudny kaszel, tłusta żółtawa plama na rąbku eleganckiej sukienki o kroju wiedeńskim. Nawet po domu chodziła w brązowych sznurowanych butach ortopedycznych. Jej ręce porastał gęsty meszek, jak u mężczyzny, zegarek na przegubie również był męski. Hillel przypomniał sobie nagle zasłyszane od Mitii okropieństwa o kobietach fellachów, czarnych włochatych kozach, które nocą wychodzą same zbierać chrust. Przygryzł wargi i z całych sił próbował o nich nie myśleć, ale gdy Biniamina pocałowała go w płatek ucha, nazywając małym poetą, wbił wzrok w dywan i poczerwieniał po cebulki włosów.

W przeciwieństwie do Biniaminy, u madame Jabrowej dało się dostrzec pewne – nieco przybladłe – ślady dawnej świetności: mówiła z emfazą, długimi zdaniem, głosem stanowczym, choć zdartym od dymu wiecznie tkwiących w kącikach ust papierosów Simon Arzt. Krążyła energicznie po pokoju, hałaśliwie wydmuchując nos, podnosiła i odkładała przedmioty, robiła piruety na obcasach z jakąś niezdarną zręcznością, jak wiekowa primadonna. Miała siwawy wąsik i gęste czarne brwi.

Hillel nie mógł oderwać wzroku od jej podwójnego podbródka, który kojarzył mu się ze skórzastym workiem u pelikana z zoo przy ulicy Proroka Samuela.

Na wieczór, jak co dzień, madame Jabrowa włożyła teatralną welurową suknię w kolorze amarantowym. Unosząca się od niej woń naftaliny z domieszką zapachu smażonych ryb i wody kolońskiej wypełniła cały pokój.

Po kilku pieszczotliwych zdaniach puściła nagle Hillela, ostro zrugła siostrzenicę i obwieściła:

– Bądź cicho. Obie bądźmy cicho. Dzieciak ma natchnienie.

Obie utrzymywały się z prywatnych lekcji muzyki, jedna uczyła gry na fortepianie, druga na wiolonczeli. Czasem jechały razem autobusem na drugi koniec kraju, by w piątkowy wieczór dać recital dla pionierów w jakiejś odległej osadzie. Ich gra była zdumiewająco precyzyjna, czysta i pozbawiona wszelkiej kokieterii, choć nieco szkolna.

Każdy mebel w ich domu zastawiony był pamiątkami, na półkach i komódce stały bibeloty, świeczniki z arabeskowym ornamentem, posążki, ręcznie robione ozdoby z drucików i rafii, na fortepianie, na dużym stole i stoliku do kawy popiersia z brązu, wśród których królował posepny Beethoven, orientalne gliniane naczynka, figurki z gipsu, Big Ben z porcelany, laleczki w barwnych strojach ludowych, miedziana kopia wieży Eiffla, szklane

kule wypełnione wodą, w których, gdy się je odwróci lub potrząśnie, natychmiast zaczyna sypać sztuczny śnieg i białe płatki wolno opadają na miniaturową chałupkę albo wieżę wiejskiego kościołka.

Jedną z półek zamieszkiwały puchate zwierzątka: misie polarne, pantery, jelenie, centaury, zebry, małpy i słonie, wszystkie bezpowrotnie zbłąkane w zielonym lesie z farbowanej waty czy filcu. Ze ściennego zegara wysuwała się co kwadrans kukułka bez głowy, by wydać odgłos zbliżony do chrapliwego szczeku.

Hillela, ubranego w spodenki gimnastyczne i trykotową koszulkę, posadzono w miękkim fotelu, otoczonym wielkimi filodendronami w doniczkach. Zapadł się w nim, podwijając pod siebie nogi.

Rozmyślał o fanatykach, o których ojciec powiedział, że zawsze wiedzą najlepiej, co jest dobre, a co złe i jak należy postępować, i zastanawiał się z lękiem, czy rodzice też nie są fanatykami, chociaż to ukrywają. Przecież oboje też zawsze wszystko wiedzą najlepiej.

Madame Jabrowa powiedziała:

– Jeśli mi obiecasz nigdy nie dłużyć w nosie, zaraz po kolacji dostaniesz kawałek marcepana. Lubow, *krasawica*, oderwij się, proszę, od tej swojej świńskiej powieści i idź natychmiast do kuchni przygotować bułkę z dżemem dla naszego gościa. *Spasibo*.

Lubow odpowiedziała:

– Ta powieść wcale nie jest świńska, ciociu. Rzeczywiście nie jest to książka dla dzieci, są w niej różne dramaty i erotyka, ale żadnych świństw. Poza tym Hillel jest już prawie dorosły. Zobacz sama.

Madame Jabrowa zachichotała:

– *Boże moj*, Lubow, jest świńska, i to jak! Same obrzydlistwa! To jedno ci w głowie. Ciało, Lubow, to najczystsza rzecz pod słońcem. O miłości i temu podobnym powinno się pisać subtelnie, bez żadnych świństw. Hillel, jak widzę, jest już wystarczająco duży, by odróżnić miłość od zwykłej nieprzyzwoitości.

Hillel powiedział:

– Nie lubię dżemu. A marcepan poproszę.

W pokoju stał duszny, wilgotny zapach. W sześciu wazonach, większych i mniejszych, prostych i wymyślnych, wędły mieczyki z poprzedniego piątku. Wszystkie okna zamknięto przed wiatrem i odgłosami nocy. Żaluzje opuszczono. Firanki zasłonięto. Rodzice byli daleko. Madame Jabrowa paliła jednego za drugim papierosy Simon Arzt, aż w powietrzu zrobiło się szaro. Podeszła do Hillela, który żuł smutno połówkę bułki z masłem, pomacała jego bicepsy i wykrzyknęła teatralnie:

– *Mołodiec. Sołdatczik!*

Potem nastawiła gramofon. Rozległy się kolejno dwie suity na flet, a po nich, bez uprzedzenia, porywająca melodia taneczna. Madame Jabrowa zrzuciła buty i ocieżyła i bosa podrygiwała do rytmu.

Tymczasem Hillel zjadł jeszcze jajko na miękko z emaliowanego, w kilku miejscach obtłuczonego kieliszka do jajek, a na deser – marcepan w czekoladzie. Pobawił się chwilę szklanymi kulami, w których wirowały płatki sztucznego śniegu. Był zmęczony, ogarnęła go senność i tęsknota. I jakiś nieokreślony lęk.

Lubow Biniamina Ewen-Chen wróciła do pokoju w różowym szlafroku. Jej ciężkie, niespokojne piersi napierały na guzik przy dekolcie. Madame Jabrowa zapaliła stojącą na fortepianie niebieską lampkę w kształcie nimfy i zgasiła górne światło. Kryształowy kandelabr zmrocniął, podobnie jak cały pokój. Półsenny Hillel zjadł jeszcze łyżeczkę powideł śliwkowych, smakujących jak gęsty ulepek. Na ścianach i meblach tańczyły cienie. Obie kobiety wchodziły i wychodziły, poszeptywały z sobą po rosyjsku, chichotały porozumiewawczo. Mimo klejących się powiek i dymu z papierosów Hillelowi wydało się, że

widzi, jak Biniamina powoli, z wysiłkiem rozluźnia sznurówki i haftki welurowej sukni ciotki. Kobiety zdawały się unosić w obłoku dymu i przenikać w cień. Chyba tańczyły z sobą na dywanie, tańczyły i paliły przy muzyce z gramofonu wśród zabawek i miniaterek, jedna w różowym szlafroku, druga w czarnej halce.

Potem, pamiętał jak przez mgłę, obie nachyliły się nad przepastnym fotelem, słodko gładziły Hillela po włosach i policzkach, dotykały jego piersi przez trykotową koszulkę, uniosły go i na rękach zabrały do łóżka. Nagle uderzył go obcy zapach. Oczy kleiły mu się ze zmęczenia, ale jakiś gwałtowny impuls, instynktowny poryw ciekawości sprawił, że nieznacznie uniół powieki. Światła było niewiele. W pokoju pachniało dymem, potem i wodą kolońską. Poczł dziwny ucisk w piersi: pod rozchylonym szlafrokiem Biniaminy rysowała się linia majtek. Zza łóżka dobiegło jakieś ledwo słyszalne mlaskanie. Spragniony, niezrozumiały szept. Nieznany, stłumiony dreszcz przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa. Nie wiedział, co oznacza, więc leżał na plecach bez ruchu, widząc kątem oka ramię, biodro, krągłości, których nie rozpoznawał, lecz mimo to serce tłukło mu się jak spłoszony zając.

Oddychał spokojnie i głęboko, jakby nadal spał. Teraz powodował nim instynkt, który jego samego napawał lękiem. Sen odszedł go zupełnie. Człł pulsowanie krwi aż po kostki stóp. Doleciał go intensywny zapach. Domyślił się, że kobieta chuchała mu na policzek, żeby sprawdzić, czy naprawdę zasnął. Zaszleściła pościel. Trawiło go podniecenie i strach, ale postanowił dalej udawać, że śpi jak aniołek. Nagle przypomniał sobie płomień w oczach wujka Mitii, gdy ten opowiadał o kozach. Przypomniał sobie też słowa „zdradziecki Albion”, ale zapomniał, co znaczą. Czyjeś ręce zsunęły spodenki gimnastyczne. Poczł dotyk czegoś, co przypominało słodkie, ciepłe konfitury na swoim członku, który wyprężył się jak ołówek. Hillel zacisnął zęby. Z całej siły starał się nie poruszyć, nie przestać miarowo oddychać: śpi. Nic nie czuje. Jest nieobecny. Żeby tylko nie ustał aksamitny dotyk, niech trwają kozy, jedwab, prześwitujący róż, konfitury. Niech trwa wspomnienie niedobrych orientalnych dziewczyn, które, szarpiąc za włosy, rzucały go na stertę żwiru. Jednej z nich pod koszulką zaczęły rosnać piersi. Mamo. Jakby lizanie mokrym językiem wzdłuż kręgosłupa. Ukłucie. Jego ołówek zaczął gniewnie prychać pod zręcznymi palcami kobiet. Chłopiec zdusił jęk. Madame Jabrowa roześmiała się cicho, soczyście. A Lubow Biniamina zaczęła nagle dyszeć jak spragniony pies.

Lampka na pianinie zgasła. W pokoju zapadła cisza. Otworzył oczy, ale zobaczył tylko mrok. Nie słychać było najdrobniejszego szelestu. W tej chwili Hillel człł, że rodzice nigdy nie wrócą, dziewczyny nigdy nie będą tarzać się z nim na stercie żwiru, nie będzie Mitii i nikogo, wszyscy odeszli i już nie wrócą. Został sam w domu, sam w całej dzielnicy, nikogo nie ma w Tel Arza, w całej Jerozolimie, w całym kraju, tylko on, porzucony, i jeszcze szakale, zagajnik i nadgryziony szkielet tureckiego janczara.

Hillel naciągnął na głowę prześcieradło. Skulił się, zbliżył brodę do kolan. Oddychał chrapliwie w ataku astmy. Nikogo nie ma, nikt nie wróci. Wsunął kciuk do ust i zaczął płakać w ciemności.

## XII

Gościem honorowym balu był admirał sir Kenneth Horace Sutherland, bohater Malty, rycerz komandor Orderu Imperium Brytyjskiego, kawaler Krzyża Wiktorii, zastępca pierwszego lorda admiralicji.

Barczysty i wysoki admirał o różowej twarzy w nieskazitelnie białym, imponującym mundurze obwieszonym srebrnymi krzyżami i medalami stał przy obrzeżu podświetlanej fontanny. W prawej ręce trzymał kieliszek martini, w lewej obracał piękną różę. Wokół niego zebrał się krąg oficerów i dżentelmenów, arabskich notabli w czerwonych fezach,



obwieszonych złotymi łańcuchami, które łagodnym lukiem spływały na wydatne brzuchy i ginęły w kieszeniach, melancholijnych angielskich dam o wilgotnych oczach. Wśród gości uwijali się sudańscy służący, strzeźwi i mroczni jak noc, roznosząc i podsuwając srebrne tace. Przez zgięte ramię każdy miał przewieszoną śnieżnobiałą serwetkę.

Admirał Sutherland szorstkim tonem w żargonie marynarskim opowiadał pieprzną dykteryjkę o amerykańskim generale George' u Pattonie, o tresowanej małpce i gorącej włoskiej aktorce Silvanie Longo. Gdy doszedł w swej opowieści do druzgocącej pointy, mężczyźni ryknęli śmiechem, a panie wydały zgorzone okrzyki.

Kolorowe światła jaśniały pod powierzchnią wody w marmurowym basenie fontanny, inne znów tańczyły nad głowami. Na drzewach zawieszono papierowe lampiony. Wiatr pieścił wierzchołki sosen. Lekko spadziste trawniki usiane były kępami róż, a ścieżki między nimi pokrywał biały żwirek. Sam pałac pysznił się w blasku ukrytych reflektorów. Jego łuki wykuto w jasnym kamieniu jerozolimskim, delikatnie, niemal czule.

Przy schodach wiodących na taras tłoczyli się co znamienitsi przedstawiciele społeczności żydowskiej, wśród nich dwóch wiekowych bankierów, Szealtiel i Toledano, burmistrz Tel Awiwu pan Rokeach, pan Agroński z redakcji „Palestine Post” i kilku członków kierownictwa Agencji Żydowskiej. Utworzyli krąg wokół kapitana Archibalda Chichester-Browne'a, rzecznika rządu, z którym prowadzili ożywioną dyskusję. Tym razem kapitan folgował swojej uszczypliwości. Pozwolił sobie na kilka bezlitosnych uwag pod adresem Ligi Arabskiej. Przedstawiciele żydowscy uznali to za dobry omen, w związku z czym Mosze Szertok dał znak swoim towarzyszom, że na tym należy poprzestać i niezwłocznie zmienić temat, by nie posunąć się za daleko.

Rozmowa przeszła na zakłady produkcji potażu rozwijające się prężnie nad Morzem Martwym. Kapitan pozwolił sobie porównać przy tej okazji mieszkańców kibuców do dawnych chrześcijan, którzy też żyli w tych okolicach we wspólnotach, i wtrącił życzliwe słowo o badaniach profesora Klausnera nad korzeniami chrześcijaństwa. Również tę wypowiedź słuchacze uznali za pokrzepiającą i z radością odnotowali w duchu, że kapitan wygłosił dwie życzliwe uwagi jedną po drugiej.

Następnie kapitan pożegnał panów syjonistów z wyważonym czarującym uśmiechem. Ironicznie wskazał podbródkiem na łożę notabli z Betlejem, puścił oko do Mosze Szertoka i konfidencjonalnie szepnął, że inni gentlemani też domagają się swojego funta mięsa. Niespiesznie ruszył w ich stronę.

Po długim oczekiwaniu we wlokącej się w żółtym tempie kolejce gości doktor Kipnis i jego żona zostali wreszcie przedstawieni gubernatorowi Jerozolimy, małżonce Wysokiego Komisarza i samemu sir Alanowi.

Nigdzie nie było widać starej lady Bromley. Może znowu zasłała. Sir Alan i jego małżonka powitali ojca słowami „Bardzo nam przyjemnie” oraz „Jak miło widzieć państwa tutaj”. Apatyczny wzrok sir Alana zatrzymał się chwilę dłużej na matce. Dostojnik zajrzał głęboko w jej czarne oczy i powiedział:

– Droga pani, urok pani i Jerozolimy musiały powstać z boskiej inspiracji. Ośmielam się mieć nadzieję, że nasz skromny bal nie wyda się pani nużący.

Matka przyjęła komplement swoim pięknym jesiennym uśmiechem, czystym jak łąza ułanów w zapomnianym polskim wierszu.

Potem mistrz ceremonii poprowadził ich do baru i przekazał w ręce starszego kelnera, Ormianina. Ojciec bez namysłu wybrał sok pomidorowy, matka wahała się chwilę, wciąż lekko się uśmiechając, wreszcie zdecydowała się na kieliszek sherry. Posadzono ich przy wyplatany stoliku ogrodowym między królem cytrusów, panem Cypkinem, a madame Josette Al-Biszari, dyrektorką arabskiego liceum żeńskiego. Wymienili grzeczności.

Po krótkiej chwili gubernator Jerozolimy stanął na balustradzie tarasu i wygłosił krótkie dowcipne przemówienie. Na początek wspominał o wrogach rodzaju ludzkiego, których Wielka Brytania i jej sprzymierzeńcy rozgnietli w proch w maju ubiegłego roku. Wysławiał honorowego gościa balu, admirała Sir Kennetha Horace'a Sutherlanda, bohatera Malty, przy czym pozwolił sobie zaznaczyć, że jeszcze się nie narodził Niemiec, Włoch czy kobieta, którzy daliby odpór sir Kennethowi. Gubernator wygłosił pochwałę świętości Jerozolimy i z głębi serca wezwał wyznawców różnych religii do pojednania. Na koniec zażartował, że jeśli rzeczywiście rozkwitnie nagle w Jerozolimie miłość między różnymi wyznaniami, z pewnością owi kochankowie niezwłocznie słusznym kopniakiem usuną nas, Brytyjczyków, ze swojego domu. Jak wiadomo, w miłości nie ma miejsca dla osób trzecich. Ale my, Brytyjczycy, zawsze wierzyliśmy w cuda i w precedensy, a Ziemia Święta oglądała już przecież niejednego cud. Także idea trójcy nie jest całkiem nieznaną w Jerozolimie, więc co by się nie działo, my nadal będziemy unosić się nad Palestyną jako Duch Święty, w której to roli sprawdzamy się jak nikt. Wznoszę toast za Koronę. Za zdrowie bohatera Malty. Za sir Alana i jego czarującą małżonkę. I ostatni, obowiązkowy toast – proszę nalać do pełna – wznoszę za wiosnę i za przyjaźń między wszystkimi mieszkańcami Ziemi Świętej, muzułmanami, chrześcijanami, żydami i socjalistami.

Wtedy zaczęły się tańce.

Spośród udekorowanych kolorowymi lampionami drzew wynurzyli się trójkami, pobłyskując lśnącymi kłami, muzycy z orkiestry wojskowej i policyjnej. Całe wzgórze zadrażało od dudnienia bębnow i grzmienia fanfar. Wypuszczone zza pałacu fajerwerki rozświetliły niebo nad miastem i pustynią. Admirał o byczym karku podpity, czerwony na twarzy, ryknął potężnym głosem: – Do mnie, do mnie, stare wygi! Ahoj marynarze! Do bandery! I wszystkie działa – ognia!

Jak bajecznie rozkwitły kolorowe suknie w blasku lampionów i fajerwerków! Jak niosła się muzyka późno w noc! Jak wirowały pary w radosnym zapamiętaniu, niemal zawzięcie! Damy jak wiotkie łodygi oplatały panów, szepczących im słowa miłości. Ubrani w białe marynarki sudańscy służący o czarnych jak węgiel twarzach cofnęli się w zdumieniu kilka kroków.

Ojciec pomyślał, że tak musiały wyglądać ostatnie dni Rzymu.

Może pod wpływem tej myśli jego niebieskie pogodne oczy za okrągłymi szklami okularów zamglił smutek.

Matkę porwał natychmiast pan Cypkin, król cytrusów. Potem można ją było zobaczyć, jasną i promienną, w ramionach szwedzkiego konsula. Już po chwili jej zadbane dłoń spoczywała lekko na ramieniu śniadego olbrzyma z cienkim latynoskim wąsikiem. Nie zdążyła odetchnąć, gdy pochwycił ją jednooki pułkownik o ciele pokrytym bliznami i rysach okrutnego korsarza, błyskając jej przed oczyma żółtymi drapieżnymi zębami.

Ojciec odwrócił wzrok. Postanowił tymczasem nawiązać grzecznościową rozmowę ze swoją sąsiadką, madame Josette Al-Biszari. Zapewne opowiadał jej o wiejskim bydle, mógł też namawiać ją z nadmierną powagą do picia koziego mleka.

Wśród gości przechadzał się w zamyśleniu Wysoki Komisarz. Zatrzymał się chwilę przy stoliku madame Al-Biszari i doktora Kipnisa, w roztargnieniu wziął krakersa, po czym przyjrzał mu się uważnie i odłożył na tacę. Uśmiechnął się leciutko do madame Josette, a może do ojca lub do świateł Jerozolimy nad ich ramionami, i przemówił niespodziewanie:

– Taak. Zatem oboje państwo nie tańczycie. Czemuż to, jeśli można wiedzieć? Z pewnością potajemnie knujecie jakąś intrygę, lecz ja w imieniu Korony przyłapałem was na gorącym uczynku. Żartuję naturalnie. Życzę państwu miłego wieczoru.

I oddalił się, szczipły, wyprężony, w kierunku innych stolików.

Ojciec odezwa! się po angielsku z niemieckim akcentem:

– Znam kogoś, kto zewnętrznie przypomina sir Alana, a jednak nienawidzi go z całego serca.

Madame Josette natychmiast odpowiedziała płynną niemczyzną z powagą niemal graniczącą z religijnym żarem:

– I tak wszystko stracone.

Ojciec powiedział:

– Szanowna pani, nie mogę się z panią zgodzić w tej kwestii.

Madame Josette uśmiechnęła się wyrozumiale:

– Spróbuję to panu wyjaśnić na przykładzie. Weźmy na przykład was, Żydów. Od czterdziestu lat wędrujecie z Europy do Palestyny. Nie dojdziecie nigdy. W tym samym czasie my wędrujemy z pustyni do Europy i też nigdy nie osiągniemy celu. Nie ma przy tym najmniejszej szansy, żebyśmy się spotkali gdzieś w połowie drogi. Pan, drogi panie, jest zapewne socjaldemokratą?

Ojciec wyraził zdziwienie:

– Przecież ledwie się poznaliśmy.

Nie dostał odpowiedzi.

Dyrektorka arabskiego liceum żeńskiego niespiesznie pozbierała ze stolika swoje rzeczy: jedwabną chusteczkę, papierosy Virginia, wachlarz z wymalowaną katedrą Notre Dame, przeprosiła w języku francuskim, którego ojciec nie znał, w jej oczach rozbłysła i zgasła jakaś sprytna kobieca iskra, ruszyła wolno w kierunku wyjścia i rozplynęła się w tłumie gości.

Gdy ojciec odprowadzał wzrokiem tę niewysoką damę, której uda pod długą suknią w stylu Marleny Dietrich zdradzały skłonność do tycia, jego oczom ukazała się żona, unoszona wysoko nad trawnikiem, z ustami rozwartymi w niemym krzyku rozkoszy i miękko lądująca w szerokich ramionach admirała, bohatera Malty. Była prowokująca, rozogniona, wargi miała rozchylone, rozwiana niebieska suknia wzlatywała nad kolana.

Admirał Sutherland roześmiał się ochryple i złożył przesadny ukłon. Chwyił jej dłoń, zbliżył do ust, ucałował i pieszcząc oddechem, ugryzł lekko. Ona w odpowiedzi musnęła go pospiesznie po policzku. Rozległa się nowa melodia i znów oboje tańczyli ciasno przytuleni, ona z głową na jego ramieniu, on prawą ręką obejmując jej talię.

Skończyły się fajerwerki. Orkiestra opadła z sił. Część gości ruszyła do domów, a ona wciąż wirowała z bohaterem Malty na dziedzińcu, na trawie, wśród drzew, aż światła przygasły i mroczny zagajnik skrył ich przed wzrokiem ojca.

Tymczasem Wysoki Komisarz udał się do siebie. Gubernator Jerozolimy wyjechał w kierunku hotelu King David w eskorcie dżipów i pojazdów opancerzonych. Ostatni goście żegnali się i rozchodzili do samochodów. Kapitan Chichester-Browne, a nawet sudański służący opuścili już ogród i zniknęli w zakamarkach pałacu.

Na Wzgórze Złej Rady spłynęła ciemność. Pogasły papierowe lampiony. Jedyne ostre światło reflektorów wciąż kaleczyło schodzące łagodnie w dół trawniki i spowite gęstym mrokiem krzewy. Z Pustyni Judzkiej, graniczącej z pałacem od wschodu, niósł się suchy chłód. Zapach sosen słabł. Uzbrojona ochrona rozpoczęła przeszukiwanie ogrodu, by zapobiec zagrożeniu ze strony fanatyków.

Ojciec stał sam przy opuszczonej fontannie, która nadal tryskała strugami światła i wody. Dopiero teraz zobaczył małą złotą rybkę w marmurowym zbiorniku. Zmarł, był śmiertelnie zmęczony. Jego matka i siostry zostały pewnie zamordowane na Śląsku albo gdzieś indziej. Farma była wśród wzgórz Galilei nigdy nie powstanie, nie napisze swojego dzieła ani poematu. Hillela będzie musiał wysłać do internatu w kibucu. Znienawidzi go za to na całe życie. Umarł doktor Ruppin. Buber i Agnon też umrą. Jeśli kiedykolwiek powstanie państwo hebrajskie, nie on pokieruje w nim urzędem weterynarii. Niechby się teraz zjawili bojownicy podziemia i wysadzili ten cały pałac w powietrze. Ale nieładnie tak myśleć. A on...

W pożyczonym garniturze, z białym trójkąciem chusteczki wystającym z kieszeni marynarki, w dziwnym krawacie, w zabawnych okularach Hans Kipnis przypominał pechowego zalotnika z filmowych komedii.

Zamknął oczy. Nagle przypomniał sobie samotnego ornitologa z Bawarii, z którym piętnaście lat wcześniej wytyczał dziewiczy szlak do źródeł Jordanu. Przypomniał sobie chłód wody i śniegi na szczycie Hermonu. Otworzył oczy, a wtedy zobaczył lady Bromley. Wychyłała jak chuda zjawa pomiędzy splątanych gałęzi oleandrów. Stara, kapryśna, przepełniona jadem, stała przed nim w ciemnym zawoju, aż się skręcając z radości na widok jego smutku:

– Tego, co pan tu zgubił, już pan dzisiaj nie znajdzie. Jeśli pan sobie życzy, może pan przeze mnie przekazać wiadomość przełożonemu ogrodników. Ale i on nie pomoże, bo to wiecznie pijany Grek, w dodatku nieszczęśliwy pederasta. Niech pan idzie do domu, drogi doktorze. Bal się skończył. Życie w naszych czasach tak bardzo przypomina żałobny bankiet: trochę światła, trochę muzyki, trochę tańców i ciemność. Koniec. Już pogasili światła. Już rzucili resztki psom. Niech pan idzie do domu, doktorze. A może mam obudzić biednego porucznika Grady i kazać mu pana odwiedzić?

Ojciec odpowiedział:

– Czekam na moją żonę.

Lady Bromley zarechotała złośliwie:

– Żaden, powtarzam, żaden z moich czterech nieboszczyków mężów nigdy nie powiedział nic równie absurdalnego. W życiu nie słyszałam, by mężczyzna użył takich słów, chyba że w jakiejś bzdurnej komedynie.

– Byłbym wdzięczny, gdyby mogła mi Pani jakoś pomóc lub wskazać, do kogo mógłbym się zwrócić. Moja żona tańczyła przez cały wieczór i chyba wypła ciut za dużo. Z pewnością jest gdzieś w pobliżu, może tylko zasnęła.

Oczy lady Bromley rozbłysły nagle i wychrypięła złowrogo:

– To pan jest tym miejscowym lekarzem, który dziesięć dni temu wsadził mi palce pod gorset. Jakże to było miłe i nieprzyzwoite. Proszę podejść, dam panu słodkiego buziaka. Zapraszam. Proszę się mnie nie bać.

Ojciec próbował ostatkiem sił:

– Proszę, niech mi pani pomoże. Nie mogę wrócić do domu bez żony.

– A to dobre – śmiała się lady – słuchajcie państwo. Paradne. Nie może wrócić do domu bez żony. Co noc musi mieć żonę przy sobie. Tacy, proszę państwa, są Żydzi. Naród Księgi. Uduchowiona nacja. Ha! Ile?

– Czego ile, za pozwoleniem? – spytał zdumiony ojciec.

– No doprawdy! Ile Kenneth, ten stary zboczeniec, będzie musiał panu zapłacić, żeby się pan uspokoił i milczał? Ha! Nie uwierzy pan, ten głupi smarkacz w ciągu jednego roku, który minął od wojny, zdążył już sprzedać trzy lasy, dwie posiadłości i oryginalny rękopis Dickensa tylko po to, żeby gotówką zamknąć usta nieszczęśliwym mężom. Co za życie. Jakże miłe i nieprzyzwoite. I pomyśleć, że jego biedny ojciec był ni mniej, ni więcej, tylko rzecznikiem moralności na dworze starej Wiktorii!

– Nie rozumiem – odpowiedział ojciec.

Lady Bromley zaniósła się skrzekliwym, wysokim śmiechem, przypominającym skrzywienie zardzewiałej piły, i powiedziała:

– Spokojnej nocy, mój słodki doktorze. Jestem panu prawdziwie i szczerze zobowiązana za pełną oddania kurację. Żydowskie palce pod moim gorsetem. To dobre! Jakie cudowne są te wiosenne noce w Palestynie, niech pan spojrzy wokół, co za noce! Notabene, nasz drogi Alan też grzeszył na prawo i lewo, kiedy był jeszcze kadetem, ale ta kłoda Trish już dawno wycisnęła z niego wszystkie soki. Biedna Trish. Biedny Alan. Biedna Palestyna. Biedny doktor. Spokojnej nocy, mój biedny Otello. Sobie też życzę spokojnej nocy. Swoją drogą, co

za dureń śmiał nazwać tę zatęchłą dziurę Jerozolimą? Przecież to parodia, nie Jerozolima. *Au revoir*, drogi panie.

O trzeciej nad ranem ojciec opuścił pałacowy ogród i ruszył piechotą w kierunku Kolonii Niemieckiej. Przy stacji kolejowej zabrało go karawanem dwóch bladych religijnych młodzieńców. Mówili, że wracają z wielkiego wesela w Mekor Chaim, bo rano muszą być w pracy w Sanhedrii. Mglistym świtem, przed czwarta, Chanan Kipnis dotarł do domu. W tym czasie admirał, jego ukochana, kierowca i ochroniarz mknęli na pełnych światłach przez uśpione Jerycho, kierując się do hotelu Kalia nad Morzem Martwym, a przed nimi pędził uzbrojony dżip. Po kilku dniach czarno-srebrny rolls royce wyruszył na wschód, najpierw w głąb pustyni, potem przez góry, doliny i dalej, do Bagdadu, Bombaju, Kalkuty. Przez całą drogę matka w podnieceniu i zachwycie deklamowała po polsku poezje Mickiewicza. Admirał, wesoły jak wielki poczciwy pies pasterski, bekał i pożądliwie wsuwał czerwoną rękę pod błękitną suknię, rozpruwając szwy. Matka nie czuła nic i ani na chwilę nie przerywała swojej sarniej pieśni. Tylko w jej czarnych oczach błyszczała radość i łzy. A kiedy admirał wepchnął dłoń między jej kolana, zwróciła się ku niemu i powiedziała, że śmierć nie zabija ułanów, stają się oni tylko czyści i nieugięci jak łąza.

### XIII

Już nazajutrz w Jerozolimie zapanował upał. Góry przesłaniał wiszący w powietrzu pustynny pył. Mocno poszarzałe niebo przedrzeźniało jesień. Miasto zapuściło żaluzje i czekało, aż minie wściekły żar. Białe skały płonęły nienawiścią na zboczach wzgórz.

Cała dzielnica zebrała się na podwórzu w wielkim poruszeniu. Zmęczony, otepiały ojciec w szortach khaki i podkoszulku „Ata” stał pod figowcem, wznosząc zamglony wzrok ku koronie drzewa. Bez okularów wyglądał niewinnie i bezradnie.

Pani Wiśniak załamała ręce i wymamrotała w jidysz: – *Got in himl!*<sup>6</sup> Madame Jabrowa i jej siostrzenica próbowały to ostrzych napomnień, to znów łagodnej perswazji: straszyły angielską policją, obiecywały marcepan w czekoladzie, groziły ostatecznym zesłaniem do kibucu.

Zdyszany, czerwony inżynier Brzeziński, miotany niecierpliwością, daremnie usiłował zestawić gdzieś na uboczu dwie drabiny. A sublokator Mitia skorzystał z zamieszania i zaczął tymczasem planowo tratować rabatki, zrywał kwiaty, wrywał korzenie, rzucał za siebie pąki i łodygi, gryząc przy tym kołnierzyk koszuli i szepcząc jadowniczo przez zepsute zęby:

– Kłamstwo i fałsz, kłamstwo i fałsz, wszystko to kłamstwo i fałsz.

Ojciec poprosił błagalnie po raz ostatni:

– Zejdz, Hillel. Proszę cię, synu, zejdz. Zobaczysz, że mama wróci i wszystko będzie jak dawniej. Te gałązki są bardzo cienkie. Synu, jesteś mądrym chłopcem, proszę cię, zejdz. Nie ukarzę cię, tylko zejdz już, a wszystko będzie dokładnie tak jak przedtem.

Ale chłopiec nie słuchał. Wpatrzony w szare brudne niebo wspinał się coraz wyżej, na sam wierzchołek – liście szorstkimi palcami gładziły go po nagiej skórze – do miejsca, gdzie konary przechodzą w gałęzie i pędy, i jeszcze wyżej, na szczyt, gdzie delikatne drzenie, gdzie wątle wyżyny, gdzie drzewo sopranem wsącza się w samo serce nieba. Drzemie kózka i baranek, i ty też oczęta zmrz. Ucichł nawet wiatr figlarny, Jerozolima śpi już.

Nie widział już nic, ani zatroskanych ludzi na podwórzu, ani ojca, ani domu i gór, ani dalekich wież, ani kamiennych domostw rozrzuconych wśród skał, ani słońca, ani księżycy, ani gwiazd. Jerozolima śpi już. Nic tylko głuchy, szary żar. Przepiętny z dumieniem i

---

<sup>6</sup> Boże w niebiesiech!

błogością chłopiec powiedział do siebie: „Nic nie ma”. Zebrał się w sobie i skoczył w górę, gdzie ostatni liść na krawędzi nieba.

I wtedy nadjechali strażacy. Inżynier Brzeziński przegonił ich jednak, wrzeszcząc:

– Wynoście się! Tu nie ma żadnego pożaru! Dumie! Jedźcie do Taganrogu! Do Chersonia, degeneraci! Tam się pali! Na Krymie! W Sewastopolu! Tam szaleje pożoga! Marsz stąd! I w Odessie! Wszyscy wynocha stąd!

Mitia objął ostrożnie drżące ramiona ojca i wolno poprowadził go do domu, szepcząc łagodnie i współczująco:

– Jerozolima, która zabija swych proroków, spali zgreczonych w ogniu piekielnym.

Z czasem leciwy profesor Julius Wertheimer też przeniósł się wraz z kotami do małego kamiennego domku w dzielnicy Tel Arza. Do Jerozolimy zjechała międzynarodowa komisja śledcza. Były domysły i nadzieje. Któregoś wieczoru Mitia niespodziewanie otworzył swój pokój i zaprosił przyjaciół do środka. Było tam zdumiewająco czysto, utrzymywał się tylko jakiś ledwo wyczuwalny zapach. Odtąd trzej mężczyźni spędzali długie godziny w pokoju Mitii, wpatrzeni w wielką mapę, popijali herbatę, snuli przypuszczenia co do przebiegu granic mającego powstać państwa hebrajskiego, wyznaczali za pomocą strzałek daleko idące plany podboju całego Wschodu. Mitia zaczął się zwracać do ojca po imieniu: Chanan. Tylko sławny geograf Hans Walter Landauer z wyżyn swojego portretu obrzucał ich podejrzliwym, zdziwionym spojrzeniem.

Potem Anglicy opuścili kraj. Na fotografii w gazecie „Dawar” Wysoki Komisarz sir Alan Cunningham stał na baczność w galowym mundurze, oddając honory ostatniej fladze brytyjskiej spuszczonej z masztu w hajfańskim porcie.

W Jerozolimie powstał rząd hebrajski. W Tel Arza wybrukowano drogę łączącą dzielnicę z miastem. Sadzonki urosły. Drzewa ozdobne i owocowe bardzo się zestarzały. Pnącza obrosły dach domu i ogrodzenie wokół. Kwitnąca passiflora płonęła tysiącem niebieskich płomyków. Madame Jabrowa zginęła od zbłąkanego pocisku wystrzelonego na dzielnicę Tel Arza przez baterię transjordańskiego Legionu Arabskiego koło Nabi Samu'il. Rozczarowana państwem hebrajskim Lubow Biniamina Ewen-Chen wsiadła w Hajfie na statek „Moledet” płynący do Ameryki, by dołączyć do swojej siostry w Nowym Jorku. Tam zginęła, potrącona przez pociąg. Być może sama rzuciła się pod lokomotywę. Zmarł także profesor Buber, dożywszy późnej starości. Z czasem ojciec i Mitia otrzymali etaty asystentów na Uniwersytecie Hebrajskim, każdy w swojej dziedzinie. Co rano szykowali sobie kanapki, jajka na twardo, herbatę w termosie i jechali razem dwoma autobusami do budynków Ratisbonne i Terra Santa, gdzie tymczasowo przeniosło się kilka wydziałów uniwersytetu w oczekiwaniu na ponowne otwarcie drogi na Górę Skopus. Natomiast wiekowy uczonec Julius Wertheimer przeszedł wreszcie na emeryturę i oddał się całkowicie prowadzeniu domu, który lśnił odtąd czystością. Pedantyczny profesor odkrył nawet sekret idealnego prasowania. Raz w miesiącu Chanan i Mitia jechali zobaczyć się z dzieckiem w kibucowym internacie. Chłopiec opalił się i zeszczułał. Przywozili mu z Jerozolimy czekoladę i gumę do żucia. Na wzgórzach wokół Jerozolimy nieprzyjaciel rozmieścił betonowe umocnienia, bunkry, stanowiska artyleryjskie.

I czekał.

# Pan Lewi

## I

Dawno, dawno temu, przed wieloma laty, żył w Jerozolimie stary poeta nazwiskiem Nechamkin. Przyjechał z Wilna i osiadł w niskim, krytym dachówką kamiennym domku przy uliczce odchodzącej od ulicy Sofoniasza. Tam pisał swoje wiersze i tam każdego lata odpoczywał na leżaku w ogrodzie, licząc godziny i dni.

Dzielnice, w której mieszkał, wybudowano w rozległym sadzie na zboczu wzgórza, skąd widać było otaczającą Jerozolimę góry. Z najlżejszym powiewem wiatru dreszcz przenikał morwy i figowce. Winorośl i drzewa granatu szeptały i szeleściły, jakby prosząc o ciszę. Poeta Nechamkin był nieco przygłuchy, ale poszum drzew starał się uchwycić i oddać w swych wierszach, interpretując go po swojemu: szmer liści na wietrze, zapach kwiatów, woń wypalonych słońcem chwastów u schyłku lata, wszystko to zdawało mu się zapowiedzią niezwykle ważnych wydarzeń, które wkrótce nastąpią. Jego wiersze wypełniały domysły.

Wśród drzew jeden po drugim powstawały proste kamienne domy z balkonami otoczonymi pordzewiałą żeliwną balustradą, z niskimi ogrodzeniami, z bramami, do których zwykle przyspawana była gwiazda Dawida lub napis „Syjon”. Mieszkańcy zaniedbali drzewa owocowe. Z wolna cieniste sosny zagłuszyły winorośl i granaty. Gdziekolwiek zdarzało się jeszcze nieokiełznane kwitnienie granatowców, gaszone przez dzieci przed wydaniem owocu. Byli tacy, którzy wśród zapuszczonych drzew i sterczących z ziemi skał próbowali sadzić fiołki, geranium i oleandry. Grządki szybko poszły w niepamięć, zdeptano je, zarosły chwastami i potłuczonym szkłem, a kwiaty, o ile wcześniej nie skonały z upału, też zdziczały. Na podwórzach powstało mnóstwo szop, skleconych pospiesznie z desek pochodzących ze skrzyń, w których przywieźli swój dobytek przybyli tu z Rosji czy Polski mieszkańcy. Niektórzy mocowali do drewnianych słupów puszki po oliwkach i czekali, aż do prowizorycznego gołębnika przylecą gołębie. Tymczasem tylko wrony i wróble wiły gniazda w wierzchołkach drzew. Gdzieś w ukryciu wołała uparta kukułka.

Lokatorzy domów pragnęli wynieść się z Jerozolimy w spokojniejsze miejsce. Część z nich marzyła o dzielnicy Bejt ha-Kerem, o Talpilot, o Rechawii. Większość wierzyła, że złe czasy miną, że wkrótce powstanie państwo hebrajskie i wszystko się zmieni na lepsze: wszak przepełniła się już miara cierpień. Tymczasem w dzielnicy rodziły się i dorastały pierwsze dzieci i naprawdę trudno było im wyjaśnić, skąd i dlaczego przenieśli się tu jej mieszkańcy i czego wszyscy tak wyczekują.

Poeta Nechamkin mieszkał ze swoim jedynym synem Efraimem, elektrykiem i ideologiem. Podobnie jak większość dzieci w naszej dzielnicy, ja też wierzyłem, że Efraim pełni tajemną i budzącą groźę funkcję w hebrajskim podziemiu. Z pozoru był on po prostu niskim, śniadym młodym technikiem o niesfornych kędzierzawych włosach i szerokich niestrudzonych dłoniach, niemal zawsze ubranym w niebieski roboczy kombinezon. Naprawiał żelazka i radia, a nawet własnoręcznie konstruował przeróżne nadajniki. Czasem zniknął na parę ładnych dni i wracał opalony, lecz przybity, z grymasem obrzydzenia i wzgardy na twarzy, jakby w swych wędrówkach ujrzał coś, co go naprawdę załamało. Mieliśmy z Efraimem sekret. Pod koniec zimy mianował mnie swoim zastępcą. Jednym z zastępców.

Jednak w szczegóły swoich wycieczek Efraim mnie nie wprowadzał.

Mimo jego pogardliwego wyrazu twarzy, niskiego czoła i nieładnych rąk przychodziło do Efraima sporo dziewczyn, wśród nich szczupła studentka z Góry Skopus. Czasem jakaś dziewczyna zostawała u niego do świtu. Te odwiedziny uważałem za zbędne: żadna z dziewczyn nie była ładna ani wesoła. Nie cierpiałem ich, bo zwracały się do Efraima ohydny m drobnieniem „Frojka”, a poza tym bałem się, że z miłości czy pożądania mógłby wyjawić im w nocy tajemnice znane tylko nam dwóm: na filmach już nieraz widziałem, jak bohaterowie tracili głowę z miłości, a potem nie było już odwrotu.

Kiedyś z dzieciakami Grillów, naszych sąsiadów, urządziliśmy zasadzkę: do gałęzi morwy przymocowaliśmy zardzewiałą puszkę napełnioną błotem. Przywiązaną do puszkę żyłkę rozciągnęliśmy w poprzek uliczki i ukryliśmy się w konarach drzewa. Studentka z Góry Skopus minęła nas, ostrożnie przeszła nad żyłką, podniosła nieśmiały wzrok ku gałęziom i powiedziała smutno:

– Jak wam nie wstyd.

Dzieciaki Grillów zaczęły chichotać. Śmiałem się i ja. I włożyliśmy do skrzynek pocztowych potłuczone szkło.

Ale potem nagle ogarnął mnie wstyd i wstydziłem się całe rano, a w południe poszedłem do warsztatu i wszystko opowiedziałem Efraimowi. Nie wspomniałem o małych Grillach. Całą winę wzięłem na siebie. Efraim zamknął drzwi na klucz, kazał mi powtórzyć, że nasza zasadzka to głupia dziecinada i wybaczył mi. Nauczył mnie, jak przygotować i użyć puszek napełnionych naftą z lontami do zdalnego odpalania, abym gdy nadejdzie czas, też mógł uczestniczyć w ostatniej walce i nie szedł jak owce na rzeź wzorem dzieci z żydowskich miasteczek Europy.

Potem Efraim zwrócił się do chudej, przykurzonej dziewczyny, siedzącej w milczeniu na jego łóżku i przyszywającej oberwany guzik, która zdawała się wcale nie mieć ust:

– Uriel jest wtajemniczony. To poważny chłopak. W ogóle – dodał – mamy tu w okolicy wspaniały materiał ludzki. To jest Ruchama. Nie jest taka, jak myślisz.

Ruchama dwoma palcami poprawiła okulary, nie odkładając igły. Milczała. Ja też się nie odzywałem. W duchu byłem przekonany, że ta Ruchama wyda nas wszystkich w ręce angielskiej policji. Dziwiłem się, że Efraim wykazuje taką lekkomyślność, pozwalając jej kręcić się po warsztacie i siedzieć na swoim łóżku, a nawet czasem zostać do rana: miłość – myślałem – na pewno może zaczekać, aż odniesiemy zwycięstwo. Nawet nie była ładna. I nie odzywała się do mnie ani słowem.

Stary poeta starał się ze wszystkich sił odciąć dziewczętom drogę do warsztatu. Czasem czatował na nie przy bramie. Ale na podwórzu prowadziły dwa wejścia, ogrodzenie było w kilku miejscach zniszczone, a do pokoju Efraima można było wejść także od tyłu, z usianego skałami ogrodu, po trzech kamiennych schodkach śliskich od martwych sosnowych igieł.

Zdarzało się, że poeta tracił opanowanie, zatrzymywał którąś z dziewczyn i uśmiechał się do niej z bezgraniczną uprzejmością:

– Droga pani, raczyła się pani omylić, pozwoli pani, że jej wyjaśnię, iż nie działa tu szynk ani zbójcekie gniazdo. Wszak to prywatny dom. Chłopaka i tak nie ma – wyruszył w swoje wędrówki, nie pozostawił nam żadnych dyspozycji, a ja wszak nie mogę wiedzieć, kiedy raczy wrócić.

Z początkiem wakacji ja i pan Nechamkin zawarliśmy sekretne przymierze w sprawie przychodzących dziewczyn: on dybał na nie od frontu, a ja na podwórzu.

Efraim, o ile akurat nie ruszył w swoje wędrówki, lubił spać od południa do zmierzchu. Leżał, zlany potem, na materacu w warsztacie. We śnie wiercił się i wzdychał. Wymachiwał pięściami, jakby się przed czymś opędał. Przewracał się na drugi bok z jękiem. Wchodziłem do niego na palcach, by posłuchać, czy przez sen nie zdradza jakichś sekretów, i strzec ich przed niepowołanym uchem. Potem równie cicho wracałem na wartę.



Jeśli zdarzyło się, że któraś z dziewczyn zjawiała się, by zakłócić Efraimowi drzemkę, my obaj, pan Nechamkin i ja, witaliśmy ją odważnie przy wejściu na podwórze. Na przymilne pytanie: „Gdzie Frojka?” mieliśmy gotową brutalną odpowiedź:

– Nie ma go w domu, a ja jestem jego zastępcą – mówiłem z ponurą miną.

A pan Nechamkin dodawał łagodnie:

– Nigdy, ale to nigdy nie sposób odgadnąć, kiedy ten chłopak wróci ze swoich wędrówek. Może jutro, pojutrze, a może za kilka tygodni.

Czasem dziewczyna prosiła nas o przekazanie pozdrowień lub karteczki z listem. Odmawialiśmy: nie potrzeba. Nie ma sensu. Kto w tych czasach w ogóle przyjmuje listy od obcych?

Dziewczyna protestowała albo przepraszała. Obiecywała spróbować ponownie kiedy indziej. Zbita z tropu napomykała, że jest jej przykro z powodu tego nieporozumienia. I ruszała w swoją stronę.

W tejsze chwili pan Nechamkin zaczynał nas usprawiedliwiać, starannie dobierając słowa:

– My wcale nie minęliśmy się z prawdą i nie wprowadziliśmy w błąd tej pani. Wszak sen jest w istocie wędrówką do odległych krain. A co się tyczy karteczek i listów miłosnych, jak uczą święte księgi, nie wolno człowiekowi stawać się posłańcem grzechu.

Przy takich okazjach dodawał ostrożną przepowiednię, która mu się nasuwała na widok dziewczyny odchodzącej w dół uliczki:

– Ona na pewno zaraz znajdzie sobie innego chłopaka, a może nawet, jak zechce, znajdzie dwóch, a my mamy tylko jednego jedyne Efraima. Przeto nadał my dwaj, żałosny poeta Nechamkin i dzielny młodzieniec Uriel, będziemy tu trwać jak warowny mur i jak jeden mąż. Nie pozwolimy, by obcy sprowadzili nas z obranej drogi. Poeta Nechamkin i młodzieniec Uriel stać będą wytrwale u bram. A teraz wracaj spokojnie do swoich psot, a ja ruszam w mą trudną drogę. Każdy z nas zmierza ku swemu przeznaczeniu. Oby dane nam było doczekać i oglądać pomyślność Jerozolimy!

## II

Pan Nechamkin był pulchnym mężczyzną o wyblakłej twarzy i sprawiał wrażenie miękkiego jak włóczkowy miś. Chodził powłócząc nogami, zawsze wsparty na rzeźbionej lasce. Wyglądał jakby własne ciało budziło w nim odrazę czy też ciążyło mu i jakby wbrew woli musiał wlec je z sobą wszędzie niczym ciężki toból, który w każdej chwili grozi rozwiązaniem. W świętych księgach odkrył kilka niejasnych wzmianek o tym, że gdzieś wśród Pustyni Judzkiej, u podnóża Jerozolimy, kryje się zielone morze, którego oko ludzkie nie widziało, nie Morze Martwe, w ogóle nie morze, tylko źródła, znane esseńczykom i marzycielom, których nawet legiony rzymskie nie mogły znaleźć, i tam zamierzał zstąpić pewnego pięknego dnia, by pozbyć się swego brzemienia i lekko i swobodnie wyruszyć w swoją szczególną drogę.

Mówił:

– Jakże mi ich żal. Żal mi ich do łez. Mają oczy, a jednak nie dane im ujrzeć.

I jeszcze:

– Ich usta się poruszają, lecz uszy nie słyszą. Wyrok zapadł. Czas minął. Miecz już się wznosi nad nimi, a oni swoje: jedzą i piją. Zdają się nie znać trwogi, tymczasem są jedynie dotknięci ślepotą. Serce mi pęka z żalu i litości.

Czasem się wydawało, że niebawem spełnią się przepowiednie pana Nechamkina. Kiedyś na progu sklepu spożywczego nachylił się nade mną i wyszeptał, że król Izraela wkrótce opuści swoją kryjówkę w skalnej rozpadlinie, zabije Wysokiego Komisarza i zajmie jego miejsce w Jerozolimie. Innym razem doznał we śnie objawienia, że Hitler wcale nie umarł,

lecz wymknął się i ukrył wśród beduińskich morderców w mrocznym więzieniu na pustyni Negew. A w połowie wakacji, na kilka dni przed postem Tisza be-Aw, zawołał mnie i pośród kępy konających z pragnienia oleandrów nalegał, bym podlał ogród i rośliny w doniczkach, bo Objawiciel już stoi u bram Jerozolimy. Nazajutrz o piątej nad ranem całą dzielnicę zbudziły krzyki i lamenty. Szybko wskoczyłem w spodenki gimnastyczne i boso wybiegłem na dwór zobaczyć, co się stało. Trzej synowie Grillów, Boaz, Joaw i Awner, stali na środku uliczki, wściekle łomocząc w pogiętą beczkę po smole. Kobiety powychodziły z domów w rozchełstanych szlafrokach. Ktoś o coś pytał, ktoś inny krzyczał w odpowiedzi. Psy szczekały jak oszalałe. Z Synagogi Ocalałych wyłonił się czcigodny rabin Zysza Lufban, otoczony wianuszkami ortodoksyjnych mężczyzn i pobożnych młodzieńców, wykrzykujący groźnie:

– Wychodź, nieczysty! Wyjdź w imię Boże!

Ale ze wszystkich drzwi powybiegali tylko wzburzeni mieszkańcy. Wielu wyszło w piżamach. Nasza sąsiadka Helena Grill biegła między nimi, błagając, żeby przynajmniej mieli litość nad dziećmi. Widziałem samotną postać pana Nechamkina, który stał skromnie, w zamyśleniu, przy bramie swojego domu. Miał na sobie granatowy garnitur, polski krawat, papierowy kwiat płonął w klapie jego marynarki, uśmiechał się wyrozumiale, ściskając w ręku drewnianą tygrysią główkę wieńczącą rzeźbioną łaskę.

Mama postanowiła nie wychodzić. Posiała tatę, by natychmiast obudził aptekarkę, panią Wiśniak: mama zawsze się obawiała, że ktoś może zemdleć albo że zdarzy się jakiś wypadek. Nie było żadnego wypadku. Zobaczyliśmy barwny pochód, który szedł w naszym kierunku ze wschodu, od strony Dzielnicy Bucharskiej. Na jego czele jechał na osiołku drobny, niezbyt czysty staruszek. Pewnie był chory, a może tylko bardzo utrudzony, toteż kurdyjscy tragarze podtrzymywali go z obydwu boków, żeby się nie zsunął z grzbietu zwierzęcia. Tragarze byli szczupli, mieli czarny zarost, a na biodrach nieśli uwiązane grubą liną worki.

Za staruszkami na osle ciągnęła cała Dzielnica Bucharska, mężczyźni, kobiety i dzieci, całkiem jak podczas wyjścia Żydów z niewoli egipskiej, o którym uczyliśmy się w szkole. Ktoś stukał w pustą blaszaną, niektórzy śpiewali gardłowe hymny, a inni mamrotali ustępy z Biblii czy jakieś zaklęcia. Co do osiołka, ten wydał mi się tak niewinny i zagubiony, że serce się ścisnęło. Z pewnością nie był zdrowy. Biały też nie był. Szukałem Efraima, ale nigdzie go nie było widać. Jego stary ojciec pogładził mnie po włosach i powiedział spokojnie:

– Szczęśliwy, który wierzy.

Tymczasem pochód skręcił z ulicy Sofoniasza w ulicę Amosa i zmierzał dalej na zachód wzdłuż murów koszar Schnellera, aż się zatrzymał przed bramą, na wprost wieży zegarowej.

Wszystkie dzieciaki z dzielnicy, w tym ja, biegły po bokach pochodu do samej bramy koszar. Tam musieliśmy stanąć, bo wartownicy angielscy odbezpieczyli swoje tommy gundy i oparli je, lufami w kierunku tłumu, na barykadzie wzniesionej z worków z piaskiem.

Wieżę koszar Schnellera zdobił niezrozumiały napis złożony z zawijasów w obcym alfabetcie. Zegar nie chodził od lat. Co prawda dzwonił co pół godziny we dnie i w nocy, aż się echo niesło, ale jego wskazówki były martwe. Niezmiennie o każdej porze wskazywały dokładnie trzy minuty po trzeciej. Wśród zgromadzonych rozeszła się pogłoska: niezwykle mąż, przybyły o północy zza siedmiu gór, powstanie i cofnie czas. Jego zaklęcie sprawi, że król Dawid i jego jeźdźcy zeskoczą ze szczytu wieży. Z gór napłyną do miasta legiony zaginionych dziesięciu plemion żydowskich. Bucharskie starowinki zaczęły bić się w piersi zasuszonymi pięściami. Jakiś kaleki mężczyzna wyrecytował: „Oto dzień uczyniony przez Pana”, ale nagle przerwał i zamilkł. A ja wraz z Boazem, Joawem, Awnerem i ze wszystkimi dziećmi z dzielnicy skandowałem w uniesieniu:

– Państwo hebrajskie, swoboda imigracji!

– Strach na to patrzeć – powiedział rabin Lufban, ale kto by go słuchał.

Anglicy ustawili w poprzek ulicy pojazd opancerzony. Z wieżyczki wychylał się oficer z megafonem w ręku. Zapewne polecał ludziom, żeby się rozeszli, ale z powodu usterki nie było go słychać, widzieliśmy tylko, jak rusza ustami. Tłum zamilkł. Zapadła taka cisza, o jakiej uczyliśmy się w klasie, cisza boża, aż słychać było ptaki i dalekie pianie koguta. Był niebieskoszary świt. Cyprysy i wieża ciśnięć na szczycie wzgórza Romema zdawały się odchodzić w miękką mgłę. Wówczas staruszek wyprężył się na grzbiecie osła, wyciągnął brudną chusteczkę spomiędzy fałdów płaszcza, odkaszlnął i splunął w nią. Ludzie wstrzymali oddech. Starzec złożył i schował chusteczkę, uniósł głowę, ostrożnie wsunął na nos okulary, drżącą ręką wskazał zegar, a może samą wieżę, i zaczął mamrotać coś, czego nie słyszałem, ale widziałem, jak cały się nadyma, unosi gniewem, czerwienieje na twarzy, aż nagle krzyknął mocnym dźwięcznym głosem:

– Wyjdzie słońce i rzecz się dokona. Teraz!

W tej chwili wzeszło słońce, olbrzymie, pomarańczowe, zalało oślepiającym blaskiem szczyty wzgórz na wschodzie, zapaliło Twierdzę Dawida i wieżę Augusta Wiktorii, upstrzyło plamami światła Górę Oliwną, rozjarzyło nieznośnym blaskiem gaje i zbocza wzgórz, prażyło w zbiorniki wody na dachach domów w dzielnicach Geula i Achwa, Kerem Awraham i Mekor Baruch. Chciałem uciekać, bo wydawało się, że cała Jerozolima staje w ogniu.

Wszyscy, uczestnicy pochodu i zwykli gapie, pan Nechamkin, rabin Lufban, absolutnie wszyscy widzieli, jak wyszło słońce, i wszystkie spojrzenia skierowały się ku wieży zegarowej. Obejrzał się nawet angielski oficer w pojeździe opancerzonym.

Ale zegar ani drgnął: wskazywał trzy po trzeciej.

Z daleka, od strony Kolonii Niemieckiej, rozległ się gwizd pociągu. Ktoś zapalił papierosa. Ludzie poszeptywali między sobą. Jakaś kobieta roześmiała się czy rozszlochała. Wtedy starzec westchnął, zsunął się z grzbietu szarego osła, stanął drżąc na całym ciele i wspierając się na ramionach przybocznych tragarzy rzekł ze smutkiem:

– A zatem innym razem.

I zaraz czcigodny rabin Zysza Lufban zaczął gniewnie pokrzykiwać w jidysz na swoich pobożnych uczniów, aby w tej chwili przegrali tych łotrów i niegodziwców z powrotem do nor, z których wypęzli, i położyli kres profanacji. Oficerowi udało się wreszcie włączyć megafon. Dał tłumowi pięć minut na spokojne rozejście się.

Przeczisnąłem się do pana Nechamkina:

– Przepraszam, panie Nechamkin, i co teraz będzie?

Poeta przełożył rzeźbioną laskę z jednej ręki do drugiej, z troską dotknął mojego czoła, odgarnął mi włosy z oczu. Rękę miał zimną i brzydka, ale jego głos był istną pieśczęcią dla uszu:

– My, Uriel, mamy dużo cierpliwości. Będziemy dalej czekać.

Kilka minut później od strony Romemy wkroczyła angielska policja i zaczęła rozpędzać zgromadzonych. Policjanci nie mogli jednak odwrócić tego, co już się stało: korzystając z zamieszania i ścisku, Efraim z kolegami, jakby to zaplanowali z góry, okleili ściany, żaluzje, słupy elektryczne i okna wystawowe patriotycznymi ulotkami. Były tam płomienne hasła: że dni nazistowskich władz brytyjskich są policzone, że hebrajskie podziemie już wydało wyrok śmierci na Wysokiego Komisarza i wkrótce zostanie on wykonany, i że Judea, która padła w ogniu i krwi, w ogniu i krwi się odrodzi.

Potem pobożni żydzi wrócili do synagogi, Bucharczycy rozeszli się po wąskich uliczkach, otwarto sklepy, góry z każdą chwilą rozpałały się bardziej i w Jerozolimie zaczął się nowy ciężki letni dzień.

### III

Po powrocie ze swoich wędrówek Efraim zachodził wieczorami do nas, potajemnie egzaminował mnie z wiedzy o falach i częstotliwościach radiowych, grał z tatą w szachy i zerkał z daleka na mamę.

Gdy tata i Efraim pochłonięci byli grą, mama zasiadała do pianina, zwrócona twarzą do okna i gór, a plecami do wnętrza pokoju. Efraim nie patrzył na nią tęsknie, jak bohaterowie filmów, tylko jakby z lękiem. Mnie też onieśmiewało ich milczenie. W owym czasie niemal co wieczór słychać było w Jerozolimie odległe strzały. Tata żuł liście mięty: stale obawiał się, że może mieć nieświeży oddech. Efraim paląc, zaciągał się tak mocno, że czasem do oczu napływały mu łzy. Mama grała w kółko tę samą etiudę, jakby postanowiła nie ruszać się naprzód o krok, zanim nie dostanie wyczekiwanej odpowiedzi. Na dworze wiatr muskał wierzchołki drzew, jak gdyby je uciszał. I była cisza.

Parapet północnego okna, które, głębiej osadzone, tworzyło w ścianie wnękę, był moim polem bitewnym. Korki, pinezki, złotka i sreberka, pudełko od zapalek i puste opakowania po papierosach pełniły rolę żołnierzy, czołgów i niszczycieli. Urządzałem walki na tyłach wroga, w których legiony Bar Kochby i marszałek Budionny przemyślnie atakowali nazistowskich żołdaków. Mniej więcej w połowie wakacji moi Hasmoneusze zdążyli już zająć Ateny, sforsować mury Rzymu, podpalić jego pałace i obalić wieże, i gnali dalej, na Berlin i Londyn. Nim nadejdą zimowe deszcze i śnieg pozaciera drogi, pokonamy ich bezwarunkowo.

Efraim wytyczył strategię:

– Zawsze nacieraj od skrzydła – pouczał mnie. – Zawsze od strony pustyni, lasów, gór, z najmniej spodziewanych kierunków.

Gdy to mówił, jego oczy płonęły jak węgle, a ręce poruszały się niespokojnie. Dodawał szeptem:

– Tylko im nie wierz. Nie ufaj nigdy. Wszyscy spragnieni są naszej krwi.

To on wymyślił koncepcję łodzi podziemnych, inaczej nazywanych łodziami rtg, które mogły się przemieszczać w morzu wrzającej lawy pod skorupą ziemską i niszczyć całe miasta za pomocą torped wystrzeliwanych od dołu, spod ich fundamentów.

– Ziemia zadrży – mówił Efraim – miasta się spalą na proch, runą wieże, a wtedy odpoczniemy.

Uwielbiałem na niego patrzeć, gdy unosił się gniewem, a potem zapadał w milczenie.

Serce się rwało do niego, gdy obiecywał mi zamęt, walenie się wież, odpoczynek.

Pytałem błagalnie:

– Ale kiedy to będzie, Efraim?

Odpowiadał mi chłodnym, rzeczowym uśmiechem, i milczał. Co gorsza, zostawiał mnie nagle samego, drwiąc niemiłosiernie:

– Ty, Uri, baw się dalej. Ja mam robotę. Wszystko trzeba zaplanować i dopracować w najdrobniejszych szczegółach.

Noc w noc Efraim badał kosmiczne fale radiowe i częstotliwości, usiłując wyodrębnić wiązkę śmierci. Kiedy błagałem, żeby mi zdradził, co to takiego, parsknął tylko śmiechem:

– Wiązka słomy. Wiązka siana. Wiązka chrustu. Albo nauczysz się milczeć i czekać na rozkaz jak żołnierz, albo idź grać w kulki, kręcić bączka i puszczać latawce jak inne dzieciaki. Wynoś się. Idź sobie stąd. Aleś się do mnie przykleił. Przecież nie jestem przedszkolanką. Już cię tu nie ma!

Wycofywałem się z warsztatu na podwórze, zbesztany i żaloszny niczym zdegradowany marszałek polny odarty haniebnie z odznaczeń i dystynkcji. Siadałem na popękanych kamiennych schodach. Brałem garść sosnowych igieł i łaskotałem się nimi pod kolanem. Wybaluszałem oczy, daremnie próbując hipnotyzować ogłupiałego kota na płocie naprzeciwko. I odczuwałem skrucę.

Efraim i jego ojciec prowadzili wspólnie niewielki warsztat naprawy urządzeń elektrycznych: pan Nechamkin przyjmował i ewidencjonował zamówienia, pobierał opłaty, wymieniał z klientami opinie i przypuszczenia, przedstawiał dowody, cytował wersety biblijne, wpisywał koszty i przychody starannym kaligraficznym pismem do zeszytu w kratkę pełnego czerwonych i niebieskich podkreśleń. Był władny udzielić zniżki albo i kredytu.

Czasem Efraim powierzał ojcu i mnie nawijanie cienkiego miedzianego drutu na drewniane szpulki. Kiedyś, wykorzystując głuchotę staruszka, obiecał mi cicho:

– Jak on umrze, wezmę cię na jego miejsce. Ty będziesz poetą i kasjerem.

I zaraz zmienił zdanie:

– Chociaż nie. My umrzemy pierwsi, a on ułoży elegię na naszą śmierć. Napisze, żeśmy mu byli umiłowanymi synami i że do walki z martwych powstajemy nocami. Coś w tym rodzaju. Wojna będzie ciężka i krwawa. Dopiero następcy pokolenia zazną odpoczynku.

Kiedy Efraim nie był poza domem, spędzał całe przedpołudnia śniąc na jawie wśród żelazek, zepsutych gramofonów, starych radioodbiorników. Czasami rzucał się z furią na przestarzałe sprzęty z obcęgami i śrubokrętem, rozbierał je na części, składał wedle własnego pomysłu i nieraz udawało mu się stworzyć ze sterty złomu nowoczesne skomplikowane urządzenie. Miał swoje ulubione słowo: odświeżanie. Twierdził, że odświeża prehistoryczne sprzęty, na które właściciele zdążyli już machnąć ręką. Ale gdy tylko mijał twórczy szal, znowu popadał w uśpienie. Wszystko pokrywał szary letni kurz. Muchy bzyczały nam nad uchem, pajak czatował na nie w gęstej sieci w kącie warsztatu. Efraim ziewał, wydając dźwięk zbliżony do szczeku lisa, przeciągał się energicznie, spluwał dwukrotnie na podłogę i od niechcienia naprawiał żelazko pani Wiśniak z apteki. Potem znowu popadał w swoje przedpołudniowe otepienie.

W południe smażył ziemniaki dla nas wszystkich, dzielił się z ojcem parówkami z musztardą, na naszych oczach zrzucał kombinezon i jak po katorżniczej pracy walił się w bieliźnie na przeпоcony materac w rogu warsztatu. Spał niespokojnym snem aż do zmierzchu, a my strzeżliśmy go przed dziewczętami.

Ale wieczorami Efraim ożywał się, był skupiony i milczący, a wtedy naprawdę stawałem się jego zastępcą. Wspinał się po rynnie na dach domu niczym kot w mroku, rozpinął jakieś anteny, mieszał częstotliwości. Ja miałem za zadanie siedzieć w warsztacie wśród jarzących się w mroku odbiorników i rejestrować napływające dźwięki, dopóki mama nie zawołała mnie do domu, a wówczas on w pojedynkę tropił dalej niestrudzenie ten jeden nieuchwytny sygnał, który pragnął wyłowić ze strumienia gwiazdnych promieni.

Kiedyś raczył mi to wyjaśnić w prosty sposób: przyciąganie ziemskie to forma promieniowania. Patrz, w lewej ręce mam młotek, a w prawej papierosa. Jedno i drugie spadnie na podłogę dokładnie z tą samą prędkością, ale inaczej uderzy. Natura wiecznie tworzy przeciwieństwa, jak życie i śmierć, ogień i woda, nadzieja i rozpacz. Dlatego musi się w niej kryć jakieś promieniowanie przeciwne przyciąganiu, które przyciąganie znosi, a kiedy je odkryjemy, wszystko będzie możliwe, tymczasem wynoś się na dwór i szybko zapomnij o tym, coś tu usłyszałeś.

Nie rozumiałem dokładnie znaczenia wszystkich tych zjawisk dla nauki, ale jako dowódca wiedziałem doskonale, jaki los czeka imperium brytyjskie, gdy w naszych rękach znajdzie się wreszcie owa sekretna wiązka.

Czasem którejs z dziewcząt udawało się zmylić strażę, wśliznąć do Efraima i spędzić z nim całą noc. Nawet w takie noce Efraim nie wyłączał odbiorników przekazujących sygnały na falach krótkich. Zapewne w jego pokoju miłość odbywała się wśród trzasków i przesywających świstów płynących z przestrzeni kosmicznej. Może nie tyle miłość, co jakiś inny rodzaj zjednoczenia, nie wstrętny, nie przesycony potem, lecz taki, za który chętnie oddałbym duszę. Raz nawet zakradłem się w ciemności pod okno z opuszczoną żaluzją,

ukryłem jak sowa wśród lepkich liści drzewa pieprzowego i do granic możliwości wyęzając słuch, drżałem wśród odgłosów wyłowionych w mroku, nie wiedząc, czy to szloch, czy stłumiony śmiech, czy też sygnały radiowe z gwiazd. Splamiony gorzkawym roślinnym sokiem wystraszyłem się nagle, czułem, że zaraz nastąpi wielki wybuch, Efraim i dziewczyna zginą i zginie pan Nechamkin, i moi rodzice, a ja zostanę sam w spalonej Jerozolimie i zdradzi mnie zapach pieprzu, z gór wtargną do miasta bandy złaknione krwi, a ja będę sam. Zsunąłem się z drzewa i w mroku obszedłem dom. Przestraszył mnie jakiś kot, który wyskoczył spłoszony odgłosem kroków. Stałem pod oknem sypialni starego poety i przyciskając policzek do siatki chroniącej przed owadami, krzyknąłem szeptem:

– Panie Nechamkin! Przepraszam! Panie Nechamkin!

Nie usłyszał i nie mógł usłyszeć. Noce spędzał na budowaniu z wypalonych zapalek modelu Świątyni, na podstawie opisów biblijnych i innych źródeł. Praca ta ciągnęła się od lat, a koniec wciąż się oddalał, ponieważ, jak wyjaśniał poeta, źródła zawierały sprzeczne informacje, więc musiał wciąż burzyć swe dzieło i zaczynać od nowa, za każdym razem inaczej.

Dużymi bladymi palcami zanurzał pan Nechamkin zapalną zapałkę w miseczce z klajstrem. W zębach trzymał szpagat. Mamrotał pod nosem modlitwę:

*Ojcie nasz, Królu nasz,  
Bądź miłość i w nam i odpowiedz nam,  
Gdyż nie ma w nas dobrych uczynków.*

Na koniec, gdy podrapany i pachnący różowym pieprzem leżałem w łóżku, dobiegły mnie głosy ortodoksyjnych mężczyzn modlących się w Synagodze Ocalałych. Zebrali się tam o północy na modlitwę tikun chatot: lato nie będzie trwało wiecznie. Wkrótce nadejdą Straszne Dni.

W naszej dzielnicy żyły psy, które gdy coś je rozzłościło czy przestraszyło w ciepłym mroku, wahały się czasem nocą między szczekaniem a wyciem.

## IV

Efraim był błyskotliwym, lecz niecierpliwym szachistą. Tacie niejednokrotnie udawało się go pokonać, bo sam unikał ryzyka, grał spokojnie i defensywnie.

– Ziarnko do ziarnka – mówił Efraim drwiąco, gdy ojciec od czasu do czasu zgarniał jakiegoś pionka, marudera z obrzeży pola walki.

Tata się nie obrażał, prosił tylko:

– Skup się, Efraim. Nie poddawaj się. Swoją drogą, nawet w obecnej sytuacji gotów jestem zamienić się z tobą i zagrać za ciebie tym, co ci jeszcze zostało.

Tę propozycję Efraim określał jako zbytek łaski. Miał dość pięknych słówek, chciał już wrócić do pojedynku.

– Wygłaszasz przemówienia, żeby mi mącić w głowie, Kołodny, ale już za parę chwil znajdziesz się w pułapce, a wtedy nie będziesz miał najmniejszej ochoty na żadne mowy.

– Pożyjemy, zobaczymy – mówił tata grzecznie. – Tymczasem zablokowałem ci laufra, a tego pionka schrupałem z apetytem.

– Niech ci będzie na zdrowie, Kołodny – rzucał Efraim z gniewem. – Połknij sobie przynętę, a ja pociągnę za wędkę.

– Pożyjemy, zobaczymy – odpowiadał zyczliwie tata.

Siedzieli naprzeciw siebie przy masywnym brązowym stole w salonie: Efraim śniady, niski, z głową pochyloną naprzód jak u byka przypuszczającego atak, w koszuli umyślnie

niedopiętej, by odsonić pokryty gęstymi kędziorami tors, i tata w podkoszulku, w krótkich nieco za luźnych spodenkach khaki, z twarzą zaróżowioną od starannego golenia i przyczajonym w kącikach oczu uśmiechem, który w duchu nazywałem belferskim.

Na środku stołu rozłożona była szachownica. Wokół leżały orzeszki, herbatniki, misa jabłek, niebieskie papierowe serwetki z nadrukiem przedstawiającym maleńkie czółno rybackie z białym żaglem. Nie zabrakło porcelanowej popielniczki w kształcie otwartej kobiecej dłoni. Wśród smakołyków stał pusty słoik po zsiadłym mleku, a w nim białe więdnące róże. Co jakiś czas z którejs z róż opadał płatek, miękko lądując na pokrytym ceratą stole. Cerata też była w róże, ale nie uwiedłe i blade, tylko mieniące się gamą żywych barw. Tata natychmiast podnosił opadły płatek, przyglądał mu się w skupieniu i zręcznie składał go w maleńkie kwadraciki. Efraim unosił wieżę albo konia, stukał nim nerwowo, jakby przywołując tatę do porządku, i oznajmiał:

– Nad czym tu się zastanawiać, Kołodny. Nie masz wyjścia.

A tata:

– Tak. W rzeczy samej. Staram się tylko wybrać mniejsze zło.

Ze swego miejsca przy pianinie odzywała się mama:

– Uspokójcie się. Nie warto się złościć z powodu gry.

Ta uwaga zdawała mi się zupełnie zbyteczna: ani tata, ani Efraim wcale się nie złościł.

Salon urządzony był prosto i wesoło: firanki jasne i powiewne, sufit pomalowany na bladoniebiesko, a ściany usiane mnóstwem drobnych kwiatków, jakby malarz o naturze ogrodnika obsadził je fiołkami. Serwis za szklanymi drzwiczkami kredensu stał w równych kolumnach, zielone do zielonego i białe do białego, jak żołnierze podczas inspekcji. Żyrandol tworzyły cztery wijące się miedziane pędy, osadzone na ich końcach żarówki pełniły rolę świetlnych pąków.

Pod ścianą stał regał z książkami, a na nim Biblia opatrzona współczesnym komentarzem, dzieła z dziedziny geografii Palestyny, dziejów Żydów i historii świata, poezje zebrane Bialika, wybór wierszy Czernihowskiego i „Słownik hebrajski” Gura. Na wierzchu leżał tom „Perły literatury”, dla którego zabrakło miejsca w szeregu na półce. Wysoko nad kredensem wisiał obraz przedstawiający pioniera kroczącego za pługiem po polach Doliny Jezreel. Pionier nic sobie nie robił z czarnych wron krążących nad górą Gilboa w rogu pejzażu. Na pianinie mamy stał gipsowy odlew głowy Szopena, którego w myślach nazywałem panem Szczupakiem, bo trochę przypominał właściciela salonu sukien „Riviera” z ulicy Króla Jerzego. Głowę Szopena ozdobił napis w języku polskim, który mama przetłumaczyła mi tak: „Z całą żarliwością i do ostatniego tchu”. Przy mojej wnęce okiennej wisiała na grubym gwoździu puszka Żydowskiego Funduszu Narodowego z nadrukowaną mapą naszego kraju. Tereny już wykupione z obcych rąk oznaczono kolorem brązowym. Te brązowe plamy były tak nieliczne i tak rozproszone, że pewnego dnia nie wytrzymałem, przyszedłem w południe do domu i farbami wodnymi domalowałem strzałkę wskazującą kierunek natarcia z Jerozolimy na północ, przez Gilad i Golan aż do Gór Libańskich, i drugą na południowy wschód, z Jerozolimy do granic Moabu nad brzegami Morza Martwego. Po tym oskrzydleniu mogłem już wszystko zamalować na brązowo: byłem panem całego kraju. Początkowo tata gniewał się i nalegał, bym ostrożnie umył i wysuszył puszkę funduszu, aby po moich mądrościach nie został żaden ślad. Potem zmienił zdanie, jego twarz złagodniała i powiedział z belferskim uśmiechem:

– No już dobrze. Daj sobie spokój. Jak to się mówi, dałeś się ponieść fantazji. Niech tak zostanie.

Mama odezwała się:

– Co piątek wrzucamy do tej puszki po dwa mille, a ona się nie napełnia. Może w tym upale nawet pieniądze potrafią wyparować. Zamiast tyle gadać, Kołodny, zszedłbyś po ćwierć

bloku lodu do lodówki. Albo wyślij swojego syna. Wszystko mi jedno. Tylko pospieszcie się, proszę, zanim się zepsują warzywa.

Kiedy Efraim wygrywał w szachy, tata przyjmował wynik pogodnie i rzucał wesoło:

– Przecież to tylko gra!

Ale kiedy rozpraszał się z powodu obecności mamy, albo dlatego, że nagle doznawał ideologicznego olśnienia i przez to popełniał kolejno kilka grubych błędów, by w końcu ponieść klęskę, jego twarz przybierała wyraz zmieszania i wstydu:

– Spójrz, Efraim – szeptał z troską – patrz tylko, w co się wplątałeś. I co teraz zrobimy?

Efraim w odpowiedzi milczał gniewnie przez chwilę, brał orzeszek z miseczki i zgryzał na miazgę, zerkał na ramiona mamy czy też na zbocze góry widoczne w oknie za jej plecami i cedził przez zaciśnięte wargi:

– Nic się nie stało, Kołodny. Nic się nie stało. A teraz zagrajmy wreszcie na poważnie.

Jakby świeżo skończona partia była tylko wprawką przed dalszą grą. Jakby jego przegrana była jedynie drobnym gestem w kierunku niewdzięcznego taty, a teraz nadeszła pora na prawdziwą grę, w której nie będzie miejsca na łaskę czy litość.

Zazwyczaj mama nie dopuszczała do prawdziwej gry. Zostawiała pianino, podchodziła do stołu, kładła jedną rękę na ramieniu taty, drugą na oparciu krzesła Efraima, i mówiła:

– Dość. Obaj przestańcie. Wypijemy teraz herbatę.

Tata i gość natychmiast wołali jak jeden mąż:

– Nie trzeba, nie trzeba, naprawdę! Dziękujemy! Nie warto się fatygować!

Mama ignorowała protest i zwracała się do mnie:

– Pomożesz mi, Uri?

Natychmiast porzuciłem korki, złotka i sreberka, zawieszałem ogień na wszystkich frontach i szedłem za mamą do kuchni. Lubiłem pomagać w podawaniu herbaty. Lubiłem ustawiać ostrożnie na szklanym blacie czarnego barku i wieźć do salonu pięć szklanek ze spodeczkami, pięć talerzyków do ciasta, pięć widelczyków z dwoma cienkimi ząbkami i jednym szerokim, pięć łyżeczek, cukier, mleko, cytrynę, dokładkę orzeszków i herbatników. Zaraz zagotuje się woda w czajniku i mama przyjdzie nalać herbaty. W tym czasie mam za zadanie zejść po schodach, przebiec uliczkę, zbudzić starego poetę z drzemki na zakończenie letniego dnia, którą odbywa na leżaku w głębi zapuszczonego ogrodu, między uschlłym oleandrem a grządką chwastów, i zaprosić grzecznie:

– Panie Nechamkin! Przepraszam! Panie Nechamkin! Mama podaje herbatę i pyta, czy zechce się pan do nas przyłączyć?

Z początku staruszek ani drgnął. Otwierał tylko niebieskie oczy i patrzył na mnie w zdumieniu. Potem na jego żółtawej twarzy pojawiał się znużony uśmiech, uśmiech człowieka pozbawionego nadziei, i łagodnie wskazywał ręką na drzewo pieprzowe, wśród gałęzi którego kwiliły jak w ekstazie niewidoczne ptaki:

– Cóż to, chłopcze, co tam się stało? Pali się, nie daj Bóg?

I szybko dodawał:

– Dzielnym młodzieniec Uriel. Tak. Niechaj światłe słowa popłyną z twoich ust.

– Pijemy herbatę, panie Nechamkin, i rozmawiamy, i bardzo prosimy, żeby się pan przyłączył.

– No... Co? Tak. Można pomyśleć, że wybuchł pożar, Boże broń. Więc się nie pali. Przyjdę niechybnie. Naturalnie. Co więcej, pójdziemy razem jak jeden mąż: młodzieniec i poeta. Wyruszymy z pieśnią na ustach, nie pójdzie na marne nasz trud.

Już po drodze, gdy szliśmy uliczką, przez podwórze i po schodach staruszek rozpoczynał swoją łagodną przemowę, pieścił jedwabistym głosem niezwykle słowa, jakimi się posługiwał, i zakończenia zdań, przy czym było mu obojętne, czy słucha go cały naród, czy tylko ja, a może nikt. Mówił o hańbie zaprzeczania bólowi bliźnich, o mierze cierpień,



drwinie losu i wytrwaniu w próbie. Mówił i mówił, aż docieraliśmy do domu i Efraim z tatą wstawali na powitanie, wyjmowali mu z ręki rzeźbioną laskę z tygrysią główką, sadzali go przy stole między matką a oknem. Mama nalewała herbatę, a on nie przerywał swojego wystąpienia, nie uważał też za stosowne zacząć od początku, tylko dalej przedstawiał koncepcje, które, jak to ujął, zrodziły się w jego sercu w toku długotrwałych rozmyślań:

– ... i nie ma nad nami Pana ni słupa ognistego. Tylko słup obłoczny nas tumani. Oczy spowite zasłoną. Tysiąc lat za jeden dzień się liczy. Oby rozległ się zaraz obwieszczający głos Boży albo wybuchł straszliwy pożar, byle wreszcie coś się zdarzyło w naszej pogrążonej w żałobie Jerozolimie. Przecież nie sposób tak dłużej. Wkrótce będziemy zgubieni. Nie, panie i panowie, nie, nie wypiję drugiej szklanki. Za nic na świecie nie będę dalej pił, gdyż moglibyście mnie uznać za opoja i żarłoka. Mnie wystarczy jedna szklanka. Starczy w zupełności. Chociaż z drugiej strony, droga pani – czemu miałbym jej odmawiać? Owszem, chętnie wypiję z państwem drugą szklankę, o ile nie sprawię kłopotu. Następnie, naturalnie jeśli państwo pozwoli, przeczytam wam kilka skromnych strof, pożegnam się i ruszę w swoją niełatwą drogę. Przyjmijcie państwo moje gorące podziękowanie i błogosławieństwo: wasza życzliwość była dla mnie rozkoszą.

Po tych słowach na chwilę zapadła cisza.

Efraim spojrział na mamę, a tata na Efraima.

Skorzystałem z okazji, by wymknąć się od stołu i wrócić na pole walki, do pinezek i opakowań po papierosach, z których kilka oznaczało dywizje nazistowskie, a pozostałe – siły hasmonejskie czyhające na Niemców w zasadzce na wzgórzu Bejt Choron. Nieliczni przeciw wielu.

Przez okno widziałem plac apelowy za murami koszar Schnellera. Małeńcy jak mrówki żołnierze zamiatali go, malowali wapnem pnie eukaliptusów i sosen, rozciągali liny, układali w sterty dachówki. W wieczornym świetle zdawali się bezbronni i zagubieni. Aż serce się ścisnęło, że na darmo narażają życie.

A dalej – góry. Otaczały całe miasto i kiedy zapadał wieczór, ich krąg zacieśniał się wokół nas. Dla gór nie ma żadnej różnicy między jednym człowiekiem a drugim, między mężczyzną a kobietą, kobietą a dzieckiem. Może góry odkryły już wiązkę śmierci i są w stanie wznieść się i rozpuścić w chmurach o zachodzie słońca. Albo czekają w milczeniu na ukazanie się gwiazd. Jakaś daleka melodia rozplywa się po niebie. Któż to śpiewa co wieczór, i kto oprócz mnie słyszy ten śpiew.

Za górami zaczyna się cisza. Za górami jest arktyczne morze. Za górami nie ma nic. Któregoś wieczoru zostawię ich nad orzeszkami i pójdę sam przez Tel Arza, przez doliny, minę rydwany z chmur i obłoczne niedźwiedzie, krokodyle i smoki, aż dojdę za góry i sprawdzę, co tam jest. Wyruszę w drogę bez plecaka i bez manierki dowiedzieć się, czego te góry ciągle od nas chcą. Odnajdę grotty, w których będę samotnym dzieckiem gór, cały dzień, całe lato spędzę w słońcu i wietrze wśród skał, a oni nigdy się nie dowiedzą, jak drży ziemia i jaki jest powód upadania wież.

Po krótkiej chwili milczenia tata uznawał czasem, że nadszedł świetny moment, by zacząć od początku.

Mówił wtedy:

– O, dobry wieczór, panie Nechamkin, dobry wieczór, Efraim, lato jeszcze w pełni, ale zaryzykowałbym sąd, że jesień nadejdzie o czasie. W synagodze odmawiają już nocą modlitwy pokutne. Zbliży się Nowy Rok.

Staruszek odpowiadał:

– Sytuacja się pogarsza.

A Efraim, który za sprawą zmierzwionych kędziorów nad wydatnym czołem wyglądał jakby konał z pragnienia, rozwijał myśl ojca:

– Wkrótce wszystko się zmieni w tym kraju. Nic nie będzie jak dawniej.

Potem wywiązywała się polityczna dyskusja, której słuchałem z przestraczem, bo zdumiewało mnie, jak mało rozumieli jej uczestnicy. Dyskusja przechodziła w kłótnię. Tata sypał przykładami z odległej i niedalekiej przeszłości. Potem zastrzegał ostrożnie, że jego zdaniem historia się nie powtarza. Zniecierpliwiony Efraim nazywał wszystkie przykłady i zastrzeżenia taty czczą gadaniną, wchodził mu w słowo i żądał stanowczo, by ten skupił się na tendencjach ogólnych, nie na drugorzędnych szczegółach. Pan Nechamkin karciał Efraima:

– Buta to wielki grzech.

– A ty ze swoimi grzechami się nie wtrącaj – odparowywał Efraim.

– Już zapomniałeś – uśmiechał się pan Nechamkin, jakby cieszył się z bystrości syna – zapomniałeś, mój miły, z jakiego powodu została zburzona Jerozolima? Zatem przypomnę ci: przez spór między braćmi, zawiść i bezpodstawną nienawiść, a morał z tego jest przecież oczywisty.

– Całkiem mu się mąci w głowie – mówił Efraim, a po chwili dodawał:

– Ty też, Kołodny, pleciesz trochę od rzeczy, ale już się nie kłóćmy. Jedyną osobą, która może coś o tym wiedzieć, jest wasz chłopak, tyle że ma pstro w głowie. Bardzo panią przepraszam. o pani nie powiedziałem słowa i nie zamierzam. Dość tego gadania. Starczy.

W tym momencie mama proponowała, żebyśmy sobie szybko poprawili nastrój. Przecież obiecaliśmy panu Nechamkinowi, że posłuchamy jego nowego wiersza. Potem mama wróci do wprawek fortepianowych, bo utknęła w trudnym miejscu, a tata i Efraim będą mogli rozegrać upragniony rewanż. Już zaczyna się ściemniać, mówiła mama. Zmierzch pewnie długo potrwa. Można zapalić albo nie zapalać światła. Nawet za godzinę będzie jeszcze całkiem widno. Uri może wziąć swoją nową piłkę i wyjść na dwór, zanim na dobre się ściemni. i po co te swary polityczne? Co mogą zmienić ludzie tacy jak my? Więc uspokójcie się, bardzo was proszę.

## V

Na dworze w niebieskawym świetle wieczoru dzieci bawiły się w „Dzień dobry ci, królu Lulu”. Boaz i Awner Grillowie wylali trochę naftę na chodnik przed domem. Gdy ostatnie promienie słońca dotknęły niewielkiej kałuży, rozpełtał się żywioł barw i zapłonęły tęcze fioletów, brązów, błękitów, turkusów, szarości i ognia. Uwielbiałem tę porę. Joaw jak zwykle drwił ze mnie w durnych rymowankach: „Uri Kołodny, kapeć niemodny”, ale nie zwracałem na niego uwagi. Wieczorne światło władało miastem. Bat Ami, siostra Boaza, Joawa i Awnera, siedziała na płocie i łuskała pestki.

– Czemu im nie odpowiesz? – spytała ze śmiechem.

– Nic mnie to nie obchodzi – powiedziałem.

– Obchodzi cię, i to jak!

Z każdego domu, z każdego radia sączyła się w wieczorne światło i w czarodziejską kałużę naftę angielska piosenka marszowa: „It’s a long way to Tipperary”. Nie wiedziałem, gdzie leży to miejsce, i nie chciałem wiedzieć.

– Patrz, jak Kołodny się ciągle gapi na Bat Ami – rzucił Awner.

Niech sobie mówią, co chcą, pomyślałem. Co mi tam. To pokolenie pustyni. Jakbym nie wiedział, kto napisał na murze: „Gdy północ bije i księżyc łśni, Uri poślubia Bat Ami”. Jakby nie było wiadomo, kto skreślił słowo „poślubia” i zaczął pisać inne, ale się wystraszył i nie dokończył. Tchórz.

Następnego wieczoru po wypiciu herbaty Efraim stwierdził, że jego zdaniem nadchodząca jesień będzie przełomowa. Tata natomiast uważał, że świat w końcu coś zrozumiał i wszystko się zmienia już teraz. Na tej zmianie, jak sądził, możemy zyskać: Rosja będzie współdziałać z

Amerikanami. Rozbita Anglia im się nie oprze. Nadchodzi zatem godzina prawdy, w której musimy być ostrożni i stanowczy zarazem. Tego pionka – dodał tata ze zdziwieniem – Efraim nie musiał poświęcać: z łatwością można go było zasłonić wieżą. Tak więc wystarczy, że wszyscy będziemy wiedzieć dwie rzeczy: po pierwsze – co dokładnie chcemy uzyskać, po drugie – jaką właściwie siłą dysponujemy, a wtedy zdaniem taty będziemy górą. To znaczy na chwilę obecną. A co do tego pionka, to daje Efraimowi drugą szansę: odstawmy go na miejsce. O, tu. A prawą wieżę postawmy tu. Teraz możemy grać dalej, zaczynając z mniej lub bardziej sensownej pozycji. Efraim jednak gwałtownie strącił pionek z szachownicy, wyrażając całkowity brak troski o jego los: no co. Bez niego też może z łatwością wygrać. Nie potrzebuje litości. Wycofywanie się po fakcie budzi w nim wstręt.

– Niech rób mi łaski, Kołodny – powiedział Efraim. – Ty się bronisz, ja atakuję, więc co ci się mnie nagle zrobiło żal. Lepiej polituj się trochę nad sobą.

Mama siedziała przy pianinie. Nie grała. Przyglądała się górom mroczniejącym za oknem, a może ptakom. Jej smutek poruszył nagle pana Nechamkina. Zwrócił się do niej swoim miękkim głosem, jakby odmawiał intymną modlitwę pod gołym niebem:

– Pani Kołodny, proszę, niech pani nami w duchu nie pogardza. Niechże pani nas nie osądza zbyt surowo. Wszak trudno nam dłużej znosić tyle cierpień. Pani potrafi przecież przejrzeć nas do gruntu i wie, że brak nam już sił, by dalej czekać. Jakże musiało już pani zbrzydnąć nasze towarzystwo. Chciałaby pani uciec przed nami i przed naszą gadaniną. Na zawsze uwolnić się od nas. Siedzi pani przy oknie i wznosi wzrok ku górom. Czy zechce pani okazać nam nieco życzliwości?

Mama milczała.

– Będziemy czekać – nie ustępował pan Nechamkin – i wycęzać słuch, by pochwycić odgłos Jego kroków. Droga pani, proszę. Czy zechce pani okazać nam odrobinę życzliwości?

– Nic mi nie jest, panie Nechamkin – powiedziała mama.

Po chwili dodała:

– Niedługo się ściemni. Proszę się nie martwić.

Nie mogłem opanować złośliwego uśmiechu, gdy usłyszałem słowa „wycęzać słuch”: przecież pan Nechamkin był mocno przygłuchy i głuchł coraz bardziej.

– Istotnie ma pani rację – przeląkł się nagle staruszek – nadciąga zmiarch. Odłożę zatem na inny dzień czytanie moich wierszy i ruszę spiesznie w swoją drogę. Późno już. Znalazłem łaskę i znalazłem drzwi. Jakże wielkie zadanie nas czeka.

W piwnicy, za obruszonym kamieniem w ścianie drukarni, leżało w gęstej ciemności pudełko. Ukryłem je tam, owinąwszy jedwabną pończochą, a z wierzchu posypałem mieszaniną trocin i sproszkowanego czosnku, dla zmylenia psów tropiących. Kiedy Efraim wyodrębni swoją gwiazdną wiązkę, ukryjemy ją w tym pudełku. Przecież te wszystkie spory nie mają sensu. Co tam Agencja Żydowska, komisje śledcze, Bevin i Henry Gurney, wielkie mocarstwa. Nadejdzie jesień, a wtedy Efraim i ja wejdziemy na dach i jedną długą wiązką spalimy Anglikom cały kraj. Przełomowa jesień. Rozbita Anglia. Po pierwsze. Po drugie. Co mnie obchodzi całe to gadanie. Ja należę do gór.

Pan Nechamkin pożegnał tatę uściśnięciem ręki, mamę ukłonem, a mnie uszczypnięciem w policzek. Ruszył w swoją drogę: w rozpadających się butach podreptał na zachód, w ślad za znikającym poza dachami niemieckich domów koło Romemy słońcem. Tygrys wieńczący jego łaskę obnażał straszliwe kły, jakby w ciągu jednej nocy Jerozolimę porosła dziewicza puszcza.

Tata i Efraim rozegrali do końca swój niosący pociechę bądź hańbę rewanż i zeszli razem do drukarni wyłączyć na noc prasę.

Tata wrócił do domu sam. Mama zapaliła światło. Postanowiła odłożyć prasowanie na jutro. Zjedliśmy prostą kolację, sałatkę, jajecznicę, zsiadłe mleko, chleb i oliwki.

Tata opasze się fartuchem mamy i pozmywa naczynia w płynie. Potem każde zanurzy na chwilę w misce z zimną wodą. Ja będę stał przy nim i wycierał naczynia ścierką. Mama odstawia część z nich na półkę, a pozostałe zostawi na kuchennym stole na jutrzejsze śniadanie. Będzie spokojnie. Może siądziemy we trójkę i posegregujemy kolekcję widokówek z naszego kraju. Potem wyślą mnie, żebym się umył i przebrał w piżamę, a sami wyjdą na balkon odetchnąć zapachami nocy. Z okna mojego pokoju zobaczę światło w warsztacie i w sypialni Efraima: do świtu będzie przeszukiwał częstotliwości radiowe, słuchał przez swoje sprzęty płaczu gwiazd, a staruszek będzie dodawał albo demontował kolejną warstwę zapatek w świątynnym murze. Jeśli żaluzja po lewej zostanie opuszczona, będzie to znak, że Ruchama, rozwódka Ester albo inna dziewczyna zdołała się przedrzeć do Efraima. Rzeczy, o których z całej siły staram się nie myśleć, odbywają się w jego pokoju wśród głosów z kosmosu. Nie chcę wiedzieć. Nie obchodzi mnie to. Uważam, że żołnierzom nie wolno się zakochiwać. Nic z tych rzeczy. Miłość może zaczekać do zwycięstwa. Przez miłość można się dać złamać, wyjawiać sekrety, a potem już się tego nie odwróci. Pamiętam, że kiedy na murze napisali o mnie i o Bat Ami Grill, że ją poślubiam gdy północ bije i księżyc łśni, spytałem ją, czy jej zdaniem mogłoby się tak stać. Oczywiście po wygnaniu Anglików i powstaniu państwa hebrajskiego.

Bat Ami odpowiedziała, że mogłaby się zakochać tylko w kimś, kto wie dokładnie, czego chce i kogo nie sposób odwieść od raz powziętego zamiaru. W chłopaku upartym, ale liczącym się z innymi.

Zapewniłem ją, że zachowam to w tajemnicy, żeby nie zjawił się ktoś, kto mógłby ją wykorzystać.

Rozśmieszyłem tym Bat Ami.

– Uspokój się – powiedziała – co się tak trzęsiesz? Nie chcę mieć z tobą żadnych tajemnic. O co ci chodzi?

Ja na to, że o nic, nie mam po czym się uspokajać, ale ona śmiała się dalej. Pozwoliła mi policzyć palcem haftowane kwiaty, którymi pani Grill ozdobiła dekolt jej odświętnej rubaszki.

– Tylko sobie nie myśl – rzuciłem.

– A tobie o co znów chodzi. Ktoś w ogóle o tobie myśli? Uspokój się wreszcie.

Było mi żal Bat Ami, więc nie zaprotestowałem. Niech sobie mówi co chce. Żal mi jej było, bo latem zaczęły jej rosnać piersi, a Boaz, Joaw i Awner mówili, że włosy też. Szkoda, że nie da się jakoś tego cofnąć, a Bat Ami nie może stać się znowu taka jak przedtem. Ale choćby nie wiem jak chciała, nic na to nie poradzi. Nikt jej o zdanie nie pyta. Musi stać się kobietą, chociaż to bardzo przykre. Już nigdy nie będzie dziewczynką, nie będzie mogła więcej jeździć na rowerze jak chłopak.

To nie moja sprawa. Nie chcę myśleć o tym, co rośnie Bat Ami i o tych rzeczach. Jestem zastępcą Efraima. Zamieszkał sam za górami, w słońcu i wietrze, bez brzydkich myśli. Zahartuję się.

Przed snem stanąłem przy oknie i patrzyłem, jak starsi bracia Bat Ami pieką ziemniaki w ognisku na podwórzu i palą szmacianą kukłę. Na pewno przedtem nazwali ją Ernest Bevin, mszcząc się na angielskim ministrze żydożercy. Po chwili wychynał księżyc. Prześliznął się szybko między dwoma blaszanymi zbiornikami wody na dachu naprzeciwko. Bracia Bat Ami, nie wiedząc, że ich obserwuję, nasikali do ogniska, prosto na ziemniaki. Trzech spryciarzy aż rozpierała złośliwa uciecha, gdy rozeszli się, żeby skusić dziewczynki wracające z popołudniowych zajęć w szkole imienia Lamela do zjedzenia obsikanych ziemniaków. Już widzę, jak się trącają łokciami, nie mogąc opanować wstrętnego rechotu.

Nawet w nocy angielscy żołnierze uwijali się w świetle księżycyca na placu apelowym koszar Schnellera. Przez okno zdawało się, że wloką się ostatkiem sił. Jakże długa była droga

stąd do Tipperary. Podobno w przyszłym tygodniu w koszarach ma się pojawić Wysoki Komisarz na inspekcję garnizonu. Podobno dowódca podziemia ukrywa się gdzieś w Jerozolimie, obmyślając ostatnie szczegóły planu powstania.

Na w pół śpiąc, słyszałem fragmenty rozmowy rodziców, prowadzonej w ciemności na balkonie. Tata powiedział:

– W najbliższych dniach zaczniemy druk kart noworocznych. Pojutrze zaczyna się sierpień.

A mama:

– Koniec będzie taki, że tego twojego Efraima porazi prąd albo wyleci w powietrze. Wiecznie pracuje po nocy albo ni stąd, ni zowąd znika na kilka dni. Myślę, że robi bomby i miny dla chłopaków. Uriemu już do reszty zawrócił w głowie. Czuję, że to się źle skończy.

Tata odpowiedział:

– Efraim się w tobie zakochał albo co.

I parsknął cienkim śmiechem, jakby niechcący wyrwało mu się brzydkie słowo.

Mama odrzekła z powagą:

– Błąd.

Nie wyjaśniła, czy myśli, że tata się myli, czy też błędem jest miłość Efraima.

Potem oboje umilkli. Tata pewnie w milczeniu żuł swoje liście mięty. Mama pogrążyła się w rozmyśleniach. Księżyc porzucił moje okno i przepłynął na drugą stronę uliczki. Może zawisł teraz nad dachem naszego domu i sprawdzał, czy wyschła pościel i koszule na sznurze. Zgasilem światło. Ukryłem głowę pod poduszką- też miałem swoją piwnicę. Jesień będzie przełomowa. Przełomowa – to znaczy? Dokąd chodzi Efraim? Drukowanie kart noworocznych zdawało mi jałowe, żałosne, zenujące. O, psy się rozszczękały. I słycać jakieś krzyki: to na pewno towarzysz Grill, który był kierowcą w spółdzielni autobusowej „Ha-Mekaszer” i zawsze wracał do domu po dziesiątej w nocy, obudził swoim zwyczajem czwórkę dzieci, ustawił je rzędem w korytarzu i sprawiał im tęgie lanie za psoty minionego dnia. Po kolejnym ciosie Boaz nie wytrzymał i krzyknął:

– Żebyś zdechł!

Chwilę później rozległ się łoskot i głośnie szuranie, jakby ktoś toczył beczki ze smołą. Helena Grill wrzasnęła na całą dzielnicę:

– Morderca! Kozak! Ratunku! On zabija dziecko!

I zaraz wszystko ucichło.

Powiniennem był natychmiast wstać i pobiec na ratunek Bat Ami.

Za późno. W domu Grillów panowała śmiertelna cisza. Przyszli Kozacy i powyrzynali ich razem z dziećmi. Teraz rzeka krwi spływa lepką kaskadą po schodach i zaraz wypłynie na ulicę. Będę czuwał do świtu, wreszcie usłyszę wszystko na własne uszy. Sprawdzę, czy rzeczywiście roi się tu od szpiegów, czy mama wychodzi nad ranem albo Efraim zakrada się do nas, czy dowódca podziemia dosiada nocą konia. Nie zasnę, póki nie zrozumie, co tu się dzieje. Z tym postanowieniem zasnąłem niemal natychmiast, bo minął kolejny błękitny, upalny i męczący letni dzień.

## VI

W letnim skwarze ziemia na podwórzach przybrała barwę khaki. Spragnione oleandry poszarzały. Łodygi geranium miały odcień miedzi. Sterczące suche chwasty czekały na ogień.

Wszędzie piętrzyły się stosy złomu, potłuczonych naczyń, zardzewiałych puszek, zgniecionych tekturowych pudeł, podartych materaców, połamanych zagranicznych skrzyń, w których imigranci z Polski i Rosji przywieźli swój dobytek.

Pewnego ranka wpadł mi do głowy pomysł, żeby trochę odświeżyć nasze podwórze. Urządzić ogródek.

Przede wszystkim rzuciłem się na brzydkie słowa wyryte przez małych Grillów na zardzewiałej bramie. Tarłem ją wilgotną szmatką. Na próżno. Wysmarowałem warstwą błota. Też nic. Znalazłem stłuczoną butelkę i zacząłem skrobać. Skaleczenie zauważyłem dopiero, gdy krew poplamiała mi spodenki, podkoszulek i włosy. Musiałem zrezygnować: po zwycięstwie i wygnaniu Anglików nadejdzie nowa era. Wtedy w całym kraju zasadzimy cieniste ogrody. A tymczasem wszedłem do domu zakrwawiony jak bohater filmu, czym przeraziłem mamę.

W godzinach przedpołudniowych mama głównie leżała na kanapie. Zasłaniała oczy wilgotną kuchenną ścierką. Obok kanapy stawiała dzbanek lemoniady i kładła pakiecik aspiryny. Mniej więcej co dwie godziny próbowała się przemóc i nie zważając na upał podnosiła się, narzucała niebieski szlafrok, składała pranie i brała się do prasowania. Chwilami zamierała ze szczotką w rękę i stała wsparta na niej w geście rezygnacji. Zamykała gwałtownie okna, opuszczała żaluzje, żeby nie wpuścić do domu brutalnego światła, i nagle zmieniała zdanie, otwierała okna na oścież, bo było jej duszno. Czasem wchodziła do kuchni lub łazienki i odkręcała wodę we wszystkich kranach, żeby usłyszeć plusk. Kiedy szedłem w ślad za nią, próbując po cichu zakręcać krany, krzyczała, żebym przestał, żebym dał jej posłuchać wody, żebyśmy wszyscy przestali ją dręczyć. Zdarzało jej się w gniewie nazwać nas prymitywnymi dzikusami.

Ale gniew szybko jej mijał, zakręcała wodę i na przekór letniemu skwarowi malowała się, wkładała bluzkę z głębokim dekoltem i białe spodnie, a wtedy zdawała mi się jedną z tych piękności, w których kochali się zawsze bohaterowie filmowi: Esther Williams czy Yvonne de Carlo.

Odwiedził nas Efraim i zamontował jej przy łóżku specjalną lampkę nocną dającą rozproszone niebieskawe światło, podobne do blasku gwiazd: mama bała się ciemności, ale z całego serca nienawidziła światła.

W południe przyszedł z drukarni tata. Nozdrza mu drżały, gdy spytał bezbarwnym głosem:

– Kto tu był rano? Czyj to zapach?

Mama roześmiała się.

– Efraim Nechamkin przyszedł rano pograć ze mną w szachy. Co w tym złego. A przy okazji założył mi przy łóżku wspaniałą lampkę.

– Znowu Efraim – powiedział grzecznie tata i na jego ustach pojawił się belferski uśmiech.

Kilka dni wcześniej mama poprosiła Efraima, żeby ją zaprosił do warsztatu i pokazał, jak ładuje bomby dynamitem. Efraim jękał się, usprawiedliwiał, zaprzeczał słabo, zapewniał o swojej przyjaźni, mylił słowa, na koniec obiecał, że wszystko się dobrze skończy. Na to mama nie wytrzymała i krzyknęła:

– Szarlatan!

Nie znałem tego określenia. Z taty udało mi się wydobyć tylko tyle, że jest ono obraźliwe i nie pasuje do tak prostolinijnego chłopaka jak Efraim.

Po namyśle mama przyznała, że „szarlatan” istotnie nie pasuje do Efraima, ale dodała, że błaga, by tata skończył wreszcie z tą swoją gadaniną: przecież wie, jak okropnie ją latem boli głowa, więc czemu się z nią wiecznie spiera i dręczy ją po całych dniach zbędnymi dyskusjami?

W warsztacie prócz starych gazet zastałem ciszę i kurz: żadnych trzasków i świstów, żadnych częstotliwości. Efraim znowu zniknął. Wyruszył na swoje wędrówki i tylko stary poeta siedział tam i maczał zapalki w kłajstrze, po czym nagle chwycił srebrny pilnik do

paznokci i zaczynał rozbierać jakąś wieżę warstwa po warstwie, ponieważ jej istnienie nie było dostatecznie udokumentowane w źródłach.

Trzech braci Grillów poszło do lasu Tel Arza polować na lamparta, którego ślady odkryli kilka dni wcześniej: na pewno nocą opuszczał Pustynię Judzką i podchodził pod miasto, a może i w ciągu dnia ukrywał się tu w jakiejś grocie. Albo to nie był lampart, tylko hiena, którą nazywaliśmy z arabska *daba*. Kiedy *daba* widzi cię samego w nocy, wychodzi ze swojej kryjówki i staje ci na drodze, jeżąc przeraźliwie garbaty grzbiet. Chichocze przy tym straszliwie, aż oszalały ze strachu zaczynasz biec przez pomyłkę w stronę pustyni i gór, biegniesz i biegniesz, póki nie padniesz martwy, a wtedy hiena przychodzi i rozrywa cię na kawałki.

– Bat Ami – powiedziałem – mam tajemnicę, której nie mogę ci zdradzić.

– Przestań się popisywać. Pewnie masz taką samą tajemnicę jak wszyscy chłopacy, którzy przychodzą i chcą, żebym ich tam pomacała.

– Nie. Chodzi o co innego.

– Jeśli o co innego, to czego się trzęsiesz jak królik? Uspokój się, króliczku. Nie ma się czego bać.

– Jak zechcę, to mogę zabić Wysokiego Komisarza. Mogę w jednej chwili zniszczyć całą Anglię.

– A ja mogę się zmienić w nietoperza. Albo w Shirley Tempie.

– Chcesz poznać moją tajemnicę pod warunkiem że dziś też pozwolisz mi się pocałować tylko w głowę tylko jeden raz i będę mógł z tobą długo rozmawiać? – wyrzuciłem z siebie jednym tchem.

– Umiem sikać na stojąco. Jak chłopak. Ale ci nie pokażę.

– Słuchaj, Bat Ami, przysięgam, że nie o to chodzi, może myślisz, że jestem taki, ale nie, ze mną to co innego, przysięgam, daj mi wyjaśnić i porozmawiaj ze mną chwilę.

– Wcale nie co innego – stwierdziła Bat Ami ze smutkiem. – Jesteś taki sam jak wszyscy: spójrz tylko, jak się trzęsiesz. Jesteś chłopakiem, Kołodny, takim jak wszyscy chłopacy, i chcesz tego co oni, tylko się boisz powiedzieć. Patrz, już ci się nawet robią pryszczki na twarzy. Co się stało? Dlaczego uciekasz? Coś ci się nie podoba? Wystraszył się i ucieka. Czego uciekasz, co ja takiego powiedziałam? Wariat!

Za górami. Być tam samemu. Być dzieckiem gór.

Po kilku dniach wrócił Efraim, opalony i smutny. Także tym razem usta miał ściągnięte w grymasie drwiny i obrzydzenia, jak gdyby to, co zobaczył podczas swoich wędrówek, doprowadziło go na skraj załamania. Pan Nechamkin i ja wzmocniliśmy strażę na podwórzu, żeby dać mu odpocząć chociaż kilka dni. Mniej więcej co godzinę poeta i ja wyruszaliśmy na patrol wzdłuż zniszczonego ogrodzenia. Szliśmy w kierunku bramy, od czasu do czasu robiąc krótki wypad na uliczkę. I rzeczywiście udało nam się odeprzeć atak rozwódki Ester, nauczycielki robótek ręcznych z żeńskiej szkoły imienia Lamela.

Powiedzieliśmy jej, że Efraim jest daleko stąd, a ona uwierzyła, przeprosiła i obiecała przyjść jutro.

– W żadnym razie, droga pani, nie powinna pani pochopnie wymawiać słowa „jutro” – zganił ją pan Nechamkin jedwabistym głosem – wszak nigdy nie wiadomo, co przyniesie dzień. Szczególnie w dzisiejszych czasach.

Ja dodałem złośliwie:

– On nie potrzebuje gości. I tak ma co robić.

Ale Ruchamy, bezwzględnej studentki z Góry Skopus, nie zdołaliśmy powstrzymać. W samo południe, gdy opuszczono żaluzje we wszystkich oknach, ulice opustoszały, a miasto trawił szary pustynny żar, natknąłem się na nią, gdy w prostej niebieskiej sukience bez rękawów siedziała na kamiennych schodkach zasypanych martwymi igłami sosen. We włosach miała

kurz. Zginała i prostowała kawałek drutu. Może bezskutecznie usiłowała mu nadać jakiś kształt. Upał zdawał się jej zupełnie nie przeszkadzać, jakby jej żywiołem był chamsin.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Jestem zastępcą Efraima. On nie potrzebuje gości.

– To znowu ty, syn sąsiadów. Powinieneś się wstydić – powiedziała Ruchama ze smutkiem.

– Nie ma po co na niego czekać. On nigdy się z wami nie ożeni. Lepiej o nim zapomnijcie. Jemu tego wszystkiego nie potrzeba.

– Jesteś jeszcze mały – jej oczy błysnęły wesoło za szklami okularów – i nic nie rozumiesz. Właśnie tego mu potrzeba. I to jak. Każdemu tego potrzeba. Możesz tu chwilę posiedzieć, jeśli chcesz. Ty też niedługo dorośniesz i sam się przekonasz, jak bardzo będziesz tego potrzebować. Wtedy przestaniesz zgrywać bohatera. Czemu patrzysz na moje kolana? Chcesz dostać ode mnie po buzi, powiedz no?

Gdy Ruchama podniosła głos i zaczęła mi grozić, wyglądało to tak, jakby tłumiała szloch. Ja też zacząłem drżeć i czując, że zaraz się rozplączę, odwróciłem się i pobiegłem co sił w nogach na frontowe podwórze zalane palącym słońcem. W gąszczu chwastów spływający potem bracia Bat Ami walczyli z małym kociakiem, którego chcieli powiesić na niskiej gałęzi morwy. Zacząłem w nich rzucać z daleka kamieniami. Złapali mnie i tłukli po plecach, po brzuchu i twarzy, ale kotek zdążył tymczasem czmychnąć między śmietniki. Ja też się tam potem schowałem, żeby nie pokazywać, że płaczę. Widziałem, jak pan Nechamkin wyprosił Ruchamę i dreptał za nią przez całe podwórze aż do bramy i dalej w dół uliczką, starając się ją pocieszyć. Nie słyszałem, co mówił, mogłem się tylko domyślać, że były to słowa łagodne i pełne litości, aż wreszcie, udobruchana, poszła sobie.

Ona poszła, a ja stanąłem przed nim:

– I co będzie, panie Nechamkin?

– My, Uriel, będziemy nadal cierpieć i czekać. Ogromnie mi szkoda nas wszystkich. Mamy oczy, a jednak ujrzyć nam nie dane. Pozornieśmy uczynieni bez trwogi, lecz trawieni udręką. Od tej pory, mój dobry chłopcze, podwoimy straż: poeta Nechamkin i młodzieniec Uriel stać będą wytrwale na straży u bram. Nie roń łez, dzielny młodzieńcze, dość ich wylaliśmy przez wieki wygnania.

Pod wieczór Efraim się obudził. Wetknął kędzierzawą głowę pod kran i ociekając wodą wrócił w milczeniu do pracy. Mokrymi palcami zapalił papierosa. Nie odzywał się ani słowem. Przez półtorej godziny, dopóki mama nie wyszła na balkon i nie zawołała mnie do domu, siedziałem przed nim na podłodze w spodenkach gimnastycznych i koszulce „Młodych Machabeuszy”, obejmując rękami kolana, i przyglądałem się, jak Efraim rozkręca i skręca na nowo skomplikowaną tablicę rozdzielczą z mnóstwem dźwigni, uchwytów i guzików. Efraim milczał nieprzerwanie. Ja nie przeszkadzałem. Raz uniósł wzrok, roześmiał się ironicznie na mój widok i spytał ze zdziwieniem:

– Jeszcze tu jesteś?

Uśmiechnąłem się do niego. Chciałem być duży i pomocny, ale chciałem też pozostać mały, żeby mnie nadal lubił. Bałem się przyznać Efraimowi, że w trosce o jego sen przegoniliśmy Ester i Ruchamę. Wstyd mi było na wspomnienie, jak to Ruchama i ja obraziliśmy się nawzajem i omal się oboje nie popłakaliśmy.

Efraim powiedział:

– Mimo wszystko robimy postępy.

– A kiedy wreszcie będziemy mogli zacząć? – zapytałem.

Efraim wstał, pochylił się nade mną i gwałtownie obiema dłońmi ścisnął moją głowę, dotykając wargami czoła i policzków, przy czym mógł zobaczyć, że wypadł mi przedni ząb, a może też że na jego miejscu zaczął już rosnać nowy.



– Cierpliwości, Uri. Pożar wybuchnie we właściwej chwili i we wszystkich zakątkach kraju równocześnie. Jednak robimy postępy.

## VII

Pewnego piątku o siedemnastej trzydzieści, kiedy zbiele światło zaczęło przygasać i na uliczkę spłynęła inna, pełna zadumy poświata, Anglicy wprowadzili godzinę policyjną i zaczęli przeszukania w domach.

Smutek wigilii szabatu, niepewność wiatru w wierzchołkach drzew, którą poeta cierpliwie próbował rozszyfrować w swoich wierszach, obcość blachy wobec kamienia, powolne zacieśnianie się pierścienia gór, aromaty świątecznych potraw, wszystko to zostało brutalnie zakłócone. Wozy policyjne z megafonami na dachach wypełniły ulice zgiełkiem. Metaliczny głos ostrzegał mieszkańców po hebrajsku i angielsku, że za trzydzieści pięć minut rozpocznie się godzina policyjna, a rewizje potrważą całą noc. Nie wolno wychodzić. Nawet na balkony. Należy się podporządkować. Nie gromadzić zapasów. Współpracować. Kto opuści dom, naraża zdrowie i życie. Niniejszym uprzedza się mieszkańców.

Gdy samochód odjechał i metaliczny głos rozpląnął się po innych ulicach, Helena Grill wypadła na balkon i zaczęła wołać swoje dzieci. Niechlujna i zrozpaczona stała między blaszankami z kaktusem i asparagusem, głośno przeklinała i męża, i dzieci, lamentowała w jidysz, a kiedy zobaczyła, jak przechodzę przez podwórko, nazwała mnie durniem.

Pozostali sąsiedzi pobiegli do sklepu spożywczego, który ponownie otwarto, i rozchwytywali jajka, mleko, konserwy i chleb. Niektórzy się obawiali, że godzina policyjna potrwa wiele dni. Inni rozpowszechniali rozmaite pogłoski.

Co prawda nie był to wcale pierwszy raz: w owym czasie władze miały w zwyczaju otaczać zniecka kordonem tę czy inną dzielnicę i wdzierać się do domów, by ujawnić komórki podziemia i zarekwirować nielegalną broń.

Słyszając krzyki Heleny Grill, tata natychmiast wstał i wyszedł z kuchni, gdzie siedział i kroił cebulę w równe kosteczki.

Zdjął maminy fartuch, złożył go i odwiesił na miejsce, otarł czoło grzbietem dłoni i szedł na podwórze. Jedno po drugim wyłuskał dzieciaki Grillów z opuszczonej szopy i wyprawił do domu. Potem na kilka minut zamknął się w drukarni. Wreszcie wrócił pachnący cebulą i farbą ołowiową, obmył twarz i ręce w wodzie z mydłem i włożył do ust liście mięty. Oczy wciąż mu łzawiły od cebuli, gdy zapewniał mamę, że nie ma powodu do obaw: niczego u nas nie znajdują, choćby rozkręcili maszyny drukarskie do ostatniej śrubki.

Mama powiedziała:

– Jesteś pewien.

A tata:

– To było pytanie, komplement czy pretensja?

Mama odpowiedziała:

– Nie jestem pewna.

Na to tata stwierdził grzecznie:

– Naturalnie.

Doskonale wiedziałem, że tata ma rację: nie mamy powodu do obaw. Anglikom nie uda się znaleźć patriotycznych ulotek, które wymyślił Efraim, pan Nechamkin spisał w języku proroków, a tata i jego dwaj pracownicy złożyli i wydrukowali na żółtym papierze. Nie odkryją też pudełka za obruszonym kamieniem, bo je owinąłem jedwabną pończochą wypełnioną trocinami, które wymieszałem ze sproszkowanym czosnkiem dla zmylenia psów tropiących.

Nie uda im się, bo to my jesteśmy garstką sprawiedliwych, a oni tyranami.

O osiemnastej dzielnica została zamknięta. Ulice opustoszały. Z trzech stron zajęły pojazdy opancerzone i stanęły butnie dwoma kołami na jezdni, a dwoma na chodniku. W kierunku okien i dachów wycelowano lufy karabinów maszynowych. Ich uprząż z taśm nabojoych połyskiwała miedzią. Nawet czołg z prawdziwym działem zajął pozycję na spadku ulicy Sofoniasza, frontem do gasnących gór. Jakby właśnie stamtąd miały się nagle wyłonić legiony podziemia i wtargnąć do Jerozolimy.

Od strony koszar Schnellera nadjechały cztery wojskowe ciężarówki. Z okna salonu widziałem, jak wyskakują z nich żołnierze w pasach bojowych i rozbiegają się wzdłuż ogrodzeń domów, osłaniając się nawzajem. Każdy był uzbrojony w pistolet maszynowy i komandoski nóż w czarnej pochwie. Wyposażeni byli w prostokątne plecaki, manierki, ładownice i onuce, a mimo to nie wyglądali jak żołnierze z filmów: w większości byli wąтли i bladzi jak grzylcy, słońce Judei, któremu my zawdzięczaliśmy swoją opaleniznę, nie lubiło ich.

Żołnierz, który zajął pozycję przy bramie naszego domu, pomimo swojego munduru i ekwipunku przypominał mi nieśmiałego młodego kasjera z oddziału Banku Anglo-Palestyńskiego przy ulicy Chancellora. Chichotał nerwowo, długo wypychał bluzę w spodnie, wreszcie, nieświadomy, że ktoś może na niego patrzeć, zaczął energicznie dębać w nosie.

Żał mi się go zrobiło, jego i członków podziemia, zmuszonych przebywać w ukryciu. Było mi żal mojej mamy, pana Nechamkina, który leżał sam w domu, gorączkując w napadzie ciężkiej letniej grypy, i Efraima, który, ledwo ogłoszono godzinę policyjną, znów wyruszył na spotkanie losu w jakieś odludne miejsca, gdzie mogła się czaić hiena. Szkoda mi było nawet Heleny Grill, chociaż niezastuzenie nazwała mnie durniem. Gdziekolwiek spojrzeć, nic tylko smutek. Nielegalnych imigrantów odpędzają co dzień od naszych wybrzeży i pędzą na opustoszałe wyspy, jak Mauritius czy Zanzibar. Po wsiach grasują bandy złaknione krwi. A jeśli Jerozolima i biblijny Kraj Izraela wcale nie leżą tu, tylko gdzieś na drugim krańcu Ziemi? Przecież na przestrzeni tysiącleci mogła się wdać pomyłka. I to tam kwitnie róża Szaronu i lilia padolna, panuje cisza i pokój. Może powstało tam już państwo hebrajskie i tylko o nas zapomnieli wśród tych gór.

Przez chwilę pragnąłem wybaczyć wszystkim nienawistnikom Izraela, co było, minęło, Machabeusze z martwych nie powstaną, Bar Kochbę i tak pożarły lwy, Eleazar Hasmonejczyk zginął zmiądzony przez słońca, a Josef Trumpeldor – z rąk pustynnej dzicy. Starczy. Jak długo jeszcze Ruchama ma usychać w słońcu na schodach warsztatu, jak długo mamy ją przeganiać.

Odpędziłem te myśli. Na ścianie w mojej klasie wisiało hasło: „Nigdy nie wstąpi wróg w bramy tego miasta”, ale wróg już u nas jest, a my jesteśmy bezbronni. To ja czerwoną farbą napisałem na murze koło synagogi „Wolność albo śmierć”, więc nie mogę się nagle poddać. Niech przyjdą. Niech szukają. My przejdziemy próbę i dalej będziemy walczyć do ostatniego tchu. Nie mamy innego wyjścia.

Tymczasem posypały się rozkazy po angielsku. Żołnierze wkroczyli na podwórza. Powiał łagodny wieczorny wietrzyk, zdumiał się i ucichł. Nawet psy zamilkły. Ktoś kogoś skarcił: może jakiś żołnierz popełnił błąd albo się zawahał. Na końcu uliczki pojawił się ich kapitan, niski, zatroskany, o zwisłych ramionach. W jego ręce tańczyła krótka laseczka oficerska. Prawdopodobnie dzielił swoich ludzi na grupy, zmieniał zdanie i dzielił od nowa. W duchu zacząłem przemawiać do kapitana i dowodzić mu, że narodowi Izraela wyrządzono straszliwą krzywdę. Powoływać się na Biblię. Opowiadać o cierpieniach Żydów. Anglicy są przecież panami całych kontynentów i niezliczonych wysp, a my mamy tylko ten maleńki skrawek ziemi i nie ruszymy się stąd. W owym czasie krążyła pogłoska, że gdzieś w Jerozolimie albo w okolicy ukrywa się dowódca podziemia hebrajskiego, przywódca zelotów. Ja nazywałem go Królem Izraela. Wiedzieliśmy o nim tak niewiele.

Jedni mówili tak, inni dokładnie odwrotnie.

Kiedys po powrocie ze swoich wędrówek Efraim napomknął nam, że dowódca w dowolnym momencie może stać się niewidzialny dzięki tajemnemu wynalazkowi nauki.

Towarzysz Grill, kierowca spółdzielni „Ha-Mekaszer”, zarzekał się przed sąsiadkami, że pewnej nocy, gdy jego autobus się zepsuł i utknął w szczerym polu na południe od Jerozolimy, między dzielnicą Arnona a kibucem Ramat Rachel, i dzwony w Betlejem wybiły północ, minął go w świetle księżyca samotny jeździec na wspaniałym koniu, i zanim pogalopował w dal, w kierunku Wzgórza Złej Rady i Góry Syjon, przystanął na krótką chwilę, zwracając się do towarzysza Grilla po imieniu:

– Zewulun, nie obawiaj się, nie jesteś tej nocy sam. Wielu z nas dzisiaj walczy.

Niektórzy utrzymywali, że dowódca podziemia to żydowski generał, były zastępca sowieckiego marszałka Żukowa, którego czołgi przedarły się przez front nazistowski pod Rostowem w roku czterdziestym czwartym i który potem przeniknął do Palestyny przez Kaukaz i Lewant, by potajemnie zagrzewać hebrajską armię cieni do walki.

Nikt nie był w stanie odwieść pana Nechamkina od głębokiego przekonania, że ów nadzwyczajny mąż ukrywa się od siedmiu lat pośród rozpadlin skalnych Pustyni Judzkiej, wypasa wielbłądy i kozy, doświadcza wizji, ukrywa twarz pod opończą niczym plemienny przywódca i przekazuje rozkazy do Jerozolimy przez małych bosych chłopców, których nikt nie odróżni od dzieci beduińskich.

– Niedoczekanie – mawiał pan Nechamkin – niedoczekanie, żeby ta niezwykła postać wpadła w angielskie ręce.

To on, gdy nadejdzie czas, zasiądzie w Jerozolimie na tronie królów judzkich. Poeta poświęcił mu kilka wierszy, które nam raczył odczytać, między innymi cykl poematów „Który pada, oczy mając otwarte”<sup>7</sup>, „Hymny o marzeniach i walce”, „Przychodzącemu z Seiru” oraz krótką elegię „Miecz i tęsknota”.

Tata słuchał uprzejmie całej tej gadaniny, opowieści towarzysza Grilla, poezji pana Nechamkina, granych przez mamę melodii, lecz sugerował, by traktować to wszystko z rezerwą: kto wie. Może tak jest, a może nie. Wprawdzie w braku faktów wolno snuć różne domysły i on też nie zatai przed nami swych przypuszczeń: nie ma jednego dowódcy. Czas jednostek, jak sądził tata, minął bezpowrotnie. Jest może jakaś rada, rodzaj komitetu, kilku Żydów o bystrym umyśle, niekoniecznie młodych, pewnie rozproszonych po kraju wśród najniewinniejszych profesji, jak kupiec, nauczyciel czy aptekarz, i to oni prowadzą podziemną wojnę. Każdy – mówił tata – może być jednym z nich. Nie mamy sposobu, by rozpoznać, kto jest kim. Nawet niezwykła opowieść naszego sąsiada, towarzysza Grilla o jeźdźcu, świetle księżyca i zepsutym autobusie może wcale nie być niewinnym wytworem fantazji, lecz wyjątkowo sprytnym kamuflażem. Tak czy inaczej, efekty są, zdaniem taty, wymowne: Brytyjczycy siedzą tu u nas jak na przysłowiowych szpilkach. Niemal co noc dzwonią szyby w oknach, a jęzory ognia wznoszą się w niebo z bastionów władzy angielskiej: Bevingradu. Koszar Schnellera. Obozu Allenby’ego. Hotelu King David. Sztabu tajnej policji na ulicy Mamiła. Jak to się mówi, ziemia pali im się pod nogami. Nawet Wysoki Komisarz nie może spać spokojnie w swojej rezydencji. Najważniejsze, żebyśmy umieli zachować równowagę między hebrajskim gniewem a mózgiem żydowskim, liczyli się z rzeczywistością i nie przeciągali struny zbyt wcześnie.

Mama mówiła:

– Zamiast drukować karty noworoczne twój ojciec powinien być zostać ministrem.

Poeta Nechamkin dodawał:

---

<sup>7</sup> Cytat z Księgi Liczb 24,16.

– A ręce to ręce Jakuba. Pani Kołodny nie okazuje nam zbytnej przychylności. Niechże łaskawa pani nam wybaczy, cierpienie przez nas przemawia. Wszak nasze intencje są jak najlepsze, czemu więc pani traktuje nas tak surowo?

Co do mnie, nawet w kazamatach Dzielnicy Rosyjskiej nic ze mnie nie wycisną. Choćby mi przypalali skórę papierosami, jak dzieciaki Grillów papudze pani Wiśniak. Mogą mi zrywać paznokcie, i tak nie wydobędą ze mnie ani słowa. Będę pogardliwie milczał. Jestem przecież zastępcą Efraima. A przynajmniej jednym z zastępców. Trzy godziny przesiedziałem onegdaj w warsztacie, drżąc z dumy na całym ciele, nanosząc strzałkami na mapę Jerozolimy plan operacji „Jan z Giszali”. Efraim swoim zwyczajem udzielił mi jedynie najogólniejszych wskazówek:

– Zawsze nacieraj od skrzydła. Zawsze od strony lasów. Z dolin. Z najmniej spodziewanych kierunków.

Przejrzał w milczeniu moje szkice, coś zmienił, coś poprawił, uśmiechnął się, tu usunął, tam dodał, powiedział „błyskotliwe rozwiązanie”, z żalem wskazał na jakiś niedopracowany szczegół. W tym momencie wezbrały w nim ciepłe uczucia, przytulił mnie, pogłaskał po włosach, westchnął i nagle mnie odepchnął.

Jeśli zdarzało mi się krzyczeć w nocy, oboje rodzice wstawali zagrzać mi szklankę kakao i siadali na brzegu łóżka, błagając „przestań, przestań”, aż się uspokajałem.

Może myśleli, że niepotrzebnie pozwolili mi czytać przerażającą książkę o psie Baskerville’ów. Może martwili się, że łobuziaki Grillów mają na mnie zły wpływ. Nie zaprzeczałem, bo przysięgłem milczeć do końca.

## VIII

Zapadał zmierzch. Tylko w szybach domu naprzeciwko płonęły wciąż plamy ognia i krwi. Uliczka chłoneła cienie. Staliśmy w oknie salonu, mama wsparta na ramieniu taty, a ja w środku przed nimi, jakbyśmy się ustawili do urodzinowego zdjęcia przed fotografem, panem Kovacsem. Spoglądaliśmy na zewnątrz. Czekaliśmy. Żadne z nas się nie odzywało. Na dworze żołnierze Szóstego Pułku Powietrznodesantowego podzielili się na grupki i zaczęły rewidować domy. Gdzieś bardzo daleko padł pojedynczy strzał. Zegar w koszarach Schnellera wybijał siódmą. Wiedziałem, że nie wolno wierzyć temu zegarowi, bo zawsze wskazuje trzy minuty po trzeciej. Krwawe plamy w oknie naprzeciwko zgasły i zapanowała ciemność, lecz była to ciemność szarawa, nie czarna, bo niebo wciąż rozjaśniała luna odległych pożarów. U nas pożaru nie było, tylko niedogaszzone ognisko małych Grillów dymiło i kopciło bez płomienia.

Zdawało się, że tym razem mrok spłynie na nasze kamienne domy, na konający sad wokół nich, na rdzę balkonów, na blaszane ściany szop, na połamane płyty, na chwasty, na szczekanie psów, na całą Ziemię nie na jedną noc, lecz na zawsze. Mama przerwała milczenie:

– Dziś nie szukają ulotek, ani nawet pistoletów i materiałów wybuchowych. Jego szukają.

Tata powiedział:

– To nic. Jeśli, nie daj Bóg, kogoś złapią, ktoś inny zajmie jego miejsce.

Mama powiedziała:

– Nie złapią go.

A ja:

– Ale są różni szpicle i mogą na niego donieść.

– Żaden szpicel – powiedziała mama – nie mógłby im go wydać, Uri, bo jego nie ma. To znaczy w ogóle go nie ma, on nie istnieje. Wymyśliła go Agencja Żydowska. Wymyślili go Arabowie. My sami. Anglicy go wymyślili w swoim brytyjskim obłędzie i teraz ganiają za

nim z tommy gunami, wpadają do naszych domów i przewracają do góry nogami cały kraj, ale i tak go na pewno nie złapią, bo on jest jak muzyka i jak tęsknota. Jest ich zmorą. Jest zmorą wszystkich. Niech szukają! – wykrzyknęła nagle z desperacką radością. – Niech szukają, aż całkiem stracą rozum! Nie odpowiadaj mi. Ty też nie. Milczcie obaj. I tak tylko ja mogę z nimi rozmawiać. Nie wtrącajcie się, żeby wam nie powiedzieli *you bastard, you bloody Jew. Come in, please*, proszę wejść, kapitanie, i wypełnić swój obowiązek. W lodówce mamy butelkę lemoniady. Poczęstujcie się panowie, proszę, a potem wypełnijcie swój obowiązek. Dobry wieczór.

Weszli do środka i stali zmieszani w korytarzu przy wieszaku, na którym w letnie dni wisiał tylko kaszkiet taty, jedwabna chustka i koszyk na zakupy. Kapitan odpowiedział grzecznie „dobry wieczór”, usprawiedliwiał się i wyjaśnił, dlaczego jemu i jego ludziom nie wolno się na służbie częstować lemoniadą. Potem nagle przypomniał sobie, że należy zdjąć czapkę w obecności damy i zapytał, czy mógłby rozejrzeć się po mieszkaniu: postara się oczywiście zając jak najmniej czasu. Tak mu przykro.

Tata i ja milczeliśmy. Mama mówiła za nas. Powiedziała:

– Naturalnie.

I uśmiechnęła się.

Żołnierze, trzech wąтли chłopcy w krótkich spodenkach khaki i wojskowych skarpetach do kolan, tłoczyli się nadal przy drzwiach, jakby gotowi byli natychmiast się wynieść na najłżejszy sygnał, że ich odwiedziny są niepożądane. Tymczasem kapitan zdołał przemóc zmieszanie. Wciąż zachowywał się tak, jakbyśmy my, jego ludzie i on byli grupką obcych sobie, dobrze wychowanych osób, które w przykrych okolicznościach znalazły się razem w zepsutej windzie. Nawet kiedy poprosił tatę, żeby stanął z podniesionymi rękoma twarzą do ściany, a mamę, by zechciała łaskawie usiąść w fotelu i wziąć uroczego synka na kolana, zdawało się, że uprzejmy kapitan podsuwa życzliwie skuteczny skautowski sposób na wydobycie się z pułapki, który choć wymaga odrobiny tężyzny fizycznej, pomoże zmniejszyć dyskomfort, jaki odczuwamy pomimo dobrej woli i bezdyskusyjnej przyzwoitości wszystkich zainteresowanych.

A jednak nie zdjął ręki z czarnej kabury pistoletu: ostatnio w Palestynie miały miejsce niewiarygodnie paskudne incydenty, i to za każdym razem o nieoczekiwanych porach i w porządnym z pozoru miejscach.

Trzej żołnierze sprawdzili półka po półce regał z książkami, ostrożnie odłożyli na bok poezje zebrane Bialika i „Perły literatury”, by zobaczyć, co się za nimi kryje, podnieśli wieko pianina i myszując wśród strun zbadali jego wnętrze, zdjęli portret pioniera orzącego pola Doliny Jezreel, obojętnego na wrony w tle, opukiwali ścianę za obrazem i uważnie słuchali echa. Unieśli głowę Szopena, potrząsnęli nią lekko i odstawili z szacunkiem na miejsce. Kapitan był ciekaw – proszę mu wybaczyć – co to za człowiek i co oznacza napis. Mama znów przetłumaczyła z polskiego: „Z całą żarliwością i do ostatniego tchu”.

– Bardzo przepraszam – powiedział trwożliwie kapitan, jakby nieumyślnie zakłócił jakiś dziwny obrzęd albo skalał dotykaniem święte drzewo.

Potem zaczęli przeszukiwać szafy, zaglądać pod łóżka, uderzać delikatnie w ściany kolbami pistoletów i nasłuchiwać odgłosu. Cały czas siedziałem z mamą w fotelu, odwracając wzrok, by nie widzieć taty stojącego z rękoma w górze, z twarzą przyciśniętą do ściany. W duchu powtarzałem sobie cztery główne zasady dla przesłuchiwanym z użyciem tortur. Nauczył mnie ich Efraim, a może nawet sam je wymyślił.

Ale do przesłuchania nie doszło.

Kapitan wyraził tylko uprzejme życzenie, by tata zechciał oprowadzić jego i jego ludzi po drukarni: zgodnie z posiadaniem przez niego wykazem powinna się ona znajdować w piwnicy budynku.

Kończąc przeszukanie, zabrali z piwnicy trochę gotowych wydruków. Ponieważ nie byli w stanie przeczytać, co było na nich napisane, musieli wziąć do kontroli po jednym z każdego rodzaju. Były to etykiety na opakowania z macą przygotowane na święto Pesach, formularz darowizny na sierociniec Diskina, kwity, rachunki i biuletyn oszczędnej gospodyni. Kapitan na tym poprzestał. Było mu przykro z powodu wszelkich niedogodności. Wyraził nadzieję, że czekają nas lepsze czasy, które zapewne nadejdą już niebawem. Jeden z żołnierzy nazwał mnie „małym skautem”. Inny czknął i wzdrygnął się cały pod spojrzeniem, jakie mu rzucił kapitan.

Potem wyszli.

Uliczkę okrył już mrok. Jedyna latarnia, kiwając się na wietrze, znaczyła asfalt nerwowymi kręgami żółtego światła. Było ono najzupełniej zbędne: choć zakończono przeszukania, nadal obowiązywała godzina policyjna. Na naszej uliczce nie było żywej duszy, nie licząc zbłąkanych psów. Te psy żyły dzięki resztkom ze śmietników. Nikt tu nie chciał trzymać psa w domu. Ale też nikt się nie kwapił, by je usunąć czy zgładzić. Niech sobie będą.

Tata powiedział:

– Trzeba przyznać, że zachowali się nie najgorzej.

Mama odpowiedziała:

– Co za ohydni pochlebcy.

– O co ci chodzi – zdziwił się tata. – Po prostu tak są wychowani. Działają, jak to się mówi, w białych rękawiczkach.

– Nie oni. Wy. Wy obaj. I nie odpowiadajcie mi. Dosyć.

Na dworze w pustej uliczce bezpańskie psy podniosły zaślinione pyski i zawyły do księżycy.

Tata powiedział:

– Chodź, Uri. Dziś my zrobimy kolację. Mama źle się czuje.

## IX

Z końcem szabatu zniesiono godzinę policyjną.

Krążyły pogłoski, że przeszukania prowadzone są teraz w odległych dzielnicach południowych: Bajit wa-Gan, Mekor Chaim, Arnona i Talpijot.

Tata wyraził pogląd, że wszystko, co mówił Efraim o wynalazku, dzięki któremu dowódca podziemia może stać się niewidzialny, jest czystym wytworem fantazji. Należy raczej przyjąć, że stosuje on prostą zasadę: przemieszcza się z dzielnicy do dzielnicy za obławą i zawsze przebywa w rejonie, gdzie właśnie zakończono przeszukania. Takie rozwiązanie tata uznał za logiczne, choć nie jedyne możliwe.

Mama powiedziała:

– Z tego by wynikało, że teraz jest u nas.

– Jeśli chcesz w to wierzyć – odrzekł tata z uśmiechem.

– Szabat się skończył – ciągnęła mama, nie zważając na jego uśmiech – i jeśli na chwilę przestaniemy gadać, może usłyszymy z daleka dźwięk kościelnych dzwonów. Dzwony kogoś wzywają. Wieczór kogoś wzywa. Ptaki proszą o uwagę. Na każdym z jerozolimskich wzgórz wzniesiono dzwonnice, by dzwonić w przestworza. Kiedy wezwą i nas? Może już wzywali, a my przez to gadanie nie słyszeliśmy. Cicho! Proszę, Kołodny, puść teraz moją rękę. Zostaw mnie. Czemuś się do mnie przyczepił.

– Uspokój się – poprosił tata.

Po namyśle dodał:

– Dawno nie wychodziliśmy razem. Może pójdziemy do kina, posiedzimy w kawiarni jak ludzie. Przecież życie toczy się dalej.

W niedzielny ranek mama zeszła na podwórze z balią prania w ręku. Wymknąłem się za nią niezauważony. Poranne niebo było zachmurzone, brudne, jakby już nadeszła jesień, ale ja dobrze znałem te poranki i wiedziałem, że to jeszcze nie jesień, tylko pewna zapowiedź ciężkiego upalnego dnia. Widziałem, jak szybki dreszcz przebiegł po ramionach i karku mamy. Stała samotnie w słabym szarym świetle, w którym kamienie, wierzchołki drzew i asfalt przybrały niepewny niebieskawy odcień. Zdawało się, że światło to rzeka, domy – jej brzegi we mgle, a wszystko co między nimi unosi niedostrzegalnie powolny nurt. W korycie rzeki tkwiły wystawione wzdłuż chodnika śmietniki. Niosła ona woń oleandrów. Zapach ryb. I jeszcze jakiś lekki, niemal przyjemny fetor. Właściwie nie była to rzeka, lecz pomarszczona wiatrem tafla światła. Woal. Gdzieś w pobliżu mieszkała zawzięta kukułka, która wciąż powtarzała to samo trwożliwe zdanie, jakby nie wolno jej było dłużej milczeć. Na żerdkach gołębnika stały trzy gnuśne gołębie, wymieniając poglądy i przypuszczenia. Na kukułkę nie zwracały najmniejszej uwagi.

Mama stała boso na sosnowych igłach w cieniu płochych wierzchołków drzew, rozwieszając na sznurze prześcieradła. W chwilach, gdy rozkładała szeroko ramiona, musiałem się powstrzymać z całej siły, żeby nie podbiec do niej, nie wtulić się nagle w jej plecy i nie wyjawić tajemnic związanych z Bat Ami i z planem operacji „Jan z Giszali”. Radio w oddali grało lekką poranną melodię. Mama potrafi śpiewać, ale nie śpiewała. Sprzedawca warzyw, właściciel sklepu spożywczego i fryzjer podnieśli już zwijane blaszane rolety i otworzyli swoje interesy. Tylko aptekarka pani Wiśniak jak zwykle się spóźniała. Sprzedawca warzyw wystawił na chodnik skrzynki jabłek, cebuli, bakłażanów i dyń. Natychmiast obsiadły je osy. W oknie sklepu spożywczego wisiał lep pełen musznych trucheł i stał słoik z kolorowymi gumami do żucia, dwie sztuki za milla. Oba sklepy oddzielało drzewko oliwne. Passiflora oplotła się na nim, zapalając w gałęziach niebieskie płomyki. Z daleka mogło się zdawać, że oszalała oliwka rzuciła się w ogień.

Kobiety powychodziły na balkony i rozkładały na balustradach pościel, by pozbyć się zapachów nocy. Poduszki i pierzyny przydawały ulicy Sofoniasza dojmującej frywolności, nie sposób było odegnać myśli o nocy i żonach sąsiadów w nocy wśród piernatów.

Na szerokich parapetach, między sadzonkami asparagusa, które rosły w puszkach po konserwach wypełnionych ziemią, stały szczelnie zamknięte słoiki, a w nich ogórki kwasły się w bladezielonym płynie przyprawionym liśćmi laurowymi, pietruszką i małymi ząbkami czosnku. Jak tylko wreszcie powstanie państwo hebrajskie, wszyscy powstaniemy i ruszymy w doliny i pola. Całe lato przemieszkamy w chatynkach strażników pośród sadów. Konno będziemy gnać do wodopoju, będziemy pędzić stada na pastwisko. Jerozolimę porzucimy na pastwę ortodoksów.

Pożyczonym od Efraima scyzorykiem wycinałem w kawałku sosnowej kory kolejną fregatę, by dołączyć ją do wojennej floty kotwiczącej w moim pokoju na półce w oczekiwaniu na właściwy czas.

Wśród martwych sosnowych igieł na podwórzu wyrosły zdziczałe kłosa i teraz żółkły, jakby chcąc wtopić się w uschłe chwasty. Były tam potłuczone butelki, strzępy gazet, szerniałe deski. Pod jedną z nich znalazłem kiedyś wystraszonego żółwia i bardzo długo czekałem, żeby się uspokoił i wysunął głowę ze skorupy, aż w końcu nie mogąc się doczekać, podniosłem go i zobaczyłem, że nie było tam żadnego żółwia, tylko pusta skorupa, a żółw dawno umarł, albo nie umarł, tylko obrzydła mu ciasnota i sobie poszedł.

Moja fregata pękła na dwie części. Zrezygnowałem z floty. Zacząłem ryć scyzorykiem swoje imię na zardzewiałej puszcze. Powstał przy tym okropny hałas, tak że mama, z balią opartą na biodrze, skrzyczała mnie, żebym ją przestał doprowadzać do szału od samego rana.

– Ja pracuję – powiedziałem.

– Jesteś niepoczytalny, i tyle. I jeszcze mnie chcesz doprowadzić do obłądu.

– Nie ma powodu do gniewu, pani Kołodny – odpowiedziałem grzecznie jak mój tata.

W duchu pomyślałem: musimy w każdej sytuacji zachować zimną krew. Nie wdawać się w zbędne utarczki. Całkowicie przejęliśmy inicjatywę, a oni stopniowo tracą równowagę.

– Idę odpocząć – stwierdziła mama. – Jest mi gorąco. Jeśli ktoś przyjdzie, powiedz, że nie ma mnie w domu.

Po śniadaniu na moim parapecie rozgorzała jedna z rozstrzygających bitew o Berlin. Szpice pancerne kolumn hebrajskich, rosyjskich i amerykańskich nacierały na miasto od strony lasów i jezior, deptając po piętach szczątkom dywizji nazistowskich, tratując barykady i burząc fronty kamienic ogniem dział. Za dziewięć dni skończą się wakacje i pójdę do piątej klasy. Do tego czasu rozgromimy wroga. Bestia zostanie pojmana w swej jaskini i podda się bezwarunkowo.

Na balkon naprzeciwko wyszła Helena Grill. Zaczęła zbierać pościel z balustrady. Pod rozchełstany szlafrokiem i koszulą nocną rysowały się wyraźnie jej mocne piersi. Z całych sił walczyłem, by zdusić w sobie wyobrażenie szorstkich rąk Efraima. Dzieciaki Grillów na pewno znów poszły do lasu Tel Arza sprawdzić, czy lampart wpadł w zmyślną pułapkę zastawioną przed wprowadzeniem godziny policyjnej. Towarzysz Grill prowadzi teraz swoje zielone fargo linii osiem w kierunku Mekor Chaim, zabiera pasażerów z przystanków i prosi stanowczo, by przechodzili na koniec autobusu. Ma w wozie dziurkacz do kasowania biletów i przyrząd wyglądający jak małe srebrne organy, do którego wrzuca od góry monety, a dołem, naciskając dźwignię, wydaje resztę. Serce mi się rwało do dziurkacza i srebrnych organów. Jeśli po zwycięstwie Bat Ami zgodzi się wyjść za mnie za mąż, pozwolę jej się dotykać przez spodenki gimnastyczne pod warunkiem, że będę mógł zagrać na organach jej ojca, wrzucić do środka i wyjąć dołem monety różnej wielkości i zrobić w biletach dziurki w kształcie gwiazdek. Helena Grill wciąż stała na balkonie. Podlewała teraz geranium kwitnące w zardzewiałej puszcze po oliwkach. Płynąca z konewki woda wyglądała jak okruchy szkła rażone światłem. Sąsiadka nuciła sobie jakąś polską piosenkę, przepelnioną żalem i tęsknotą.

Dwaj pracownicy z drukarni taty, Abrasza i Lilienblum, przyszli właśnie z poranną gazetą. Wstrzymałem ogień na przedmieściach Berlina i pobiegłem sprawdzić nagłówki. W gazecie opisywano wielką oblawę, którą przeprowadzili Anglicy w całym kraju, i krwawy incydent w jednym z kibuców: pionierzy przeciwstawili się próbie zarekwirowania broni służącej im do obrony, dwóch z nich postrzelono, a wielu innych umieszczono w obozach dla internowanych.

Tata zrobił czarną kawę dla Abraszy i kawę z mlekiem dla Lilienbluma. Odwrócił gazetę, przejrzał uważnie nekrologi na ostatniej stronie, westchnął i zdjął okulary. Potem odsunął gwałtownie na bok swoje rachunki i resztki śniadania, łapiąc przy tym w porę przewracający się słoiczek z kefirem, szybko wstał i zasugerował, że czas w końcu wziąć się do pracy. Dochodzi wpół do dziewiątej.

– Oczywiście – dodał tata – o ile nikt nie ma ochoty na następną kawę.

Ja też zszedłem za nimi do piwnicy. Wiedziałem, że przed przeszukaniem tata ukrył patriotyczne ulotki w szczelnej puszcze, która spoczęła na dnie beczki z farbą drukarską. Chciałem zobaczyć, jak będą wyławiać z głębin tę łódź podwodną i sprawdzić, dokąd ją przeniosą, ale tata po zastanowieniu postanowił nie zmieniać kryjówek, bo okazała się niezawodna. Uruchomił elektryczną maszynę drukarską i zaraz ją wyłączył. Sprawdził ostrożnie cylindry prasy, wpuścił kilka kropel oleju do tłoków, które Lilienblum nazywał pistonami. Potem ponownie włączył maszynę i przeszedł do stołu zecerskiego.

– Zerwałem z Lindą – rzucił nagle Abrasza, jakby wracał do przerwanej rozmowy – tym razem na dobre.

– Co? Znowu? – spytał tata ze smutkiem. Domyślałem się belferskiego uśmiechu na jego twarzy.



– To koniec. Złapała sobie syna Hamidoffa z Barclay’s Banku i w przyszłym tygodniu jedzie z nim do Paryża. Bez ślubu.

– Co można zrobić – próbował pocieszać tata – i tak nie była dla ciebie dość dobra.

Lilienblum ryknął tubalnie:

– Niech szczerze ich imię i pamięć. Anglicy, Francuzi, dziewczyny, to jedno gównu. *Drek*<sup>8</sup>. Trzeba ich wszystkich stąd przegnać. I doktora Weizmanna też.

Abrasza był milkliwym albinosem o twarzy pozbawionej brwi, o białych włosach i papierowej skórze. Obsługiwał gilotynę. Wyobrażałem sobie, jak po złapaniu przyprowadza do tej piwnicy Wysokiego Komisarza i Efraim bez mrugnięcia okiem za pomocą maszyny Abraszy wykona na nim wyrok: nie wolno nam się litować nad wrogami Izraela. Nie będziemy ich o nic błagać, jak doktor Weizmann. Nieśmiały, roztargniony uśmiech tańczył na wargach Abraszy, kiedy przycinał brzegi arkuszy z kolejnej ryzy. Ja wpychałem pod koszulkę spadające na podłogę papierowe węże.

Lilienblum, ortodoksyjny żyd, zaczął składać litery w podłużnej formie. Używał do tego stalowych cęgów. Szkła jego okularów też tkwiły w dwóch obręczach z cienkiej stali. Nazywał mnie szajgecem, rozplływał się nade mną gromkim głosem: *A jidysze jingele mit a goisz ponim, a pogromszczyk mit a goldene neszome*<sup>9</sup>.

Ale tym razem nie mówił do mnie, tylko mamrotał do siebie, jakby się nie mógł pogodzić z nieprzyzwoitym faktem, o którym dowiedział się rano:

– Barclay’s Bank i dziewczyny. Fuj. *Drek*.

Wyszedłem na podwórze. Świetlisty czar prysł i na drzewach ani pod nimi nie pozostało nic z porannej rzeźkości. Tak jak przewidziałem, powietrze rozżarzało się stopniowo. Dzieciaki Grillów nie wróciły jeszcze z polowania. Żeby mnie rozżłościć, bracia Bat Ami wygłaszali swoją durną rymowanekę: „Uri Kołodny, kapeć niemozny”. Albo: „Kołodny, ty sowo, zaraz oberwiesz zdrowo”. Do tego wygadywali świństwa o Efraimie Nechamkinie i mojej mamie. Na zardzewiałej bramie żółtą farbą wymalowali napis: „Stóknienty Frojka podsuwa matkę Uriego”.

Pod tym zdaniem odkryłem nagle późniejszy dopisek i chociaż go nie rozumiałem, natychmiast się rzuciłem z paznokciami, żeby go zdrapać:

„I samego Uriego teraz”.

Kwadrans po dziewiątej w uliczkę wjechał samochód z piekarni Angelów. Nie wiedzieć czemu stanął pod naszą bramą. Przestałem zeskrobywać nowy napis i obejrzałem się, żeby zobaczyć, co się stało. Było gorąco. Rozsierdzone osy zebrały się przy ciekącym kranie. Wśród uschłych chwastów fruwał daremnie zbłąkany motyl. Powietrze pachniało kurzem. Z szoferki wyskoczył Żaki, chłopak z piekarni. Rozejrzał się szybko po naszej uliczce, otworzył od zewnątrz tylne drzwi samochodu i spośród koszy z pieczywem wyciągnął zaskoczonego, mrugającego pana. Był to nieduży mężczyzna w ciemnym garniturze, z torbą narzędzi w ręku. Nie mogłem zrozumieć, po co nam sprowadzają lekarza z kasy chorych. Może mama znowu zemdląła albo Helena Grill dostała ataku hysterii. Ale od kiedy to przywozi się lekarzy samochodem do rozwożenia pieczywa? Gdy Żaki i lekarz mijali mnie biegiem, kierując się ku schodom do drukarni, nagle go rozpoznałem: nie był to żaden lekarz, tylko pan Szczupak, właściciel salonu sukien „Riviera” z ulicy Króla Jerzego. Pamiętałem, jak mama zabrała mnie dzień po święcie Lag ba-Omer do salonu „Riviera”, żeby pomógł jej wybrać sukienkę na lato. Chyba wybór ją rozczarował, bo zmieniła zdanie, zrezygnowała z zakupu sukienki i postanowiła pójść do innego sklepu, żeby kupić gramofon na raty. Pan Szczupak się nie obraził, tylko zaprosił ją ponownie do swego salonu, innym razem, może po świętach. Jesienią będzie miał nowe wzory. I sama moda się zmieni.

<sup>8</sup> Jidysz: brud, śmiecie; wulgarnie: gównu.

<sup>9</sup> Jidysz: żydowski chłopiec z gojowską buzią, pogromszczyk o złotym sercu.

Efraim wyłonił się skądś w niebieskim kombinezonie, dogonił Zakiego i pana Szczupaka, delikatnie ujął gościa pod łokieć i poprowadził na dół, do drukarni. Nie zamienili z sobą ani słowa. Żaki odwrócił się na pięcie, wymknął się na uliczkę, obrzucił czujnym spojrzeniem dachy i balkony, wciągnął nosem powietrze, podjął decyzję, wskoczył do szoferki i na wstecznym biegu wyprowadził samochód na główną ulicę. Smród benzyny na krótką chwilę zmieszał się z zapachem kurzu. Wkrótce pozostał tylko kurz i rozjuszone osy przy kapiącym kranie.

– Wychodź stąd. Ale to już, w tej sekundzie – polecił mi tata bezbarwnym głosem.

Prawie nigdy nie zwracał się do mnie w ten sposób.

Natychmiast usłuchałem i wyszedłem z drukarni, ale zdążyłem jeszcze zauważyć, że gościem ostatecznie nie był wcale pan Szczupak, tylko inny mężczyzna, podobny do niego, na pewno starszy, jakby jego wyblakłe i nieco zużyte wcielenie. Mógł to być na przykład starszy brat pana Szczupaka. Widziałem, jak Efraim i gość znikają w wąskim przejściu między spiętrzonymi belami papieru. Zadrżałem, jak gdyby ktoś przyłożył mi do pleców lód: niech mnie zabiją. Niech mi zerwą wszystkie paznokcie. Niech nawet zamordują Bat Ami. Nigdy nie zdradzę.

## X

W południe bracia Bat Ami wrócili z polowania. Z radością zauważyłem, że lampartowi udało się ich przechytrzyć, chociaż, co mnie nie cieszyło, nie wrócili z pustymi rękami. Przynieśli z sobą tekturowe pudło pełne lśniących miedzianych łusek po nabojach. Niech im będzie. Co tam. Ja wiem, a oni nie mają pojęcia. W trzech punktach, przy tylnych drzwiach na klatkę schodową, koło wejścia do szopy na podwórzu i w jeszcze jednym miejscu ukrytym wśród gałęzi morwy, zdążyłem już rozmieścić zamaskowane ładunki wybuchowe, tak jak mnie uczył Efraim. Były to puszkki z naftą, wyposażone w lont do zdalnego odpalania. W nafcie pływały prawdziwe zapałki, okruchy szkła, opiłki miedzi i kable elektryczne.

Niech przychodzą.

Zapłacą krwią.

Mogą sobie przychodzić, bardzo proszę.

Tym razem postanowiłem z wyższością ignorować zaczepki Grillów: to prawda, że ich ojciec prowadzi autobus, że oni mają siostrę, a ja nie, że mają łuski naboju i są na tropie lamparta, a mnie wykluczili z polowania. Co mi tam. Tego, co ja widziałem dziś rano, Boaz Grill nie zobaczy nawet w snach.

Joaw powiedział:

– On próbował poderwać Bat Ami. Poszedł do niej i błagał, żeby mu pokazała, a ona go wyśmiała, nic mu nie pokazała i przyszła do nas, i wszystko nam wygadała, że płakał i uciekł do domu jak tchórz. Głupi królik. Myślał, że zrobi Bat Ami to, co Frojka Nechamkin robi jego matce.

Milczałem.

– Nie wie, co odpowiedzieć. Niechby chociaż nie odwracał głowy, i tak widzimy, że się maże.

Nie odezwałem się.

Mogłem im powiedzieć, co zobaczyłem wczoraj u ich matki, jak w czasie godziny policyjnej zmieniała sukienkę przed lustrem naprzeciw okna, ale się powstrzymałem i milczałem dalej.

– Bat Ami mówi, że to jeszcze dzieciak i nie ma tam jeszcze ani jednego włoska – zarzął Awner.

Odwróciłem się nagle, wbiegłem na schody i przeskakując po dwa stopnie, pogałem na górę, na dach, gdzie mieścił się mój punkt obserwacyjny. Co mnie obchodzi ich śmiech i wszystkie te bzdury o moich rodzicach. Niech sobie gadają. Nie mam dla nich czasu. Prowadzę obserwację.

Ostrożnie, z rozwagą, wybrałem sobie na dachu dyskretne stanowisko między stertą złomu a zbiornikiem wody, za sznurami z praniem. Miałem stąd widok niemal na całe miasto. U moich stóp rozciągały się koszary Schnellera. Był tu nawet teleskop zrobiony z pudełka po kaszce Quaker i z okrągłych niebieskich szkiełek. Widziałem, jak angielscy żołnierze w pocie czoła przygotowują się do wizyty Wysokiego Komisarza. Wystarczyłby jeden karabin maszynowy, a załatwiłbym stąd i jego, i dzieciaki Grillów, i wszystkich. Potem uciekłbym w góry i został dzieckiem gór. Na zawsze.

Tymczasem ostrożnie badałem sytuację w Jerozolimie. Widziałem dachy Kerem Awraham, skraj Dzielnicy Bucharskiej, a dalej na horyzoncie Górę Skopus i Górę Oliwną skąpane w świetle, iglice na wieżach kościołów, półksiężyc na dachach meczetów, Szu'afat, minaret Nabi Samu'il i olbrzymie drzewo bez pnia unoszące się obok niego w rozpalonym powietrzu, to w jego kierunku ucieknę, kiedy już będzie po wszystkim. Widziałem też lasek Tel Arza. Trzymałem stronę kryjącego się w nim lamparta. Wiedziałem, że nigdy nie uda się go złapać, bo, jak mówiła mama, on jest tylko zmorą. Pójdę za nim w góry, do lamparciej dżungli, i będę żył wśród lampartów jak Kim z książki Kiplinga.

Widziałem niemieckie domy na uliczkach Romemy i brązową wieżę ciśnię, z której pod ziemią płynie rurami w ciemności woda i dociera aż do naszej dzielnicy. Widziałem dachy kryte dachówką i dachy wyłożone papą, i gąszcz prania oplatający całe miasto, jakby niespodziewanie powstało państwo hebrajskie i wszędzie powiewały na wietrze odświętne różnokolorowe flagi. Widziałem też, że południowe światło jaśnieje coraz bardziej, bez umiaru i bez przestanku, jak gdyby mnie miało wchłonąć, żebym stał się niewidzialny i mógł przenikać mury niczym kosmiczna wiązka i surowo ukarać swoich prześladowców, a w nocy przyjść do Bat Ami i powiedzieć jej: nie bój się, nie możesz mnie zobaczyć, ale dotknij, to naprawdę ja, przyszedłem cię stąd zabrać, chodź, pójdziemy teraz do lamparciej dżungli i tam będziemy razem żyć.

Miasto białło. Na wierzchołki drzew opadał biały letni kurz. Pustynne światło płonęło w Jerozolimie. W sercu Pustyni Judzkiej jest morze, nie tyle morze, co źródła wody, i esseńczycy, i marzyciele, których legiony rzymskie nigdy nie odnajdą. Stamtąd przychodzi wiatr, niosąc zapach suchego kurzu i soli. Ostatni raz dziś płakałem. Nie będzie więcej łez, nawet gdyby Anglicy zrywali mi paznokcie za paznokciem, i tak go nie wydam, nie zdradzę, że przebrał się za lekarza, za pana Szczupaka, i schował w drukarni taty.

Do kurzu i soli dołączył inny nikły zapach. Nie wiedziałem, czy dolatuje z oddali, od gór Moabu, od pustynnych źródeł, czy też z bliska, z domu, a może ode mnie. Gdybym spróbował powiedzieć górom: „Z całą żarliwością i do ostatniego tchu”, śmiałyby się. A może nie zaszczycałyby mnie nawet śmiechem, bo są górami, a my to nie ich sprawa i nie obchodzi ich, co się z nami dzieje. Mają własny język. Gdybym znał mowę gór, też byłbym spokojny i obojętny na wszystko.

Nauczę się.

Do tego czasu nie ruszę się z posterunku na dachu, żeby móc ich w porę ostrzec, gdyby znów przyszli Anglicy przeszukiwać nasz dom. Za niebieskimi szklami mojego teleskopu trawi Jerozolimę tęsknota za morzem. Sosny to dym. Blacha i kamień to brąz, a sznury z praniem to zastępy na wietrze.

Wytrwałem na dachu do drugiej. O drugiej z drukarni wyszedł tata, za nim Abrasza, Efraim i Lilienblum. Tata zamknął na klucz żelazne drzwi. Zamienili kilka słów i poszli

sobie. Pan Szczupak został w piwnicy, chyba że pod maszyną drukarską zaczynał się jakiś tunel.

Nie pan Szczupak. Jego brat. Ktoś inny. Mężczyzna, który przyjechał do nas w samochodzie z pieczywem w przebraniu lekarza, ale pod przebraniem krył się nie pan Szczupak, lecz kościsty i bezlitosny chłopiec – lampart o oczach miotających błyskawice.

O trzeciej zjedliśmy obiad: zupę grochową, kotlety z ziemniakami i surówką z marchwi. Potem wypiliśmy dwie szklanki lemoniady z lodem z lodówki i szybko wróciłem na swoje stanowisko, żeby móc jako pierwszy ostrzec przed niebezpieczeństwem.

Żadnych zagrożeń nie było. Narastał tylko wieczór, dźwigał się u podnóża sosen i zbierał siły. O szóstej na obrzeżach Kolonii Niemieckiej rozległ się gwizd lokomotywy. Droga była tak długa! Widziałem, jak ogniste słońce zasnuwa się sadzą na szczycie wzgórza Szejch Badr, stamtąd płynie nad Giwat Szaul, zatapia się w fioletowych chmurach i dotyka gór, które też przybierają odcienie fioletu, tak że nie sposób odróżnić ich od chmur i od zastępów jeźdźców na krańcu nieba.

Wreszcie horyzont poszarzał. Jerozolima, upstrzona gdzieniegdzie plamami żółtego światła, została sama. Latarnia na naszej uliczce zaświeciła blado. Mama wyszła na balkon zawołać mnie do domu.

W salonie tata i Efraim zasiedli już nad szachownicą, jeden w siatkowym podkoszulku, drugi w umyślnie niedopiętej koszuli khaki, odsłaniającej mroczny tors.

Stary poeta drzemał spokojnie w fotelu.

Był głuchy, udręczony, miał głowę wciągniętą w ramiona. Stała mi przed oczami pusta skorupa żółwia na podwórzu. Przypomniałem sobie, jak Efraim obiecał, że zajmę miejsce pana Nechamkina i będę poetą i kasjerem, i jak się potem rozmyślił, i szydził z elegii na naszą śmierć na polu walki, którą miał ułożyć jego ojciec.

– Będziemy dziś mieli gości? – spytałem i natychmiast tego pożałowałem.

Efraim zacisnął wargi.

– Mówiłeś coś? – wycedził zjadliwie.

– Nie ma powodu do obaw – rzucił tata niespokojnie. – Uri jest w porządku.

Efraim powiedział:

– Nie gadaj tyle, Kołodny. Szkoda każdego słowa.

– Dosyć, przestańcie, proszę – odezwała się mama – po co się złościć.

I zapadła cisza.

## XI

Tego, czego mi nie pokazali, domyśliłem się sam: pod maszyną drukarską jest w podłodze żelazna kłapa. Za nią kręte schody prowadzą do groty, nad którą z całą pewnością stoi nasz dom. Jest to komora grobowa z okresu Drugiej Świątyni albo tunel wydrążony w skale przez Arabów. Należy przypuszczać, że Efraim i jego chłopcy urządzili w tej grocie bunkier, żebyśmy gdy czas nadejdzie, mieli w niej bezpieczny schron.

Płonie tam lampa naftowa, a pod zimnymi kamiennymi ścianami stoją kanistry z wodą i benzyną, skrzynki z żywnością i amunicją, granaty ręczne, baterie i nadajniki, i może jeszcze kilka świętych ksiąg pana Nechamkina. Tam odpoczywa teraz pan Szczupak czekając, aż zapanuje spokój, a raczej nie pan Szczupak, tylko szczupły, niezwykły chłopiec – lampart.

Może wyjdzie jeszcze dziś w nocy. W torbie lekarskiej ma rozmontowany karabin snajperski. Okno kuchni wychodzi na plac apelowy koszar Schnellera. Wysoki Komisarz przyjedzie na inspekcję wojsk i nagle na jego czole wykwitnie mały kwiatusek, a on zatoczy się i padnie na ziemię. Wtedy Efraim i jego chłopcy wybiegną ze wszystkich kryjówek i

rozpocznie się operacja „Jan z Giszali”. Jedno natarcie. Położę się dziś w ubraniu. Nie będę spał. Ziemia zdrzży, zapłoną miasta, runą wieże. Dosyć liczenia godzin i dni.

A gdy będziemy świętować zwycięstwo, całą rodzinę Grillów zabiorą do obozów dla zdrajców, a ja będę stał na podwórzu i powiem spokojnie: oprócz Bat Ami. Zostawcie ją. Ona jest w porządku. Dowódca natychmiast każe wykonać mój rozkaz i puścić dziewczynę.

– Co z tobą? – zapytał tata. – Ciałem jesteś z nami, a duchem w obłokach?

– Dziecko jest smutne – powiedziała mama.

– Nikt nie jest smutny – wtrąciłem. – Pójdę ci pomóc.

W kuchni ułożyliśmy ostrożnie na blacie czarnego barku sześć łyżeczek. Sześć filiżanek. Sześć talerzyków do ciasta. Tym razem wzięliśmy serwis zamiast zwykłych naczyń. Cukier, mleko, cytryna. Dokładka owoców i orzeszków. Papierowe serwetki, na każdej czółno rybackie z białym żagielkiem. Zagwizdał czajnik. Efraim wyszedł i wrócił z gościem.

– Dobry wieczór – powiedzieliśmy chórem.

Gość wzruszył ramionami.

Z bliska, w świetle elektrycznym, okazał się eleganckim panem o kędzierzawych szpakowatych włosach i wilczych szczękach. Zdjął marynarkę, zdmuchnął z niej niewidoczny pyłek i powiesił ją na oparciu krzesła. Potem podciągnął lekko fałdy spodni nad kolanami i usiadł. Dopiero wtedy przemówił:

– W porządku.

Gdy gość zdjął marynarkę, zauważyłem, że jego spodnie podtrzymują prążkowane szelki, a mimo to nosił też ciasno zapięty pasek.

Tata powiedział:

– Uri, posłuchaj uważnie. To jest pan Lewi. Nasz gość. Pan Lewi zostanie u nas przez jakiś czas, bo w jego okolicy jest teraz niespokojnie. Co się tyczy sąsiadów, a nawet pana Lilienbluma i towarzysza Abraszy, dla nich pan Lewi jest twoim wujkiem, przyплыł z Europy statkiem wśród innych nielegalnych imigrantów i teraz załatwiamy mu dokumenty. Sądzę, że nic więcej nie muszę mówić.

– Oczywiście – przytaknąłem – jasne.

Mama powiedziała:

– Panie Lewi, z pewnością nie odmówi pan zjedzenia z nami kolacji. A tymczasem, czy mogę panu zaproponować filiżankę herbaty?

Gość trzymał na kolanach swoją torbę lekarską. Gdy mama mówiła, mierzył ją z wolna zimnym wzrokiem, przyjrzał się warkoczowi na jej piersi, otaksował biodra i nogi, następnie przeniósł spojrzenie na tatę, z taty na Efraima, musnął kciukiem starannie przystrzyżony wąsik, pokiwał głową, jakby nasunął mu się jakiś słuszny wniosek, wreszcie przemówił:

– Wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Tata powiedział:

– Robimy co w naszej mocy.

– Ale co tu robi to dziecko? – spytał gość z niepokojem. – Dzieci to nasza przyszłość, ale zazwyczaj są dosyć hałaśliwe.

Musiałem wyjść z mamą do kuchni. Ona zaczęła kroić biały chleb na cienkie kromki, jak przy szabacie, ja podjąłem się zrobić sałatkę w drewnianej misie. Kocim krokiem, jak złodziej, wszedł za nami do środka. Nie słyszeliśmy go. Nagle przeszedł koło nas i stanął w oknie.

– Perfekt – powiedział, odwracając się w naszym kierunku. Wilcze szczęki rozchyliły się w skąpym uśmiechu, który natychmiast zgasł.

– Proszę – powiedziała matka – podaję herbatę.

– Za pozwoleniem, zmieniłem zdanie: nie będę pił teraz herbaty. Może pani wyjść. Dzieciak też. Ja tu zostanę.

I dodał z naciskiem:

– Sam, oczywiście.

Zostawiliśmy wszystko w kuchni i wróciliśmy do salonu. Poeta jedwabistym głosem wyrażał w starannie dobranych słowach nową koncepcję, która zrodziła się w jego głowie w trakcie rozmyślań:

– Noc w noc płoną światła za miastem. Ogniska zdają się być zawieszane między ziemią a niebem. Nie jest to krzyk mej duszy, lecz mówię, co oczy widzą. Wzgardzony był i nikt nań nie zważał, a jemu posłuszne będą wsze narody. Najpokorniej proszę o szklankę wody, gdyż serce słabnie z utęsknienia. Nie soku, nie wody z cytryną, tylko zwyczajnej wody z kranu. W żadnym wypadku nie chcę państwa fatygować. Niedługo już będzie zwlekał, wszak wielce jesteśmy strudzeni i brak nam sił. Napiję się teraz wody i zaraz wstanę, by udać się w swoją drogę. Ach, gdybyż wszystkie serca oczyściły się niczym dusze nowo narodzonych. Żegnajcie, żegnajcie wszyscy: ruszam w drogę, a wy mną nie pogardzajcie. Jest Pan nad nami. Znalazłem laskę i znalazłem drzwi. Udaję się w swoją drogę i błogosławię tych, którzy zostają.

Jednak wypowiedziawszy te słowa, starzec nie wstał, tylko westchnął głęboko i siedział dalej na swoim miejscu. W tym momencie z kuchni wyłonił się gość i opadł na wolny fotel. Wciąż nie rozstawał się ze swoją torbą.

– Czy można panu zaproponować papierosa, zapalki i popielniczkę? – zapytał tata.

– Wszystko jest w porządku – odpowiedział brat pana Szczupaka.

– Proszę się nie krępować, jeśli ma pan ochotę zapalić. Proszę, panie Lewi.

– Już to słyszałem – odpowiedział mężczyzna ostro. – I już prosiłem o ciszę. W tych warunkach nie mogę się skupić.

Umilkliśmy.

Tata zamyślił się, uniósł czarnego konia z szachownicy i wpatrzony w niego, uśmiechnął się smutno, po czym nagle odstawił go na poprzednie miejsce. Postanowił ruszyć się pionkiem na bocznym polu. Efraim błyskawicznie popchnął białego laufra niemal na sam koniec planszy i powiedział z gniewem:

– Proszę.

– Znowu szukasz kłopotów – szepnął tata.

Mama przypomniała im obu, że pan Lewi prosił nas o ciszę.

W tej ciszy gość, wciąż z torbą lekarską w ręku, zanurzył się w fałdach firanki, i pokazując nam plecy, zlustrował uważnie podwórze, a może i pole bitewne na parapecie, po czym wrócił na fotel i powiedział bezgłośnie:

– To dziecko, proszę.

– Uri – wystraszył się tata – slyszałeś. Powiedz dobranoc. Mama zaraz przyniesie ci kolację. Dobrej nocy.

– Bez dyskusji – dodała mama.

Pan Lewi posłał jej uśmiech, odślaniając piękne białe zęby:

– Dzieci – rzucił ze zdziwieniem – fotografie, pianino! I szachy! Do tego kwiaty! Ależ ludzie u nas żyją w tych czasach! Spokój i dobrobyt! Przecież my, moi państwo, jesteśmy niepoczytalni. Nie odmówiłbym małego kieliszeczka wódki. Nie ma wódki? A co jest? Pewnie tylko tokaj z Riszon le-Cijon. Mogłem się tego spodziewać. To nic. Wszystko jest w najlepszym porządku.

– Krąży wiatr – pan Nechamkin ocknął się nagle i przemówił do nas serdecznie – i wraca po jego śladach. Tak się sprawa przedstawia z jednej strony, lecz z drugiej, pani Kołodny, z drugiej strony wiadomo pani, że to, co było, nie wróci, a tego co będzie, nie oglądało dotąd ludzkie oko. Macie zatem gościa. Witam szanownego pana. Oby także panu dane było doczekać i oglądać pomyślność Jerozolimy.

Co powiedziawszy, stuknął ponagląjąco laską w podłogę, jakby próbował wyrwać rzeźbionego tygrysa z sennego drewnianego świata.

- Tego sklerotyka też muszę znieść? – spytał pan Lewi.
- Tata zaczął się usprawiedliwiać:
- To wiek. Nic się nie poradzi.
- A Efraim dodał:
- Staramy się jak możemy, panie Lewi.

Potem mama zaczęła zbierać ze stołu naczynia po herbacie i nakrywać do kolacji. Tata zauważył mnie i krzyknął z irytacją:

- Jeszcze tu jesteś? Nie rozumiesz, co się do ciebie mówi?
- Idę – powiedziałem i natychmiast rzuciłem się na złotka i pinezki, zniszczyłem linię frontu, wepchnąłem pospiesznie do pudła z zabawkami wojska, niszczyciele, dowódców, sztaby, artylerię. I już. Wojna skończona.

Wybiegłem z pokoju, nie życząc im dobrej nocy.

Nawet się nie umyłem. Leżałem w ubraniu w ciemności i szeptałem do siebie: spokój, spokój, spokojnie, przecież nie wszystko stracone. Nawet zwykli żołnierze mają swój udział w walce i w zwycięstwie. Tylko spokojnie.

Nie było spokojnie i nie mogło być.

Noc w oknie. Noc w pokoju. Lato, gwiazdy i szczekające psy.

Do spleśniałego chlebaka wepchnąłem po ciemku wszystko, co mi wpadło w ręce: skarpetki, manierkę, sprzączki, sznurowadła, pas skautowski, stary sweter, paczkę gumy do żucia i szczoryk.

Byłem gotowy.

## XII

Przed piątą rano obudziłem się wystraszony. Szyby drżały. Mnóstwo wielkich samolotów przelatywało z hukiem tuż nad Jerozolimą. Na podwórzu panował półmrok. Zewulun Grill ponawiał próby uruchomienia autobusu. Silnik krztusił się i opierał z głuchym warkotem. A więc nie było żadnych samolotów. Towarzysz Grill ruszył w drogę. Odszedłem od okna i pobiegłem do kuchni.

Tata i mama siedzieli naprzeciw siebie w milczeniu. Nie zmienili ubrań od wczoraj. Na przykrytym ceratą stole zostało kilka brudnych filiżanek z serwisu. Resztki kawy. Pozostałości owoców i herbatników. Popielniczka, a w niej sterta niedopałków. W powietrzu wisiał kurz i dym. Tata zwrócił na mnie znużone, przekrwione oczy:

- Dzień dobry, Uri. Czy wiesz, że jest dopiero piąta rano?
- Dobry – powiedziałem – gdzie są wszyscy?
- Kogo masz na myśli, Uri?
- Wszystkich. Pana Lewiego. Efraima. Pana Nechamkina.
- Idź umyć buzię i uczesz się, synu. Jak ty wyglądasz.
- Najpierw powiedzcie mi, co się stało.
- Nic się nie stało. Uspokój się.
- Gdzie są wszyscy?

Tata zawahał się. Był nieogolony. Szyję miał zarośniętą. Na czole rysowały się głębokie bruzdy.:

– Mamy złą wiadomość, Uri. Pan Nechamkin zasnął w nocy. Musieliśmy obudzić panią Wiśniak i zadzwonić po pogotowie. Zabrano go do szpitala Hadasa. Teraz śpi i dochodzi do siebie. Dzisiaj mu zrobią badania.

- A gdzie jest Efraim i pan Lewi?

– Efraim znowu wyjechał na kilka dni. Czasem po prostu musi wyruszyć w drogę. Tym razem może minąć wiele czasu, zanim wróci do domu. Teraz biegnij się umyć, a potem dostaniesz kakao.

– Gdzie jest pan Lewi?

Tata spojrział na mamę. Mama milczała. Miała na sobie białe letnie spodnie i kwiecistą bluzkę z głębokim dekoltem, jakby ona też szykowała się do wyjazdu.

– Pan Lewi – powiedziałem. – Ten, który był tu wieczorem.

Tata milczał przez chwilę, a potem ciągnął ze smutkiem:

– Pan Nechamkin wkrótce wyzdrowieje, mamy taką nadzieję. Lekarz ze szpitala był dobrej myśli. Pan Nechamkin przeszedł tylko lekki wylew i musi teraz odpoczywać.

– Pana Lewiego też w nocy zawieźliście do Hadasy?

– Dziś mamy nowy dzień, Uri. Idź się myć – powiedział tata, przeciągając głoskę „ć”, jakby prosił o ciszę.

– Co wyście narobili? – krzyknąłem z przerażeniem.

Mama się nie odezwała.

Tata wstał, opróżnił popielniczkę, wstawił do zlewu brudne filiżanki, przetarł ceratę wilgotną szmatką i wytarł do sucha kuchenną ścierką.

– Jeśli chcesz – zwrócił się do mnie – możesz pojechać z nami po południu do szpitala odwiedzić pana Nechamkina, o ile powiedzą nam przez telefon, że jego stan umożliwia przyjmowanie wizyt. A teraz do łazienki. Trzeci raz powtarzam.

– Najpierw powiedzcie mi, gdzie jest teraz pan Lewi.

– Czemu ten twój dzieciak żyć mi nie daje?

Mama milczała.

Wówczas tata podjął decyzję. Złapał mnie oburącz za ramiona, ścisnął i dotknął wargami mojego czoła:

– Ma chyba lekką gorączkę – stwierdził.

Nagle pociągnął mnie i posadził sobie na kolanach, przesunął dłonią po moich włosach, i powiedział stanowczo, choć w jego głosie czuło się żal:

– Uri. Od rana opowiadasz nam jakieś dziwne rzeczy. Najpierw budzisz się z krzykiem w środku nocy z powodu złych snów, a potem wstajesz przed piątą i zaczynasz męczyć. W porządku. To taki wiek. Rozumiemy i nie gniewamy się na ciebie, ale musisz się trochę wziąć w garść. Posłuchaj. Wczoraj mieliśmy dwóch gości: Efraima i pana Nechamkina. Jak zwykle. W nocy musieliśmy wezwać pogotowie. Już ci tłumaczyłem. Kropka. Teraz bądź tak dobry i idź wreszcie do łazienki. To wszystko.

Powiedziałem:

– Mamo.

I nagle zaszlochałem:

– Jesteście podli.

Chwyciłem pudełko zapalek leżące koło prymusa i wybiegłem z kuchni i z domu. Próbowałem odpalić kolejno wszystkie trzy lonty. Żaden się nie zapalił, chociaż wyjmowałem zapalnik za zapalnik. Efraim to oszust. Nie jestem niczym zastępcą. Do koszar Schnellera nigdy nie przyjedzie Wysoki Komisarz, a jeśli nawet, co mi tam. Pan Szczupak sprzedaje suknie w salonie „Riviera”. Pan Nechamkin umiera, a jego pustynne źródła razem z nim. Jak dla mnie, Ruchama może sobie przyjść i zostać na całą noc. Nie ma i nigdy nie było lampartów w lasku Tel Arza. Nie ma i nigdy nie będzie hebrajskiego państwa. Nawet Linda Abraszy ucieka do Paryża, użyć życia z synem Barclay’s Banku. A patrz sobie, jak płaczę. To nic. Płacz i ty, biedna Bat Ami. Ciebie też wyrzucili na dwór o wpół do szóstej rano. Tylko my dwoje jesteśmy o tej porze na podwórzu, a cała Jerozolima siedzi w domu. Zabiorę cię daleko, na drugą stronę gór, i nauczysz mnie, co moja mama robi z Frojką i co robią wszyscy. Chodźmy, Bat Ami. Nie będziemy się smucić.



Bat Ami siedzi na kamieniu. Ma na sobie niebieskie spodenki gimnastyczne, takie jak moje, tylko ściągnięte gumką. I ma pomarańczową bluzkę, a jej braci nie widać wokół. Nie ma nikogo. Pojawia się słońce. Znowu rynny i okna, blaszane ściany i chmury stają w ogniu. Widać ognistych jeźdźców pędzących przez ogniste góry ponad doliną Cedronu, wbijających ogniste włócznie w piersi nienawistników Izraela. Nic nowego. Odjedźcie stąd, jeźdźcy, choćby do Tel Awiwu, nad morze. Beze mnie. Bat Ami trzyma otwarty zeszyt na kolanach, przerywa pisanie, ale nie prosi, żebym jej coś opowiedział ani też żebym się uspokoił.

Co takiego pisze Bat Ami w zeszycie na wielkim kamieniu na podwórzu o wpół do szóstej rano? Notuje w swoim pamiętniku: *Prędzej mleko szernieje, a wrony zbieleją, niż moje wspomnienia z głowy wywietrzeją.*

Chcesz, żebym ci się wpisał?

Piszę:

*Misio jest chory, chory jest miś,  
Coś niedobrego musiał zjeść dziś.*

Niedługo zaczną otwierać sklepy. Sprzedawca warzyw wystawi na chodnik skrzynki z winogronami. Zlecą się osy. W synagodze zabrzmia śpiewne głosy studiujących miszny. Tata i jego dwaj pracownicy zaczną dziś drukować karty z życzeniami na rok 5708<sup>10</sup>. Na mamę czeka sterta koszul do prasowania. Mały cud zdarzył się u nas dziś rano: nie przywieźli jeszcze pieczywa, a już w powietrzu unosi się zapach świeżego Chleba. Pamiętam: trzeba wytrwale czekać. Co było, to było, a teraz zaczyna się nowy dzień.

1975

---

<sup>10</sup> Żydowski rok 5708 obejmował okres od 15 września 1947 do 3 października 1948 r., był to więc rok powstania Państwa Izrael – przyp. tłum.

# Tęsknota

*Jerozolima, ulica Malachiasza,  
drugi września czterdziestego siódmego roku*

Dr Immanuel Nussbaum do pani dr Hermine Oswald,  
ostatnio w kibucu Tel Tomer

Droga Mino!

To ostatnie dni. Na pewno jesteś już w Hajfie, może pakujesz rzeczy do czarnej skórzanej walizki z metalowymi klamrami, zaciskasz usta, właśnie zbeształaś jakiegoś kelnera czy urzędniczynę, rozpiera Cię poczucie własnej skuteczności i słuszne oburzenie i w duchu, a nawet poruszającymi się bez słów wargami wciąż powtarzasz: „obrzydliwość”.

Albo nie w Hajfie. Może jesteś już na pokładzie statku płynącego do Nowego Jorku, w kajucie drugiej klasy, nosisz okulary do czytania, pastwisz się nad artykułem średnich lotów w jakimś naukowym czasopiśmie, kołysanie fal i słony zapach morza w żadnym stopniu Cię nie poruszają, nie widzisz nic ciekawego w mewach, w mrocznym bezkresie wód i w przenikających przez ściany Twojej kabiny dźwiękach tanga. Jesteś zajęta sobą. Jak zwykle. Całkowicie zatopiona w pracy.

To tylko moje domysły.

Nie wiem, gdzie teraz jesteś. Skąd mogę wiedzieć? Nie odpowiedziałaś na dwa moje listy sprzed kilku miesięcy, nie zostawiłaś adresu. A więc postanowiłaś otworzyć nową kartę. Spojrzenie Twoich szarych oczu zawsze kieruje się w przyszłość, ku podjętym zadaniom. Nie tobie spoglądać wstecz, tęsknić, wspominać, żałować. Idziesz naprzód, choć słabości ducha oczywiście nie są Ci obce: to przedmiot Twoich badań. Ale nieugiętość, z jaką co pewien czas otwierasz nową kartę, jest niezrównana. Adresu mi nie zostawiłaś. Daremnie próbowałem go zdobyć w sekretariacie kibucu: skończyła. Wyjechała. Nie ma jej w Tel Tomer, zaproszono ją na wykłady do Ameryki. Może już jest w drodze. Przepraszamy.

Niewykluczone, że za jakiś czas odezwie się w Tobie uprzejmość lub zwykła ciekawość i niespodziewanie dostanę amerykańską pocztówkę, a na niej kolorowe wieżowce albo okazały stalowy most. Nie tracę jeszcze nadziei, pomyślałem dziś rano przy goleniu. Widok własnej twarzy w lustrze budzi we mnie samą ciekawość pomieszana z żalem. I nieomalże wstręt. Choroba sprawiła, że zwiotczałe policzki zapadły się w głąb, oczy zogromniały, tak że aż boją się mnie małe dzieci, a zwłaszcza uwydatnił się nos, jak w nazistowskiej karykaturze. Symptomy. Artystyczny gąszcz siwych włosów, który tak chętnie kiedyś mierzwiły Twoje palce w poszukiwaniu ładunków elektrostatycznych, też spłowieł i zredł. Zabrakło energii. Gdyby ten proces miał trwać jeszcze kilka miesięcy, zapewne zostałbym bez jednego włosa, zeschnięty i łysy. Jakbym zamierzał, celowo przerysowując, sparodiować postać mojego drogiego ojca.

Gdzie mnie do przerysowania. Gdzie do parodii. Byłem i pozostałem spokojnym człowiekiem. Rozwaga i ostrożność w słowach stanowiły zawsze moją siłę i największą dumę. Choć była to cicha duma. W nocie naszej miłości czasem się zapominałem, chwilami kierowała mną jakaś pierwotna dysząca istota. Miłość się skończyła, wróciłem do siebie. Wróciłem i nic nie znalazłem. Słone pustkowia. Bezwodne, martwe równiny. Kilka tęsknot rozproszonych jak cierniste krzewy. Znasz to. Też nosisz w sobie – wybac – pustynne bezludzie, chociaż trochę inne. Spaloną ziemię. Znalazłem dzisiaj to określenie w gazecie w kontekście zakończenia mandatu brytyjskiego.

Przejdźmy dalej.

Droga Mino, jak już wspominałem, są to ostatnie dni. Wkrótce wybuchnie tu wojna, tak twierdzą niemal wszyscy. Przed południem zebrało się u mnie nawet kilku sąsiadów, mieliśmy posiedzenie w moim gabinecie, w Kerem Awraham też powstaje komitet obrony cywilnej. Do tego doszło.

Co będzie po wojnie, nie wiem. Mam tylko pewne nadzieje i obawy. Ty będziesz w bezpiecznym miejscu, z dala od Jerozolimy, od Galilei i dolin, które w ostatnich latach tak gorliwie badałaś. Chyba nie muszę dodawać, że w tej wojnie nie wezmę czynnego udziału, ani jako lekarz połowy, ani pracownik szpitala na zapleczu. Moja choroba wkracza w ostatnie stadium, choć nie jest to krzywa ciągła. Łapie mnie na chytre sztuczki, chwilowe ustępstwa, pozorne umiarkowanie, stosuje celową taktykę wprowadzania w błąd, łudzenia fałszywą nadzieją. Czasem uśmiecham się w duchu: czy nie zauważa, że ma do czynienia z lekarzem, a nie, powiedzmy, z artystą? Mnie przecież nie zmyli. Te arabeski, te stale odwoływane alarmy, pułapki nadziei, unikanie frontalnego ataku... Jakie to wszystko zbędne, gdy upatrzoną ofiarą jest ktoś taki jak ja, doświadczony, dysponujący podręczną biblioteczką medyczną, diagnosta, człowiek wykształcony, którego językiem ojczystym jest niemiecki.

Krótko mówiąc, jestem sobą: żyję w stanie cichej rozpacz. Agonia rozpocznie się zimą i zakończy przed nastaniem wiosny lub może zacznie się wiosną i potrwa co najwyżej do pierwszych chamsinów 5708<sup>11</sup> roku. Nie będę się wdawał w szczegóły. Mam nadzieję, droga Mino, że nie ma potrzeby, bym próbował ci udowodniać w swoim liście, że tymczasem spokojnie i mężnie prowadzę zwyczajne życie.

Nic nowego się nie dzieje.

W ogóle niewiele nowego mam Ci do przekazania.

Zbyt dużo czasu też nie mam.

Większość godzin dnia i nocy spędzam na obserwacji: badam aktualną sytuację w Jerozolimie. Wciąż jeszcze usiłuję wnieść swój skromny wkład w dzieło patriotyczne, jak podczas porannego zebrania dzielnicowego komitetu obrony cywilnej. Utrzymuję przyjacielskie kontakty z sąsiadami. W domowym laboratorium prowadzę nadal doświadczenia chemiczne, a nuż w końcu przyniosą społeczeństwu jakąś korzyść, przydadzą się w wysiłku wojennym.

Tymczasem obserwacje przywiodły mnie do spostrzeżenia, że jerozolimskie lato słabnie z każdym dniem. Są już ledwo uchwytnie oznaki nadciągającej jesieni. Naturalnie liście jeszcze nie leżą z drzew, ale dostrzegam subtelne zmiany w ich odcieniu i w sposobie załamywania się światła wieczorem i nad ranem albo w obu tych rzeczach razem. Jedno drugiego nie wyklucza.

Chmury rzucają cień na podwórza. Ludzie rozmawiają poważnie i cicho. Zmierzch przychodzi wcześniej i plonie na niebie jak za mgłą, nierzeczywisty, poeta mógłby dodać – zrozpaczony, w gorzkim uniesieniu, jak w akcie miłosnym, gdzie nieokiełznanie przeradza się w gniew, bo jest to akt ostatni, po którym nie będzie następnych. Wreszcie snop szarego światła pojawia się nad wierzchołkami gór na zachodzie, ogniste plamy spadają na szyby, kopuły i wieże, przypadkowy zbiornik wody na jednym z dachów gotów nie wytrzymać i zająć się ogniem. Ogień gaśnie, dym spowija góry. I oto cud: niespodziewanie w Jerozolimie zapachniało dymem.

Tak więc minęły leniwe letnie zachody. Panuje nowa powaga. I chłodno pod wieczór na dworze. Chwilami odnoszę wrażenie, że ptaków zaczyna ubywać. Co do tego szczegółu będę się musiał upewnić, bo rozsądek podpowiada, że jesień raczej sprowadza ptaki wędrowne z powrotem do nas.

---

<sup>11</sup> Por. przypis 10.

Mino, piszę do Ciebie bez pośpiechu na tych gładkich karteczkach opatrzonych moim nazwiskiem w alfabecie hebrajskim i łacińskim, na których dawniej wypisywałem recepty. Recepta to po hebrajsku *mirszam*. Ty nazywałaś takie listy „liścikami gimnazjalisty”. Ten będzie o tyle inny, że raczej nie będę się starał pisać krótko. Ani dowcipnie.

Siedzę przy stoliku na balkonie w szarym swetrze, ale wciąż mam na nogach wiejskie sandały, które ponad rok temu kupiłaś mi na Starym Mieście. Palce stóp w tych sandałach dzieli teraz od piszącej do Ciebie ręki wielki dystans, nie dlatego że nagle urosłem, lecz dlatego że między nimi są narządy dotknięte chorobą. Droga Mino, mogę jeszcze pisać przy wieczornym świetle, chociaż już czuję, jak gaśnie. Jeruzolima otuli się, zbierze w sobie, dzielnica po dzielnicy przyłączy do nocnego pochodu, wieże na szczycie wzgórz po wschodniej stronie ruszą na czele wyprawy, całe miasto zstąpi za nimi na pustynię, a ta zamknie się nad nim. Tak dzieje się tutaj co noc. Już Ci to kiedyś mówiłem, nazwałaś to „poezją”. Nic nowego. Ból właśnie się nasila i znęca nade mną, jakby nie trafiały do mnie subtelniejsze znaki. Niech i tak będzie. Zniosę urazę, a ból uciszę zastrzykiem. Zaraz się podniosę.

Chcę wrócić na balkon i pisać dalej po zmroku. Chłód jest łagodny, orzeźwiający. Zapalę światło i spróbuję tu przynieść lampkę z biurka w gabinecie. Czy starczy przewodu? Pożyjemy, zobaczymy. Wątpię.

Z balkonu po drugiej stronie zaniedbanego podwórza zagaduje mnie sąsiadka, pani Grill:

– Jak się pan dzisiaj miewa, doktorze? Co mówili wieczorem w radiu, i kiedy wreszcie przyjedzie auto?

Jedyne radio w okolicy znajduje się u mnie domu. Czasami bywam łącznikiem między sąsiadami i tym, co nazywają „wielkim światem”. Uri, syn sąsiadów, zaczął mnie odwiedzać, bo pozwoliłem mu słuchać wiadomości. Dopiero potem odkrył moje laboratorium. Co do auta, krąży tu plotka, że wkrótce będę miał własny samochód. Jej autorami są chyba dzieci, wrogowie Uriego: wiedzą, że już nie pracuję jako lekarz, gdzie usłyszeli, że robię coś dla Agencji Żydowskiej, i już mi przypisują własne auto. Zaprzeczam słabo, usprawiedliwiam się, jakby mnie oskarżano o jakąś nieprzyzwoitość. Pani Grill mówi ze śmiechem:

– Niech się pan nie martwi, doktorze, przywykliśmy dochowywać tajemnicy. Mój mąż ma duży staż w związkach zawodowych, ja straciłam całą rodzinę w Łodzi. Może pan na nas polegać. Nie mamy zwyczaju pleść byle czego.

– Ależ skąd – mamroczę – nawet mi przez myśl nie przeszło, że państwo... Chociaż prawdą jest, że...

Już jej nie ma: pobiegła do kuchni ratować kipiące mleko, a może tylko zniknęła za schnącą pościelą i bielizną rozwieszoną na sznurze wśród skrzynek, balii i walizek. Znowu jestem sam.

Wyjaśnię Ci przy okazji sprawę Agencji Żydowskiej. Za moim gabinetem jest mała wnęka: składzik, domowe laboratorium, ciemnia fotograficzna. Kiedyś narzekałaś na wydobywające się stamtąd zapachy chemikaliów. Pewnie sobie przypominasz. A więc nie zarzuciłem swoich skromnych doświadczeń. Jakiś czas temu napisałem i wysłałem pismo dotyczące możliwości zastosowania pewnej występującej u nas w dość dużych ilościach substancji chemicznej do celów wojskowych. Przed trzema tygodniami zjawił się u mnie inżynier, działacz Agencji Żydowskiej czy Hagany, i z wielką powagą spytał, czy podejmę się zinwentaryzować materiały wybuchowe przechowywane legalnie w górach, w kamieniołomach spółdzielni Solel Bone, i w różnych innych miejscach w Jeruzolimie. Do tego miałem założyć kartotekę użytecznych chemikaliów znajdujących się w żydowskich fabrykach w mieście, zaproponować różne kombinacje i policzyć, co mamy, a czego zabraknie, jeśli wojna się przedłuży.

– Zabraknie wszystkiego – stwierdziłem – nawet chleba i wody nam nie wystarczy. Gość uśmiechnął się: uznał widocznie, że cechuje mnie czarny humor.

– Doktorze Nussbaum – powiedział, wciąż się uśmiechając i kierując ku drzwiom – doktorze Nussbaum, wszystko będzie w najlepszym porządku. Pan przygotowuje nam listę. Resztę bierzemy na siebie. Jesteśmy gotowi sprawdzić każdy rozsądny pomysł, jaki przyjdzie panu do głowy. Sam Duszkin uważa pana za jeden z najbłyskotliwszych umysłów w naszym mieście. Będziemy w kontakcie. Do widzenia.

A więc podjąłem się tego. Właściwie gość nie czekał na moją odpowiedź, raczej wydał mi polecenie. Po tamtym piśmie, a może rzeczywiście po tym, jak Duszkin wyraził się o mnie z właściwym sobie entuzjazmem na jakimś zebraniu, ktoś u nich przypisuje mi magiczne moce i oczekuje, że wykonam dla nich pracę alchemika. Krótko mówiąc, bardzo się ucieszą i wcale nie zdziwią, jeśli jutro rano – a nawet dziś w nocy – zjawię się u nich z przepisem na potężny materiał wybuchowy, którego niewielka ilość wystarczy, by dokonać prawdziwego spustoszenia, i który da się zrobić domowym sposobem, szybko i tanio. Krąży tu teraz takie hasło, powtarzane co wieczór w audycjach podziemia na falach krótkich: „Gdy jesteś pod ścianą, niewiarygodne staje się możliwe”. Ty czy ja z łatwością udowodnilibyśmy filozoficzny bezsens tego hasła. A jednak na razie je przyjmuję, z poczucia obywatelskiego obowiązku i dlatego, że przy odrobinie wysiłku znajduję w nim nutę poezji. Wprawdzie poezji dosyć siermiężnej, ale i nasza sytuacja, jeśli wolno się tak wyrazić, jest siermiężna.

Przydarzył mi się mały cud: jednak udało mi się przenieść lampkę z gabinetu na balkon. Przewodu prawie starczyło. Konieczny był drobny kompromis: przysunąłem biurko do drzwi balkonowych, ale mimo wszelkich przeszkód siedzę na powietrzu w kręgu światła elektrycznego, niesamowite cienie tańczą na kamiennej ścianie tuż za moimi plecami i nie obchodzi mnie już, że zaraz się ściemni.

Tak na marginesie, z góry ponumerowałem wszystkie karteczki: muszę się skupić. Na czym? Na najważniejszym. Droga Mino, pozwól, że spróbuję określić, co w tej chwili jest najistotniejsze. Tylko przycisnę kartki pustą filizanką, bo wiatr może się nasilić nagle i bez ostrzeżenia, jak to zwykle bywa we wczesnojesienne wieczory.

A więc postanowiłem zapisać kilka szczegółów o sobie, o moim otoczeniu, zanotować pewne obserwacje na temat Jerozolimy, a w szczególności mojej dzielnicy, Kerem Awraham: opisać obrazy i dźwięki. Na pewno pojawią się ostrożne porównania i trochę wspomnień. Nie obawiaj się, Mino, naszych wspólnych wspomnień nie zamierzam upiększać ani zeszpecać teraz, gdy jest po wszystkim. Żadne okowy nie będą pętać Twojego nowego życia. Czytałem, że Ameryka to dobry, wspaniały kraj, w którym patrzy się zawsze w przyszłość, nawet tęsknotę kieruje się tam ku przyszłości, a przeszłość zgodnie skazuje na przemilczenie.

Czy już tam dotarłaś, Mino, czy już znalazłaś sobie wśród drapaczy chmur i mostów spokojną kawiarnię, gdzie możesz usiąść, wsunąć na nos okulary i rozłożyć przed sobą notatki? Czy już się przyzwyczajasz do języka Indian? A może wciąż jesteś na statku w drodze do Ameryki, powiedzmy – mijasz Azory? Czy nazwa Sierra Mądre należy już do Twego świata? Droga Mino, czy czujesz się lepiej?

A może nie jest za późno.

Może nadal jesteś w Hajfie, pakujesz się, przygotowujesz i mogę jeszcze wstać, wsiąść w wieczorny pociąg, przyjechać tam przed północą, poszukać Cię i znaleźć w małym pensjonaciku w dzielnicy Hadar ha-Karmel, posiedzieć z Tobą w milczeniu, patrząc na mroczne wody, na cień wzgórz Galilei, na rześcicie oświetlone brytyjskie okręty wojenne w zatoce, z których jeden wydaje z siebie nagle przeciągły jęk.

Nie wiem.

Stan zdrowia nie pozwala mi na dłuższe podróże.

Gdybym przyjechał i zdołał Cię odnaleźć, powiedziałaśbyś pewnie:

– Immanuel. Po co przyjechałeś? I jak ty wyglądasz!

Gdybym powiedział, że przyjechałem się pożegnać, zdradziłby mnie głos albo drżenie warg. Ty byś stwierdziła z chłodnym żalem:

– Nieprawda.

Musiałbym milczeć. Byłbym zmieszany, upokorzony, pewnie odezwałby się ból. Byłbym dla Ciebie ciężarem.

Nie pojedaj. Przecież nie mam pojęcia, gdzie jesteś.

Po co ten długi list, o co w nim chodzi, jak to się mówi: jaki jest temat, w jakiej sprawie się do Ciebie zwracam? Tego też nie wiem. Przykro mi.

Jest wieczór. Już to pisałem dwukrotnie, a jednak wieczór trwa. Na dole na chodniku dziewczynki grają w klasy, a Uri, ukryty przed ich wzrokiem w krzakach, powoli wodzi za nimi lufą zabawkowego karabinu. Właśnie przerwał, zamyślił się czy rozmarzył. Ze swojego miejsca widzę jego głowę i cień zabójczej broni. Ten chłopiec zawsze trwa na posterunku i zawsze wydaje się na nim drzemać. Niedługo dzieci rozejdą się do domów. Krzyki ucichną, ale spokoju nie będzie. Mam bóle, szczególnie w jednym miejscu ból jest bardzo dotkliwy i natarczywy, ale nie mam zamiaru o nim pisać, skupię się na zapisie naszego jerozolimskiego tu i teraz. Droga Mino, nie czytaj, proszę, tych słów z ironicznym cierpliwym uśmiechem, postaraj się tym razem uśmiechnąć szczerze lub nie uśmiechać wcale. Nie znoszę Twojej ironii. Zdajesz się zawsze bez trudu odczytywać treść ukrytą za słowami, zawsze wybaczać. Ile w tym oschłości. Czy rzeczywiście w miarę przygasania płomienia oleandrów na podwórzu wymieniają się ptaki w koronie figowca i morwy? Nadchodzi wieczór. Dalekie szczekanie psów, echo dzwonów, strzał, krakanie wrony. Odgłosy zwykle, banalne, bliskie. Dlaczego wszystkie brzmią dla mnie tak ostatecznie.

Właśnie zbliża się pora, kiedy światło w Jerozolimie karleje i zmienia się w zimną kamienną poświatę, jakby to nie resztki słońca zstępującego za chmury, lecz ściany, mury, dalekie wieże promieniowały wewnętrznym blaskiem. Możesz teraz wypuścić, jak zwykle, dym z papierosa przez nos i pomyśleć sobie:

– O, znowu.

Napisałem: możesz. Miałem na myśli: nie mogę temu zapobiec.

Niczemu nie mogłem zapobiec. Wszystko działa się zgodnie z Twoją wolą.

Powiedziałaś mi kiedyś:

– Ty, Immanuel, i ja, Mina, jesteśmy dwojgiem ludzi wykształconych, o podobnych doświadczeniach, a jednak nie ma sensu, byśmy wiązali się z sobą na stałe.

Zgadzam się. Dr Nussbaum to człowiek łagodny, pełen wątpliwości, nawet gdy czegoś pragnie, zawsze jest wobec swych pragnień nieufny, uśmiecha się niepewnie, jak gdyby wreszcie ośmielił się opowiedzieć jakąś anegdotę i zaraz zaczął wątpić, czy była zabawna, rozumiała i na miejscu. Dr Oswald natomiast jest kobietą zgorzkniałą i zdecydowaną, która nawet rzadkie kompromisy zawiera na śmierć i życie. Gasi papierosa jakby wkręcała śrubę w dno popielniczki.

Przecież z góry wiedzieliśmy, że to błąd.

A jednak postanowiłaś związać się ze mną na pewien czas. Ja ze swej strony – czy mężczyźnie takiemu jak ja, będącemu w mojej sytuacji, wolno to powiedzieć? – kochałem Cię. I dalej Kocham.

*Jerozolima,  
trzeci września czterdziestego siódmego roku*

Droga Mino!

Nocami wracasz do mnie we śnie w szarobrazowej sukience. Spokojna, o mądrych palcach. Nawet Twój głos jest inny, łagodny, ciepły.

Przed północą zjadłem bułkę z oliwkami, pomidorami i ogórkiem. Zrobiłem sobie na noc zastrzyk, połknąłem dwie różne tabletki przeciwbólowe. W łóżku przeczytałem kilka stron z dziennika podróży pewnego bystrego Anglika, pielgrzyma, który odwiedził Palestynę przed osiemdziesięcioma laty i zarysował ponury obraz Jerozolimy. Pożyczył mi tę książkę

O'Leary. Potem zgasilem światło i nasłuchiwałem dalekiego warkotu silników. Pewnie kolumna wojsk brytyjskich zmierza w kierunku Ramalli i wzgórz otaczających Nablus. Senny i otepiały wyobrażałem sobie opustoszałe doliny, biedne wioski, kamienne domy, spowite mrokiem święte drzewo wśród skał, węszącego w jego cieniu lisa, a dalej jaskinie, żar ognisk, stare oliwki, nocny smutek kozich ścieżek, gdy nie ma ludzi wokół, szelest ostów, zapach końca lata i kolumnę brytyjskich dżipów pnących się na przygaszonych światłach po krętej górskiej drodze. To bardzo stara ziemia. Potem usłyszałem jakieś szepty na schodach. Mój ojciec i jego adwokat dyskutowali o czymś na korytarzu, śmiali się, słów nie rozumiałem, ale chodziło chyba o fałszerstwo, o śledztwo przeciwko mnie, o wybiegi prawne, które mogłyby mnie uchronić przed wielką hańbą. Zamykam na klucz drzwi gabinetu i biegnę do kuchni. Ojca muszę usunąć stamtąd niemal siłą, za to adwokat kłania mi się ze smutkiem i taktem. Daremnie szukam gorączkowo źródła wilgotnego dymu. Kaszlę, brakuje mi tchu. Muszę się spieszyć. Przecież w każdej chwili może się zjawić angielska policja i w oczach rodziców Uriego ja będę wszystkim winien. Wtedy Twoja brązowa sukienka miga mi w drzwiach balkonu, i nagle Ty. Nid próbuję się przeciwstawić. Ostrożnie wieszam marynarkę na oparciu krzesła, zdejmuję podkoszulek, nawet Cię pouczam, gdzie mam przeponę, i niemal się cieszę, obserwując Twoje mądre palce. Bezbłędnie, bezboleśnie rozcinasz skórę, omijasz żebra, szukasz i znajdujesz zaatakowany gruczoł, za pomocą kleszczy i cienkiego skalpela wyciskasz z niego ohydny ciecz. Bez krwawienia. Bez bólu. Zakończenia nerwów jak białe robaki. Tkanka mięśniowa rwie się jak darte płótno. Siedzę i patrzę na Twoje palce. Pracują w moim ciele jak na ilustracji w podręczniku.

– Immanuelu – mówisz z uśmiechem. – Już po wszystkim.

– Dziękuję – szepczę. I dodaję: – Chciałbym się ubrać.

A wtedy gruczoł, obrzmiały, zielonkawoniebieski, nabiegły ropą, przypominający olbrzymiego kleszcza, sunie owadzim truchtem na cienkich włochatych nóżkach po moim udzie i nodze, schodzi na podłogę, rzucam w niego blaszanym kubkiem i chybiam, ty miażdżysz go czubkiem buta, tryska tłustawy płyn. Teraz ubierz się, zrobię ci kawę. Mówisz: kawę, ale w twoich oczach błyska iskra rozsądku i zmieniasz zdanie: tobie nie wolno pić kawy, Immanuelu, będziesz musiał poprzestać na surowych owocach, dopóki się trochę nie wzmocnisz. Twoje dłonie w moich włosach. Jest mi dobrze. Milczę.

– Dziecko – mówisz – ależ jesteś zimny. I taki błądy. Zamknij oczy. Przestań myśleć. A teraz zaśnij spokojnie.

Robię, co każesz. Pod opuszczonymi powiekami gaśnie kuchnia, zostaje tylko słoik dżemu na nakrytym ceratą stole, roi się w nim od włochatych wilgotnych robali, to gruczoły z mackami owadów, są też w chlebie, w koszu z owocami, jeden pełźnie po rękawie mojej piżamy. Nie zwracam na to uwagi. Odpoczywam. Z zamkniętymi oczami słucham, jak śpiewasz rosyjską piosenkę. Skąd u Ciebie rosyjski, z kibuców w dolinie, z pól? Tam mnie weź, gdy mi powrócą siły, tam za Tobą pójdę. Droga Mino, o trzeciej nad ranem w sen wdziera się dźwięk dzwonu na wieży koszar Schnellera. Zapalam światło, drżącą ręką przysuwam filiżankę z ostygłą herbatą, zdejmuję z niej szklany spodeczek, upijam łyk, biorę kolejną tabletkę, wracam do angielskiego pielgrzyma i spieram się z nim w myślach o przebieg działu wodnego, który bez wahania wyznaczył na Górze Skopus i Górze Oliwnej. Nie gasząc światła, zasypiam znowu o świcie i słyszę, że teraz już możesz mi wyznać swoją tajemnicę. Urodziłaś mi syna i oddałaś go do kibucu, abym w swoim stanie nie musiał się o niego troszczyć. Twoje wargi na moich włosach.

– Nie wyjechałaś, Mino. Ja też nie wyjechałem.

– Jestem tu, co noc będę Cię odwiedzała, Immanuelu, ale w dzień muszę się ukrywać, bo trwają przeszukania i obowiązuje godzina policyjna. Tak musi być, nim pokrzyżujemy knowania wroga i państwo hebrajskie będzie wolne.

Zasypiam z głową na Twoich kolanach, budzą mnie przenikliwe odgłosy strzelaniny. Dzisiejszej nocy chłopcy z Ecel czy Lechi znów zaatakowali posterunki brytyjskie, a może zaczęły się już pierwsze rozpoznawcze walki nowej wojny. Wstaję.

Blade światło w oknie. Na sąsiednim podwórzu pieje rozjuszony kogut. Dziwny chłopiec wyszedł już na dwór, buszuje w stertach złomu i ciąga z miejsca na miejsce porzucone skrzynie. Jest szósta rano. Nowy dzień. Muszę zagrzać w czajniku wodę na golenie i poranną kawę. Jeszcze przez pół godziny mógłbym utrzymać przy życiu dziecko nocy, naszego syna, niemowlę, które urodziłaś i ukryłaś przede mną. O wpół do siódmej przynieśli gazetę, a kwadrans po siódmej podano w wiadomościach, że londyński „Times” przestrzegł syjonistów przed nierozważnym stawianiem wszystkiego na jedną kartę i radził, by dokonali realistycznej oceny swoich dążeń i zrozumieli wreszcie, że koncepcja państwa żydowskiego prowadzi do rozlewu krwi. Należy rozważyć inne rozwiązanie, które będzie do przyjęcia również dla Arabów, przynajmniej tych bardziej umiarkowanych. Wprawdzie pismo jest stanowczo przeciwne wydaniu w ręce muzułmańskich fanatyków dzieła osadnictwa syjonistycznego, jest to dzieło nader chlubne, i tylko daleko idące aspiracje polityczne kierownictwa Agencji Żydowskiej graniczą z awanturnictwem. Po wiadomościach, gdy słałem łóżko i zbierałem miotełką kurze z regałów i z szafki nocnej, Dawid Zakaj opowiadał o gwiazdach na wrześnieowym niebie. Potem radio nadało poranną muzykę. Na ulicy rozległy się dzwonki wozów z naftą i lodem. W moich myślach wciąż powracały słowa: lekkomyślność, stawianie na jedną kartę, awanturnictwo.

O ósmej wpadłem na pomysł, by wybrać się do szpitala Hadasa na Górze Skopus, wtargnąć na kwadrans do gabinetu profesora Duszkin i spytać go raz jeszcze, jak się miewa moja choroba i co wykazały badania, które robił mi w zeszłym tygodniu. Przenikliwe pustynne światło spłynęło już na Jerozolimę. Suchy wiatr tańczył wśród wzgórz. W zakurzonej autobusie studenci żartowali ze swoich wykładowców, z polską bystrością naśladowując ich niemiecki akcent. Po drodze z jakiejś kawiarni w Szejjch Dżarach wypłynęły na chodnik wyplatane stołeczki. Na jednym z nich siedział bez ruchu młody wykształcony Arab w prążkowanym garniturze i okularach w rogowej oprawce. Był zamyślony, filiżanka kawy skamieniała mu w dłoni. Nie zaszczylił choćby jednym spojrzeniem żydowskiego autobusu. Nie mogłem się powstrzymać przed porównaniem emanującej z niego ciszy z rechotem studentów i teatralnym śmiechem dziewczyn. Poczułem niepewność.

Profesor Duszkin wykrzyczał radośnie moje imię i natychmiast przegonił z pokoju jak niesforną kurę zasuszoną pielęgniarke, która wpisywała dane do kartoteki. Zatrzasnął za nią drzwi, poklepał mnie po ramieniu i oznajmił z rosyjską wylewnością:

– Zmartwienie w sercu człowieka go przygnębia<sup>12</sup>. Będziemy rozmawiać otwarcie, jak zwykle.

Zadałem mu kilka krótkich pytań związanych z wynikami zeszłotygodniowych badań i dostałem odpowiedzi zgodne z przewidywaniami.

– Ale słuchajże, kochany Immanuelu – dodał z przesadnym ożywieniem – przecież w lecie czterdziestego czwartego mieliśmy już taki przypadek. Pamiętasz rabina Ćwika, kabalistę z Safedu? Tak. Doszliśmy wtedy do takich samych wniosków, a jednak u niego obrzęk zelżał i jego stan, że się tak wyrażę, ustalił się. Ten człowiek żyje do dziś i ma się dobrze. To fakt.

Uśmiechnąłem się:

– Więc proponujesz mi studia kabalistyczne?

Profesor Duszkin podał herbatę. Namawiał mnie, żebym się poczęstował wafelkiem.

– Głupota wszędzie święci triumfy – powiedział. – Nawet na naszym wydziale. Nawet w polityce. Kierownictwo Agencji Żydowskiej to dla mnie polityczne oseski, przemądrzali

---

<sup>12</sup> Przypowieści Salomona 12,25.



amatorzy, małomiasteczkowe nieuki, chamy i prostaki, i właśnie oni muszą sobie teraz radzić z najlepszymi ekspertami rządu brytyjskiego. Oszaleć można. Napijesz się jeszcze herbaty? Co z tobą? Pewnie że tak! Przecież już jest nalana, o co ci chodzi, przyszedłeś mi grać na nerwach? Pij! Jednym słowem, Szertok i Beri Locker. Co tu dużo gadać: Swidrygajłowowie polityczni. W grudniu powtórzmy badania. Jeśli do tego czasu nie nastąpi pogorszenie, będziemy mogli to uznać za dobry znak. Co tam znak, więcej: przełom! No. Tak. A tymczasem, jak by to powiedzieć, bądź silny, mój przyjacielu. Twój spokój ducha jest podziwu godny!

Gdy to mówił, spostrzegłem nagle, że oczy mu się zaszklily. Ten tęgi, muskularny mężczyzna płakał przy najmniejszym wzruszeniu, wiecznie się czerwienił, tracił opanowanie. W duchu nazywałem go Samowarem.

Wstałem, żeby się pożegnać.

A więc na razie nie zlecił powtórnych badań. Ani żadnych zabiegów.

Wiedziałem, że tak będzie.

– Duszkin – powiedziałem – chciałbym ci podziękować. Bardzo serdecznie.

– Podziękować? – zawołał z bólem. – O co ci chodzi? Co z tobą? Zwariowałeś? Za co mi nagle dziękujesz?

– Byłeś ze mną szczery. I nie powiedziałeś jednego zbędnego słowa.

– Przesadzasz, Immanuelu – w jego głosie czuć było żal i wzruszenie. – Tym razem przesadziłeś. Ale naturalnie – dodał poprzednim tonem – w czasach gdy głupota święci triumfy na ulicach miast, każde spotkanie podobne naszemu urasta do rangi wydarzenia. Swidrygajłowowie, powiadam. Swidrygajłowowie polityczni, a i medyczni też. Przecież nawet tu u nas na wydziale prosperują różni Szertokowie i Berlowie Lockerowie. No. Za dziesięć minut odchodzi autobus do miasta. Dziewiątka, jak zwykle. Nie! Nie biegnij! Nie masz się co spieszyć: przyjedzie z opóźnieniem. Słowo ci daję, spóźni się. Przecież to Ha-Mekaszser, a nie Royal Navy. Jeśli poczujesz u siebie jakąś zmianę, natychmiast do mnie przyjdź. Choćby o drugiej w nocy. Dostaniesz gorącą herbatę. Tak cię lubię, Immanuelu, aż mi się serce kraje. No, starczy. Skoro wspomnieliśmy o rabinie Ćwiku, tym niedomytym świętym, który wbrew wszystkim mądrym książkom wstał – dosłownie wstał – z martwych, przypomnę ci małą dykteryjkę. Otóż rabin mawiał, że czasem Najwyższy lubi sobie pożartować, a wtedy pokazuje wiernym, że jeśli zechce, może ocalić życie nawet przy pomocy lekarzy i medycyny. Jedź spokojnie, Immanuelu. Do zobaczenia. Musisz być silny, silny, przyjacielu!

I znów w jego oczach zalśniły łzy. Otworzył przede mną drzwi gniewnym gestem i raptem ryknął w korytarz strasznym głosem:

– Swidrygajłow! Szmendrik! Chodź tu natychmiast! Leć zwolnić dla mnie w tej chwili rentgen! Tak, choćby siłą! Wrzuć tam bombę, wszystko mi jedno! Ale po drodze odprowadź, proszę, doktora Nussbauma do windy. Nie! Na przystanek autobusowy. Przecież wy robicie nam z Jerozolimy Chełm, Chełm *par excellence*! Sami panowie widzicie: bywam potworem. Istnym Tatarzynem. Kanibalem. Taki już jestem. No. Do zobaczenia, Immanuelu. I nie martw się o mnie. Znasz mnie przecież: poradzę sobie. I jeszcze... No, nieważne. Pa, pa, pa.

Na autobus się jednak spóźniłem, ale nie miałem o to żalu do Samowara. Czekałem blisko godzinę na ławce na przystanku. Miasto i góry zdawały się zdumiewająco spokojne. Patrzyłem na wieże i kopuły Starego Miasta, nowe osiedla spływające po stokach szarych wzgórz, dachy kryte dachówką, gdzieś tam puste parcele, drzewka oliwne, i miałem wrażenie, że w całej Jerozolimie nie ma żywej duszy. Tylko w lasku za moimi plecami wiał suchy wiatr, a od strony angielskiego cmentarza wojskowego dobiegała spokojna rozmowa ptaków.

Naprzeciwko była pustynia. Dosłownie u moich stóp.

Zaniedbane kamieniste pole, strzępy gazet, chwasty i złom, nieurodzajna ziemia, wapienny albo kredowy ugór. Pod względem ukształtowania terenu i pejzażu Góra Skopus to wrota pustyni. Jej sąsiedztwo przeraża mnie. Są tam zapomniane doliny, prażące się w słońcu głazy, krzaki smagane wiatrem, skorpiony w rozpadlinach skalnych, dziwne chaty z kamienia, minarety na szczytach łysych wzgórz, ostatnie wsie. Dalej, na zboczach gór i w dolinie Jordanu, są jeszcze pozostałości zburzonych biblijnych miast: Suejme, które mój angielski pielgrzym uważa za dawne Bet ha-Jeszimot, Abel ha-Szittim, Bet Haram, Wadi Namrin, które może być starożytnym Bet Nimra. Wśród ruin rozrzucone są obozy koczowniczych plemion, w nich namioty z koziej skóry i czarni pasterze uzbrojeni w noże. Sprawiedliwość wymaga ludzkiej krwi. Prawa pustyni są proste: miłość, honor i śmierć. Mieszka tam e/a, jadowity wąż biblijny. Mino, jakże mnie przeraża ta bliskość pustyni.

Tak. Wybacz mi. Wszystko to przecież kiedyś ode mnie słyszałaś, w Hajfie, w kawiarni Lew ha-Karmel, nad pucharkiem lodów truskawkowych. Pamiętasz? Nazwałaś moją gadaninę „neurozą wiedeńską”. Nie przeczę, to neuroza. Może istotnie wiedeńska.

Czy to też ci opowiadałem?

Okno pokoju, w którym dorastałem, wychodziło na kanał. Pływały po nim barki. Czasem nocą przepływała rzęsiście oświetlona łódź wioząca roześmianych letników. Nad wodą były dwa mosty, jeden łukowaty, drugi nowoczesny. Może w latach uniwersyteckich przechodziłaś tamtędy przypadkiem. Mogliśmy się mijać na ulicy, nie wiedząc o tym. Co wieczór obserwowałem, jak chory na suchoty uliczny malarz zaciąga się papierosem i natychmiast zaczyna się krztusić. Palił jakby znajdował rozkosz w dręczącym kaszlu, spluwał do rynsztoka i znowu wciągał dym. Nie zapominałem. Rząd latarni wzdłuż nabrzeża. Drżące odbicia w wodzie. Zapach burej rzeki Ulicznica na starym moście. Pensjonat z szynkiem na parterze, nazywał się Zmęczone Serce, widywałem w nim wiecznie studentów malarstwa i różne kobiety. Kiedyś jedna z nich stała na ulicy, tupiąc nogami i płacząc bezgłośnie. W ciepłe wieczory przechadzali się tamtędy szukający natchnienia panowie o twarzach czy to zamyślonych, czy wypranych z wszelkiej nadziei. Handlarz pamiątek krążył od sklepu do sklepu.

– Próbuje sprzedać lód Eskimosom – żartował ojciec.

Co godzinę słychać było u nas dzwon z wieży kościoła, którego kamienny portal zdobił napis „Jest droga powrotna” po łacinie, niemiecku, grecku i hebrajsku (w tym ostatnim, wyrytym dziwną czcionką, był drobny błąd: zamiast „powrotna” napisano „spowrotna”). Przy kościele znajdował się żydowski sklep ze starociami, prowadzony do spółki przez dwóch fałszerzy, Gutziego i Gipsa. Opowiadałem Ci o nich podczas naszej wycieczki koleją do Deganii. Pamiętasz, Mino? Śmiałaś się. Zarzucałaś mi „książkowe wymysły”. I wybaczyłaś.

Ale nie miałaś racji. Gips istniał naprawdę, podobnie jak Gutzi. Stwierdzam to teraz na piśmie, bo nawet wobec Ciebie muszę wreszcie wykazać pewną stanowczość: prawda przede wszystkim. Po słowie „prawda” przerwałem. Tak. Zawahałem się lekko. Bo co jest prawdą, Mino? Może to: nie wyrzekłem się Wiednia dla Jerozolimy. Raczej zostałem wygnany i chociaż uważałem, że to mi zrujnuje życie, ostatecznie zyskałem osiem czy dziewięć lat zdrowia, poznałem Ciebie i zobaczyłem Jerozolimę. Przebyłem długą drogę na ulicę Malachiasza. Na Górę Skopus. Do granic pustyni. Gdyby nie obawa, że cię zirytuje, użyłbym tu słowa „absurd”: Ty i Jerozolima. Jerozolima i ja. My w roli spadkobierców proroków, królów i bohaterów. Otwieramy nową kartę, znacząc ją starymi neurozami. Neurozy to po hebrajsku *charadot*. Mój Uri, syn sąsiadów, przynosi mi czasem swoje wiersze. Ufa mi, bo go nie wyśmiewam. Uważa mnie za zakonspirowanego wynalazcę, który dla niepoznaki siedzi w ciemnym kącie i udoskonala niezwykłą tajną broń dla hebrajskiego państwa. Pisze wiersze o dziesięciu zaginionych plemionach izraelskich, o hebrajskich jeźdźcach, o okupacjach i aktach zemsty. Pewnie jakiś belferzyna, jakiś wariat dotknięty mesjanistyczną obsesją zatrut wyobraźnię chłopca znanym koktajlem jerozolimskim, mieszaniną biblijnych wizji i

polskiego czy kozackiego romantyzmu. Czasem próbuję skierować jego uwagę ku opowiastkom dydaktycznym, o Albercie Schweitzerze w Afryce, o życiu Ludwika Pasteura, o Edisonie, o cudownym Januszu Korczaku. Bezskutecznie.

Na dachu, gdzie wieszka się pranie, Uri ma wyrzutnię rakiet ze szczątków starej lodówki i części porzuconego motocykla. Jest wycelowana w Parlament londyński. To przeze mnie opóźnia się cała operacja, bo ja, doktor Einstein, doktor Faust, doktor Gog i Magog, mam w swoim laboratorium wynaleźć tajne paliwo i hebrajską bombę atomową.

Uri spędza u mnie długie godziny nad wielkim niemieckim atlasem. Jest cichy, grzeczny, dba o czystość i porządek w mieszkaniu, słucha mnie z uznaniem, ale jednocześnie gani za ślamazarność. W atlas wbija, oczywiście za moim przyzwoleniem, pinezki z poroczykami i przesuwa je w różnych kierunkach. Przeprowadza próbne lądowanie komandosów hebrajskich nad Kanałem Sueskim i na brzegach Morza Czerwonego. Zdobywa okręty brytyjskie na Morzu Kreteńskim i na wodach wokół Malty. Czasem zaprasza mnie do udziału w tej dziwnej zabawie w roli zdradzieckiego Albionu, każe mi knuć mroczne spiski, prowadzić beznadziejne wojny na tyłach wroga na lądzie i morzu, w Dardanelach, Cieśninie Gibraltarskiej, u ujścia Morza Czerwonego. Na koniec muszę skapitulować z godnością, przekazać władzę nad Orientem armii Królestwa Hebrajskiego, przystąpić do negocjacji, wyznaczyć cienkim ołówkiem granice stref wpływów i przyznać uczciwie, że w dyplomatycznej wojnie mózgów poniosłem klęskę, podobnie jak wcześniej na polu bitewnym. Dopiero wtedy zostanie przygotowany grunt pod sojusz militarny i my obaj, Imperium Brytyjskie i Królestwo Izraela, będziemy mogli wspólnie podjąć walkę z pustynnymi barbarzyńcami. W kleszczowym natarciu będziemy przebijać się w kierunku wschodnim, aż gdzieś na końcu mapy natkniemy się na przednie straże zaginionych plemion. Pozwoliłem Uriemu naszkicować w atlasie niebieskim ołówkiem rozległe, choć zapomniane od Boga i ludzi Królestwo Izraelskie w Azji Środkowej, gdzieś pośród szczytów Himalajów.

Ta zabawa niezbyt przypada mi do gustu, a jednak w niej uczestniczę i ku swemu zdumieniu czerpię z niej nawet czasem pewną przyjemność. Ten chłopiec. Dziwne dziecko. Moje dziwne dziecko.

– Panie doktorze – mówi Uri – jeśli znów pan się niezbyt dobrze czuje, umiem panu przygotować kolację. I mogę pójść po warzywa i do Ziegla, kupić co trzeba. Niech pan tylko powie co.

– Dziękuję, Uri. Nie trzeba, przeciwnie: w szafce kuchennej jest czekolada, weź ją sobie, może znajdziesz też migdały. Potem idź do domu, żeby rodzice się nie martwili.

– Nie będą się martwić. Mogę nawet zostać u pana na noc, przypilnować laboratorium, żeby pan mógł trochę pospać. Moi rodzice pojechali do sanatorium, w domu jest tylko ciotka Natalia, a z nią nie będzie żadnego kłopotu, bo ma swoje sprawy. Mogę nawet czuwać na dworze przez całą noc. Albo po prostu siedzieć spokojnie u pana.

– A lekcje?

– Łatwe były. Panie doktorze...

– Tak, Uri?

– Nic. Tylko że pan...

– O co chciałeś spytać, Uri? Nie wstydź się. Pytaj.

– Nic takiego. Pan zawsze... Pan zawsze jest sam?

– Ostatnio tak.

– Nie ma pan rodzeństwa? I... nie żeni się pan?

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Tak tylko. Bo ja też nie.

– Co nie?

– Nic. Nie mam rodzeństwa. I też... Nikogo nie potrzebuję.

– To nie to samo, Uri.

– Właśnie że tak. I jeszcze coś. Pan mnie nie nazywa nienormalnym dzieckiem. Jestem nienormalny?

– Nie, Uri.

– Pewnie, jestem pana asystentem. I to jest nasza tajemnica.

– Oczywiście – mówię bez uśmiechu – a teraz już idź. Jutro, jeśli zechcesz, posiedzimy razem w laboratorium i nauczę cię, jak rozłożyć niektóre substancje złożone na pierwiastki. Będziesz miał lekcję chemii. Tak powiedz w domu, jeśli cię ktoś zapyta, po co mnie odwiedzasz.

– Jasne. Może pan na mnie polegać, niczego nie zdradzę. Powiem o lekcjach chemii, tak jak pan kazał. Niech się pan nie martwi. Do widzenia.

– Chwileczkę – mówię niepewnie. – Uri, zaczekaj.

– Tak?

– Twój sweter. Do zobaczenia.

Schodzi po schodach, wymyka się z mojego domu tylnymi drzwiami, widzę z balkonu, jak skrada się sekretnym przejściem przez gęstwinę krzewów, i nagle myślę: co ja narobiłem. Musiałem chyba oszaleć. Nie wolno mi. A z drugiej strony: przecież to nie moje dziecko, tylko sąsiadów. A choroba z całą pewnością nie jest zaraźliwa. Jednak to się źle skończy. Przepraszam, Mino. Na pewno nie pochwalisz tej dziwnej relacji. I będziesz miała rację, jak zwykle. Bardzo przepraszam.

*Piąty wrzesień, znowu pod wieczór*

Droga Mino!

Powinienem był z miejsca wyznać profesorowi Duszkinowi na Górze Skopus, że nie zgadzam się ani trochę z jego surową oceną Berła Lockera i Mosze Szertoka: ci biedni wysłannicy naszej małej, osamotnionej społeczności żydowskiej naprawdę przychodzą przecież z pustymi rękami. Powinienem był także powiedzieć temu inżynierowi z Agencji Żydowskiej, że lepiej by było, gdyby jej działacze przestali śnić o tajnej broni, otworzyli oczy i zaczęli się przygotowywać do wycofania armii brytyjskiej i do zbliżającej się wojny. I powinienem był, wybac to górnolotne sformułowanie, powinienem był spróbować walczyć o duszę mojego dziecka, mojego dziecka sąsiadów, zdecydowanie unikać zabaw w okupację, odsunąć go od laboratorium, przeciwstawić rozsądne argumenty niedorzecznym rojeniom tego kozackiego bibliisty, który najwyraźniej zawładnął umysłem Uriego.

Ale nie zaprzeczam, że niedorzeczne rojenia i mnie nachodzą czasem w nocy, między jednym a drugim atakiem bólu. Dziś we śnie pomagałem doktorowi Weizmannowi, przebranemu za księdza katolickiego, zakraść się pod osłoną mroku na most nad Dunajem i wrzucić do wody ampułki pełne bakterii dżumy.

– Przecież obaj jesteśmy już zarażeni – powiedział doktor Weizmann – nie ma dla nas nadziei, dożyjemy przynajmniej chwili zemsty, gdy świat pojmie, że nie można bezkarnie podnosić na nas ręki.

Próbowałem z nim dyskutować, przypominać, że obaj zawsze gardziliśmy takim rozumowaniem, ale on zwrócił ku mnie udręczoną twarz, nie wiedząc czemu pozbawioną oczu, i nazwał mnie Swidrygajłowem.

Wczesnym rankiem znów wyszedłem na balkon. Zobaczyłem światło w oknie jednego z mieszkań w sąsiednim budynku. Zewulun Grill, kierowca spółdzielni Ha-Mekaszer, członek naszego komitetu obrony cywilnej, stał w kuchni i kroił kiełbasę. Pewnie robił sobie kanapki. Ja też zagrzałem wodę do golenia i na poranną kawę. Jakiś dziwny zwrot hebrajski uczeplił się mnie ni stąd, ni zowąd jak kiczowata głupia melodyjka, od której nie sposób się uwolnić: być komuś cierniem. Cierniem jej byłem. Byliśmy im cierniami.

Droga Mino, kolejny zły znak dołączył do poprzednich dzisiejszej nocy: pierwszy raz zdarzyło mi się zasnąć w ubraniu na kanapie. Dopiero o drugiej zbudziłem się wymięty i powlokłem do łóżka. Muszę się zatem spieszyć.

– Po szkole poszedłem sam do lasku Teł Arza – powiedział Uri. – Przyniosłem panu całą puszkę takiego jakby miodu, co kapie z sosen, kiedy się łamie gałęzie. Dzień dobry, panie doktorze, zapomniałem się przywitać. Nikt mnie nie śledził, bo uważałem i trochę krążyłem, zanim do pana przyszedłem. To pachnie jak spirytus, tylko taki dziwny. Po drodze wymyśliłem, że można spróbować dodać do tego benzyny i acetonu, podpalić na dachu i sprawdzić moc wybuchu.

– Dziś, Uri, proponuję, żebyśmy dla odmiany zrobili coś innego. Zamkniemy okna, usiądziemy sobie w fotelach i posłuchamy z gramofonu płyt z muzyką klasyczną. Jeśli potem będziesz chciał o coś zapytać, spróbuję ci wyjaśnić niektóre pojęcia muzyczne.

– Muzyki – powiedział Uri – jest u nas w domu dość, bo mama przez cały dzień gra na pianinie. Widzę, że dzisiaj znowu pan się źle czuje, panie doktorze, więc może lepiej przyjdę jutro po południu albo w sobotę rano i sam zrobię te doświadczenia, które są opisane w pana notesie na biurku w laboratorium, opowiadał mi pan o nich, z nitryfikacją sodu albo z tą drugą rzeczą, jak to się nazywa, z kwasem azotowym i nitrobenzenem? Przepraszam, że trochę pana poganiam, ale pan sam ciągle mówi, że trzeba się spieszyć.

– Tak mówiłem, Uri, nie przeczę, ale to było w zabawie.

– Nazywa pan to zabawą, bo nie może pan zdradzić tajemnicy. Niech pan teraz nie mówi, że to nie było na serio, bo widziałem, że było. Ale nie szkodzi. Przyjdę kiedy indziej.

– Ale Uri...

– Jeśli, nie daj Boże, znowu ma pan atak, chętnie pobiegnę zawołać doktora Kipnisa, a jeśli nie, mogę w dziesięć minut umyć panu wszystkie próbówki i jeszcze napełnić palnik spirytusowy. Albo jeśli pan woli, teraz sobie pójdę i wrócę natychmiast, jak zobaczę ze swojego okna nasz znak, odchylną firankę w pana łazience. A na razie do zobaczenia i proszę wyzdrowieć, panie doktorze, bo co ze mną będzie, jeśli coś się panu stanie.

Czy mam siłę i prawo usiłować wpłynąć na tego chłopca?

Wychowanie młodzieży z pewnością nie jest moją specjalnością.

Na podwórzu dzieciaki Grillów łapią go i wyśmiewają. Nie słyszę, co mówią, a gdybym słyszał, pewnie bym nie zrozumiał. Słyszę za to ich złośliwy śmiech i bohaterskie milczenie konspiratora Uriego.

Co ja mogę.

Siedzę przy stoliku na balkonie, spisuję dla Ciebie sprawozdanie, w którym nie ma i być nie może podsumowania ani wniosków. Wybacz mi.

Tymczasem na dworze jest prawie całkiem ciemno. Znowu przyniosłem sobie lampkę z gabinetu, żeby pisać do Ciebie pod wieczornym niebem. Zaraz pojawią się pierwsze gwiazdy. Czuję się, jakbym miał doznać objawienia. Jakby w tym mieście nawet ktoś taki jak ja mógł zostać zwiastunem dobrej lub złej nowiny.

Wokół lampy krążą ćmy. Przerwałem na chwilę pisanie i zrobiłem sobie kawę najprostszą metodą: zalałem wrzątkiem czarny proszek. Bez mleka i bez cukru. Zjadłem herbatnika. Poczuję słabość i mdłości, kwas podszedł mi do gardła. Połknąłem tabletkę. Zrobiłem sobie zastrzyk. Przepraszam, Mino, uskarżanie się na mój stan fizyczny nuży mnie i nie należy do tematu.

A co należy? Jaki właściwie jest temat?

Dobre pytanie.

Może do tematu należy to, że dzieciaki z dzielnicy doprowadziły Uriego do rozpacz, więc wspiał się na wysoką morwę na podwórzu jak zaszczuty kot. Muszę interweniować. Obronić go albo zawołać rodziców. Rodzice wyjechali, więc iść do tej ciotki Natalii, która

przyjechała z kibucu. Nie teraz: pójdę do niej późnym wieczorem, kiedy Uri zaśnie. Porozmawiam z nią, wyjaśnię, ostrzegę i przeproszę.

Absurd: co mam jej powiedzieć? I jak ja, obcy człowiek, mam tam przyjść o późnej porze?

Poza tym nie znam się wcale na wychowaniu młodzieży.

Popatrzę, co będzie dalej. O, chłopcy, którzy przegonili Uriego, ruszyli do natarcia przez zniszczone płoty. Czy to polowanie? Ganiają po podwórzach, po piwnicach, oblażących z farby klatkach schodowych, trącają przykurzone, konające z pragnienia krzaki. Noszą hebrajskie imiona właściwe dla synów pustyni: Boaz, Joaw, Gidon, Ehud, Iftach. Ponieważ ciemność nie jest jeszcze doskonała, tylko wciąż zmacona resztką światła, mogę z balkonu odgadnąć, w co się bawią. To nalot. Chłopcy rozkładają szeroko ramiona, ustawiają się w szyku bojowym, pochylają w przód i warczą jak myśliwce. Żywe dziecięce krzyże. Naśladują odgłosy wybuchów, ryk silników, terkot karabinów maszynowych. Jeden z nich spogląda przypadkiem na mój balkon, widzi, że spokojnie piszę przy lampce, celuje we mnie z niewidzialnego działa i zabija jedną serią.

Wchodzę w rolę. Podnoszę ręce na znak poddania, uśmiecham się nawet jak dobry wujek, żeby mu sprawić radość. Lecz oto twardy wojownik nie przyjmuje kapitulacji. Po prostu. Ignoruje uśmiech i uniesienie rąk. Nie ma i być nie może żadnych odstępstw od logiki wojny: przecież zostałem zabity i już mnie nie ma, a on rusza w drogę, by dalej oczyszczać świat z wrogów Izraela.

Jest piątkowy wieczór. Żydzi w tanich garniturach z modlitewnikami pod pachą przechodzą pod moim domem, udając się do Synagogi Ocalałych na powitanie szabatu. Pewnie w głębi serca wzrusza ich widok dzieci-samolotów. Pewnie mruczą pod nosem z zadowoleniem:

– To łobuziaki!

Przez całe lato dzieci wystawiały się na palące słońce. Chyba nie muszę Ci mówić, Mino, że spełniłem swój obowiązek: nie raz i nie dwa przestrzegałem sąsiadów, ich rodziców, że nadmierne opalanie jest niezdrowe dla skóry i może być szkodliwe dla rozwoju dziecka. Bezskutecznie. Tutejsi mieszkańcy, głęboko wierzący drobni sklepikarze, urzędnicy magistratu i Agencji Żydowskiej, uchodźcy, myśliciele, zbieracze znaczków, byli pionierzy, nauczyciele i kanceliści wynoszą ideę opalania do rangi kultu. Może mają poczucie, że ich zbrązowiałe dzieci z małych Żydów stają się Hebrajczykami należącymi do nowej rasy, silnej, zdecydowanej, już nie tej wylęknionej, zaszczutej, błyskającej złotymi i srebrnymi zębami, o spoconych dłoniach i oczach spoglądających zza grubych szkielec. Ten drobny kamuflaż zupełnie je uwolnił od strachu przed prześladowcami. Brząz to po hebrajsku *arad*. Th muszę zastrzec, że bardzo niewiele czytałem z dziedziny zoologii i antropologii, więc porównanie tego, co się u nas dzieje, do mechanizmów obronnych stwierdzonych u pewnych nieznanym mi z nazwy jaszczurek może być nieuprawnione.

Jednak odnotuję to jako osobistą obserwację.

Jerozolima, dzielnica Kerem Awraham, połowa lat czterdziestych: Bunem zrodził Zyszę, Zysza zrodził Mietka, Mietek zrodził Giorę. Nowa karta.

Mnie te wysiłki zdają się beznadziejne. Pod koniec letniego dnia Kerem Awraham czuć i tak kwaśnym zapachem aszkenazyjskich emigrantów. A oto jego składniki: ich pot. Ryby. Tani olej do smażenia, którego używają. Nerwowe trawienie. Drobne sąsiedzkie intrygi i tłumiona chciwość. Lęki i nadzieje. Gdzieniegdzie na wpół zatłoczone rury kanalizacji. Wszechobecne sznury ze schnącą bielizną, w szczególności damską, skromną, rzekłbym: purytańską. Ogórki kiszące się na parapetach w słoikach po dzemie, pływające w wodzie z czosnkiem, pietruszką, koprem i liśćmi laurowymi. Czy nadejdzie czas, że za tym miejscem też ktoś zatęskni? Czy to możliwe, że pewnego dnia ktoś będzie powracał w snach do zardzewiałych balii, zniszczonych płotów, gołego spękanego betonu, złuszczonego tynku,

zwojów drutu kolczastego, chwastów, zapachu emigrantów? Czy przetrzymamy nadciągającą wojnę? Co to będzie, Mino? Może masz dla mnie jakąś pocieszającą hipotezę? Nie? Dziś rano w audycji podziemia na falach krótkich puszczano dziarską piosenkę:

*Wzeszło dla nas słońce nad górami,  
Więc i my zdobądźmy góry też.  
Dzień wczorajszy został już za nami,  
Lecz do jutra droga długa jest.*

Są tu góry, Mino, a wśród nich my. Ludzie, Żydzi, emigranci. Nasze ostatnie rezerwy. Nie dla mnie jutro z piosenki, wiem. Ale moja miłość i lęk kierują się rozpaczliwie ku – wybaczone – utęsknionemu dziecku, które mi urodziłaś i ukryłaś przede mną w kibucu w dolinie Jezreel. Co czeka tego chłopca. Na pewno jest szczupły, opalony, biega boso, jego sny wypełniają krany, śrubki i koła zębate.

Albo Uri.

Spójrz, mam, jak Duszkin, łyży w oczach. Też stałem się nagle Samowarem. Nie tyle rozczulam się nad swoją śmiercią, co żal mi ludzi, ich dzieci i otaczających gór. Co to będzie. Co my zrobiliśmy i co zrobimy teraz. Neuroza. Owszem, czuję lęk. Nie uśmiechaj się tak.

Piątkowy wieczór. W każdej kuchni gotują się gęsie szyjki nadziewane kaszą, kiszki, faszerowane papryki. W biednych domach – tania kiełbasa z musztardą. U mnie oczywiście będą tylko surowe warzywa i owoce. Nawet kłótnie, nawet obelgi rzucane czasem z balkonu są w jidysz:

*– Bist du a wilde chaje, adon Menachem, du herstmich, bist du a meszugen?!*<sup>13</sup>

Tak to jest w Jerozolimie.

Podobno w Galilei, w dolinach, w Szaronie i na krańcach Negewu zachodzi przemiana: wykształca się nowa rasa chłopów. Ważą słowa. Są zdecydowani i oddani sprawie. Mają subtelne poczucie humoru.

Nie wiem.

To ty zawsze wszystko wiesz.

To ty od dwu i pół roku objeżdżasz kibuce, w spodniach khaki i męskiej koszuli z dużymi kieszeniami na piersi przemieszczasz się z punktu do punktu zakurczonymi pikapami, notujesz, przeprowadzasz wywiady, porównujesz, sporządzasz tabele, nocujesz w barakach pionierów, jesz ich skromny chleb, może wręcz umiesz z nimi rozmawiać w ich języku. Może ich nawet kochasz?

Jesteś spartanką, masz w sobie siłę, nie uznajesz kompromisów, krążysz bez skrępowania wśród osad i obozów, zbierając materiały do oryginalnych badań socjopsychologicznych. Gasisz papierosa jakbyś wbijała w stół pinezkę. Natychmiast zapalasz nowego, zapalając zdmuchujesz albo gasisz machając nią mocno, niemal gniewnie. Zapisujesz na małych karteczkach sny pierwszego pokolenia dzieci urodzonych w Kraju Izraela. „Wzorce zachowań i pojęcia normatywne u dzieci poddanych wychowaniu kolektywnemu”. Mino, ja przecież gotów jestem całym sercem uwielbiać te dzieci i ich rodziców pionierów, ten zapach, cichy heroizm, żelazną wolę i miłe obejście.

I Ciebie.

Mino, chylę przed Tobą czoło.

Zresztą zapomnijmy o tym. Wiedeński nawyk. Już żałuję, że to napisałem.

A ja kim jestem?

Słabym Żydem. Trawionym niepewnością. Pełnym oddania, ale i trosk. A teraz na dodatek bardzo chorym.

<sup>13</sup> Czy pan jesteś dzikie zwierzę, panie Menachem? Słyszysz pan, czy pan jesteś wariat?

Oto mój skromny wkład: tu, w Jerozolimie, w dzielnicy ubogich emigrantów z Polski i Rosji, nie licząc godzin, niejednokrotnie po nocy, dopóki mi starczało sił, niezłomnie dawałem odpór dyzenterii i dyfterytowi.

I jeszcze chemia. Domowej produkcji materiały wybuchowe. Może Uri już widzi to, czego ja nie chcę zobaczyć. Może rzeczywiście w moim laboratorium powstaje formuła – po hebrajsku *nuscha* – przydatna do produkcji prymitywnych bomb. A może chociaż podsunę Haganie jakiś punkt wyjścia. To znaczy w tej dziedzinie. Nad ranem rozmyślałem o występujących u nas stosunkowo obficie solach, takich jak chloran potasu i azotan baru. Można by nasycić ciekłym tlenem dowolną porowatą substancję, choćby węgiel drzewny czy kredę. Nie będę już wypisywać tych szczegółów. Jest mi ciężko na sercu, bo nie chcę opracowywać formuły materiałów wybuchowych ani przykładać ręki do wojen, ale Uri ma rację, to konieczność. Czuję jednak, Mino, wielki smutek. I upokorzenie.

Nie myśl, że nie próbowałem zapobiec tej konieczności. Podjąłem pewne kroki. Chodzi mi o poruszające rozmowy, jakie odbyłem na początku lata ze swoim arabskim kolegą, doktorem Mahdim, lekarzem z Katamonu. Czy mam się wdawać w szczegóły? Przepaść między dwoma lekarzami o umiarkowanych poglądach, którzy nienawidzą rozlewu krwi. Moje nalegania. Jego nalegania. Argument historyczny. Dwie strony medalu. Argument moralny. Z jednej strony tak, z drugiej tak. Argument praktyczny. To samo. Jego pewność. Moje wahanie. Muszę spróbować jeszcze raz. Muszę się do niego zwrócić w tej ostatniej chwili, poprosić, żeby mi umożliwił spotkanie z członkami Wyższego Komitetu Arabskiego, a potem przemówić im do rozumu. Zostało mi jeszcze kilka argumentów.

I tylko serce mi mówi: wszystko na próżno. Musisz się spieszyć. Racja jest po stronie Uriego i tych, którzy w audycjach podziemia na falach krótkich nadają hymn Betaru: „Umrzeć – albo zdobyć górę”.

Nie przeczę, Mino, że bardzo się boję, jak zwykle.

Wstydzę się swojego strachu. „Nie zatrzymają nas trupy tych, co opadli z sił” – pisał Bialik. – „Niewolnikami umarli, niech wyśnią słodkie sny, sterty cebuli i czosnku, i mięsa ogromny gar”. Cytuję z pamięci. Tom poezji Bialika leży na regale kilka kroków stąd, ale nie mam siły po niego wstać. Zresztą nie przyznaję się do snów o cebulach i czosnkach. Dobrze wiesz, co mi się śni: rozwiązłe, wręcz wulgarne kobiety – tak. Beduińscy mordercy i pasterki – też. I twarz mojego ojca, gdy rozmawia z adwokatem, a czasem rzeka i las. Ale nie cebule i czosnki. Th nasz narodowy poeta się mylił, a może celowo przesadził, by obudzić ducha w narodzie. Wybacz, znów wkraczam w obszar, o którym mam blade pojęcie.

Ty też mi się śnisz. Jesteś w Nowym Jorku, w młodzieżowej sukience stoisz na brukowanym placu przypominającym Kikar ha-Moszawot w Tel Awiwie. Jest tam molo. Palisz za kierownicą przykurzonego dżipa, nadzorując arabskich tragarzy ładujących skrzynie z bronią dla obłożonej społeczności żydowskiej. Jesteś tam służbowo. Wykonujesz tajną misję. Rozpiera cię poczucie własnej skuteczności i słuszne oburzenie.

– Wstyd i hańba – ganisz mnie. – Jak mogłeś, i to w takich czasach. Obrzydliwość. Przyznaję się, milknę, kurczę w sobie, odchodzę na koniec mola, patrzę na swoje trupie odbicie w wodzie, słyszę dalekie strzały i nagle w myślach zgadzam się z Tobą: rzeczywiście. Jak mogłem. Muszę natychmiast jechać, tak jak stoję, bez płaszcza, bez walizki, w tej sekundzie.

Wstyd i hańba są nie do zniesienia. Budzę się w bólu, łykam trzy tabletki, leżę bezsennie w oszołomieniu i nagle słyszę na dworze, tuż za okiennicą, jakieś sześćdziesiąt centymetrów ode mnie, przesywający krzyk nocnego ptaka, który w poczuciu krzywdy powtarza wciąż od nowa swój gorzki protest: ahu. Ahuhu. Ahu. Ahuuu.

*Jerozolima, sobota wieczór,  
szósty września czterdziestego siódmego roku*



Droga Mino!

Niełatwo mi będzie się odzwyczaić od tego chłopca.

Spędził u mnie całe przedpołudnie, pilnie wypisując jakieś dane z leksykonu geograficznego i szkicując wojskowe plany zajęcia pasm górskich na północ od Jerozolimy. Potem zaznaczył na mapie skrzyżowania dróg i punkty strategiczne. Na osobnej kartce przypisywał oddziałom szturmowym kluczowe obiekty w mieście, takie jak Poczta Główna, siedziba brytyjskiej agencji prasowej i radia „Głos Jerozolimy”, Dzielnica Rosyjska, koszary Schnellera, wieża YMCA i stacja kolejowa. Przy tym ani razu nie zakłócił mi odpoczynku na kanapie. Jest bardzo szczupły, ma jasne włosy, kanciaste ruchy, w jego zielonych oczach płonie ambicja i wstyd, ale wychowany jest wspaniale. Dwukrotnie przerywał zabawę, żeby mi zaparzyć i podać kawę. Poprawiał wełniany koc. Wymienił przeпоconą poduszkę. Dochodziło południe, gdy przeprosił i spytał, co sądzę o jego dziele. Wbrew swoim zasadom pochwaliłem je.

Uri powiedział:

– Muszę zaraz iść do domu na obiad. Proszę, niech pan odpocznie, żeby miał pan w nocy siłę do doświadczeń. Zostawiam tu panu pudełko po papierosach Matosian. Schowałem w nim cztery prawdziwe naboje, można je rozłupać i wyjąć z nich proch. A w skarpetce mam zawleczkę od granatu, trochę zardzewiałą, ale całą. Znalazłem i przyniosłem. Z naszego dachu naliczyłem dziewięć czołgów brytyjskich pod wiatą w koszarach Schnellera. To cromwelle. Panie doktorze, czy naprawdę wystarczy nasypać cukru do silnika, żeby zepsuć czołg?

Iskra wzburzenia znów mignęła w jego oczach. Wciąż we mnie wierzy, ale jego cierpliwość zaczyna się kończyć:

– Ile czasu potrzebuje pan jeszcze na doświadczenia? Dwa tygodnie? Więcej? Bo przed Chanuką Ecel i Lechi zaczną wysadzać w powietrze dzielnicę nieprzyjaciela w mieście, a Anglicy już przerzucają siły do Hajfy.

Mówię z uśmiechem:

– Uri, jeszcze może dojść do podpisania umowy. W gazecie piszą, że Ameryka może się jednak zgodzić przejąć władzę w naszym kraju do czasu, aż emocje opadną i Arabowie trochę przywykną do myśli, że powstanie tu państwo hebrajskie. Wciąż istnieje taka ewentualność. Czemu tak się palisz do wojny? Nieraz ci tłumaczyłem, że wojna jest straszna nawet dla zwycięzców. Może jeszcze uda się jej uniknąć.

– Pan tego nie mówi serio. Pan myśli tak jak mój tata, że jestem jeszcze dzieckiem i trzeba mnie wychowywać. Przepraszam, ale piękne słowa nic nie dają. I tak wszędzie toczy się wojna.

– Jak, jeśli wolno spytać, doszedłeś do tych daleko idących wniosków?

Patrzy na mnie z niedowierzaniem. Wstaje. Wcisną rękę głęboko w kieszenie spodni. Podchodzi do kanapy, pochyła się nade mną, głos mu drży:

– Nie jestem kapusiem. Można ze mną rozmawiać serio. Przecież wojna jest wszędzie. W Torze, w historii, w przyrodzie i w życiu też. I w miłości. I nawet w przyjaźni.

– Tyle już wiesz o miłości, Uri?

Milczy.

A potem mówi:

– Panie doktorze, czy to prawda, że w Ameryce żyje profesor Żyd, który wynalazł wielką bombę atomową zrobioną z kropli wody?

– Chodzi ci chyba o bombę wodorową. Nie znam się na tym.

– Dobrze. Niech pan nie mówi. Nie muszę znać tajemnic wojskowych. Najważniejsze, że pan się na tym świetnie zna, a ze mnie nikt nigdy nie wycisnie ani słowa.

– Posłuchaj, Uri. Jesteś w błędzie. Pozwól, że ci coś wyjaśnię.

Milczenie.

Nie wiem, co mu wyjaśnić i w jaki sposób.

Nieprawda.

Prawda jest taka, że boję się go utracić. Nie chcę stracić chłopca w krótkich spodenkach, przepasanego wojskowym pasem ze lśniąca sprzączką. Jego dobrej ręki na moim czole, gdy sprawdza, czy się pocę, czy mam jeszcze trochę gorączki.

Dlatego także tym razem daję za wygraną. Zaczynam mu wyjaśniać, co to jest reakcja łańcuchowa i jaka, w najprostszych słowach, zachodzi zależność między materią a energią.

Dłuższą chwilę słucha w skupieniu, wpatrzony w moje usta, nozdrza mu się rozszerzają, jakby pochwycił z daleka zapach burzy ogniowej w Hiroszynie, o której mu opowiadam. Podziwia mnie teraz i kocha całym sercem.

Jego entuzjazm sprawia, że czuję się lepiej. Nagle mam siłę wstać, zaprosić Uriego do ciasnego laboratorium, ogarnia mnie pedagogiczny zapach. Zapalam palnik spirytusowy i przeprowadzam prostą demonstrację: woda, para, energia, podmuch.

– I to cała zasada – śmieję się radośnie.

– Panie doktorze, będę milczał jak kamień. Nawet jak mnie złapią Anglicy i będą torturować, nie wyciągną ze mnie ani słowa, bo wiem, w jaki sposób wytrzymać przesłuchanie. Nauczył mnie kiedyś Efraim Nechamkin. Nie powiem nic z tego, co mi pan wyjaśnił, może pan na mnie polegać.

I znów gniew przelotnie rozpala piękne zielone oczy. Moje dziecko.

Wreszcie się żegna i obiecuje przyjść jutro po południu. I choćby w środku nocy, jeżeli z okna zobaczy odchyloną firankę i światło w mojej łazience. W takiej sytuacji natychmiast wymknie się z domu i przyjdzie do mnie. Jak mówi, stawia się na wezwanie. Do widzenia.

Po jego wyjściu zacząłem nagle spierać się z Tobą w duchu: przepraszać za wszystko. Tłumaczyć się z naszego pierwszego spotkania. Przypominać sobie, jak dwa lata temu, latem czterdziestego piątego roku, pojechałem odpocząć do sanatorium w Arza. Jak mylnie uznałem wtedy, że poranne mdłości są wynikiem przemęczenia. Jak zamierzałem znaleźć całkowity spokój i jak wy, Ty i choroba, wtargnęłyście w moje kawalerskie życie. Odpowiedzialnością, że tak to ujmę, obarczam w myślach Ciebie.

Droga Mino, jeśli przeszkadza Ci, że o tym piszę, pomiń, proszę, kilka następnych wierszy.

Proszę, spróbuj na to spojrzeć tak: kawaler, lekarz, w niezłej sytuacji finansowej, od czasu do czasu dostaje pocztą czek od ojca, producenta słodyczy z Ramat Gan. Wydatków ma niewiele: skromny czynsz, żywność i prosta odzież, zgodnie z duchem czasu. Sporadycznie wydaje pewne kwoty na hobby naukowe. Posiada oszczędności.

Roza tym od kilku miesięcy czuje zmęczenie i lekkie mdłości po przebudzeniu i przed poranną kawą. Kolega lekarz diagnozuje pierwsze objawy wrzodu żołądka, zaleca urlop i odpoczynek. Wciąż w nim pokutują europejskie nawyki z czasów młodości: przyszło lato – czas wakacji. Pora spokojnie udać się na letnisko. Wrzód żołądka to po hebrajsku *kiw kewa*.

Zatem Arza na wzgórzach jerozolimskich. Doktor Nussbaum odprężony, w niebieskiej koszuli i jasnym sportowym garniturze bez krawata siedzi na leżaku wśród szumu sosen i czyta nieuważnie powieść Jakoba Wassermanna. Alejki ogrodu wysypane są drobnym czystym żwirkiem. Każdy krok wywołuje cichy chrzęst. Bardzo lubi ten odgłos, przypomina mu dawne czasy. W pobliskim budynku płyną z gramofonu pieśni na cześć pracy. W hamaku nieopodal drzemie jeden z przywódców ruchu robotniczego i całej społeczności żydowskiej. Lekki wiaterek przewraca kartki gazety „Dawar”, rozłożonej na jego brzuchu. Doktor Nussbaum nie przyzna się nawet przed samym sobą, że czeka na przebudzenie sławnego człowieka, żeby nawiązać z nim rozmowę i wyrzucić korzystne wrażenie.

Wśród kuracjuszy krąży Jaśmin, pielęgniarka z Kasy Chorych. Roznosi drugie śniadanie, herbatniki i szklaneczki ze świeżym sokiem pomarańczowym. Jaśmin jest silną dziewczyną o

pełnych kształtach. Cieniutkie czarne włoski porastające jej ręce i łydki budzą w doktorze Nussbaumie nagłe pożądanie. Pociągają go fizycznie proste kobiety o orientalnej urodzie. Za sok dziękuje, próbuje za to przekomarzać się z tą Jaśmin, chociaż słowa przychodzą mu z trudem, a głos, jak zawsze w podobnych sytuacjach, brzmi dosyć sztucznie. Jaśmin zabawia przy nim chwilę, nachyla się, by mu poprawić kołnierzyk wystający spod marynarki, i jego oczom ukazują się piersi dziewczyny. Doktor Nussbaum zdobywa się na odwagę, jak w Wiedniu za czasów studenckich, kiedy łyknąwszy duszkiem kieliszek koniaku pozwalał sobie na drobne sprośności. Wyjaśnia więc pokrętnie, dlaczego nie chciał wypić soku, dwuznacznie nawiązuje do dozwolonych i zakazanych rozkoszy. Nie zrozumiała, ale nie spieszy się z odejściem: ten miastowy pan o szpakowatych włosach ubrany w jasny garnitur jest chyba dla niej dość atrakcyjny. Pewnie wydaje się jej bardzo wykształcony i godny szacunku, choć nieśmiały. Mogła leż zauważyć jego narastające pożądanie. Jaśmin się śmieje. Pyta, co mu może dać zamiast soku. Dostanie, o co poprosi.

– Nie – mówi z grzecznym uśmiechem – tego, o co poprosi, nie będzie mu chyba mogła dać w ogrodzie i w obecności kuracjuszy.

Jaśmin odstania zęby. Nawet ramiona śmieją się razem z nią. Jej śniada twarz ciemnieje jeszcze bardziej, gdy oblewa się rumieńcem.

– To pan taki – mówi. – No, skoro tak, będzie pan musiał wypić szklankę soku.

On, wciągnięty na dobre w tę słodką, przyprawiającą o zawrót głowy grę proponuje, by spróbowała innych pokus. Znowu nie zrozumiała. Jest trochę zbita z tropu.

– Na przykład kawy – rzuca pospiesznie, żeby nie odeszła. Jaśmin nad czymś się zastanawia: może nie jest pewna, czy naprawdę poprosił o kawę, czy też gra toczy się nadal w najlepsze. W klarownym letnim powietrzu słychać brzęczenie much, krakanie wrony i odległy warkot angielskiego samolotu gdzieś na południu, nad wzgórzami wokół Betlejem.

– Załatwię panu kawę – mówi Jaśmin. – I żeby pan wiedział, że robię to specjalnie dla pana.

W tym momencie Ty wkraczasz do akcji. Właściwie byłeś tam już wcześniej: siedziałś nieopodal w skupieniu na bujanym fotelu w prostej ascetycznej sukience i ferowałeś wyroki.

– Czy mogę przeszkodzić w tych negocjacjach? – pytasz.

A ja w jednej chwili wracam z haremów Bagdadu do manier wiedeńskich:

– Ależ proszę, cóż za pytanie, droga pani. Przecież my sobie tylko żartujemy.

Proponujesz, bym mimo wszystko wybrał świeży sok, a nie kawę. Wiesz już z przykrego doświadczenia, że tutejsza kawa to nie kawa, tylko erzac, tłustawe czarne błoto. Swoją drogą, nie jesteśmy sobie całkiem obcy: słyszałaś kiedyś mój wykład podczas seminarium w szpitalu Hadasa na Górze Skopus. Mówiłem o higienie wody pitnej w Palestynie. Zrobiło na Tobie wrażenie moje poczucie humoru.

– Doktor Nussbaum, jeśli się nie mylę?

Szybko przyznaję:

– Istotnie, nie myli się pani.

A Ty dodajesz:

– Bardzo mi miło. Hermine Oswald. Mina. Uczennica uczniów doktora Adlera. Zdaje się, że łączą nas wiedeńskie korzenie, toteż pozwoliłam sobie przeszkodzić i uratować pana przed kawą z Kasy Chorych. Mam nieładny zwyczaj wtrącać się nieproszona. Tak. Siostró, proszę zostawić tu na stoliku dwa soki grejpfrutowe. Dziękuję. Może pani odejść. Tak. Dziękuję. O czym rozmawialiśmy? Pana wykład o wodzie pitnej był pełen pikanterii, ale w ogóle nie przystawał do formuły seminarium.

Przypuszczasz, że się co do tego zgodzę.

Doktor Nussbaum naturalnie natychmiast zgadza się ochoczo.

Tymczasem Jaśmin dostaje ostrą reprimendę: działacz związkowy krzyczy, że już pół godziny temu prosił ją – albo którąś z jej koleżanek, co za różnica – żeby mu zamówiła pilną rozmowę telefoniczną z biurem towarzysza Szprincaka. Zapomniała? Jak to możliwe?

Wskazujesz na niego podbródkiem, uśmiechasz się i wyjaśniasz po cichu:

– Początki egomanii plus despotyzm typowy dla mężczyzn niskiego wzrostu. Jako siedemdziesięciolatek będzie prawdziwym potworem.

Potem wymieniamy kilka ciętych uwag. Zganiona Jaśmin już mi zniknęła z oczu. Nazywasz ją dzieckiem natury. Zadaję sobie pytanie, czy mogłaś słyszeć niesmaczną wymianę zdań między nami. Mam wielką nadzieję, że nie słyszałaś.

– Ja reaguję dokładnie tak samo jak pan – mówisz – tylko w stosunku do mężczyzn. Orientalny taksówkarz, a nawet jemeński gazeciarz potrafi mnie wyprowadzić z równowagi. To znaczy, pod względem fizycznym. Chyba wydaje się nam, że dzieci natury wciąż pamiętają zmysłowy zwierzęcy język, który my dawno zapomnieliśmy.

Doktor Nussbaum, jak zapewne pamiętasz, nie czerwieni się na te słowa. Nie. Blednie. Odchrząkuje. Szybko wyjmuje z kieszeni starannie wyprasowaną chusteczkę, by nią obetrzeć wargi. Mamrocze coś o muchach, bo właśnie w tej chwili odkrył, że pełno ich wokół. Tym sposobem bez zbędnej zwłoki zmienia temat rozmowy. Opowiada anegdotę o profesorze Duszkinie, który, jak pamiętamy, przewodniczył seminarium w szpitalu Hadasa: otóż Duszkin wszystkich – lekarzy, Wysokiego Komisarza, kierownictwo Agencji Żydowskiej i Stalina – nazywa Swidrygajłowami.

– To mało oryginalne – stwierdzasz chłodno – ale pan, doktorze Nussbaum, może się oczywiście podeprzeć kim tylko pan zechce, Duszkinem, Stalinem czy Swidrygajłowem, by skierować naszą rozmowę na inne tory. Nie pan, tylko ja powinnam przeprosić, że wprowadziłam pana w zakłopotanie.

– Ależ skąd, doktor Oswald, bynajmniej – bąka doktor Nussbaum jak głupek.

– Jestem Mina – mówisz z naciskiem.

– Tak. Oczywiście. Immanuel – odpowiada doktor Nussbaum.

– Nie czuje się pan swobodnie w moim towarzystwie – dodajesz z uśmiechem.

– Skądże znowu.

– Skoro tak, może przejdziemy się trochę?

Wstajesz z fotela. Nigdy nie czekasz na odpowiedź. Podnoszę się i idę za Tobą. Prowadzisz mnie na przechadzkę po żwirowych alejkach i dalej w dół, do lasu, między mroczne cyprysy, gdzie pachnie żywicą i fermentacją, do ściętego dębu Herzla. Tam wśród wyschłych traw odkrywamy porzewiały kolczyk z napisem cyrylicą.

– Mój! – wołasz nagle zazdrośnie, z dziecięcą przekorą.

– Kolczyk będzie mój! Zobaczyłam go pierwsza!

Po Twoich wargach przemyka płaczliwy grymas, jakbyś rzeczywiście zamierzał odebrać Ci go siłą.

– Twój – śmieję się – chociaż mam wrażenie, że to ja wcześniej go zobaczyłem. Ale i tak jest twój. Przyjmij go w prezencie.

I nagle dodaję:

– Mino.

Spoglądasz na mnie. Milczysz. Chyba całą minutę patrzysz na mnie bez słowa. Potem rzucasz kolczyk w trawę i bierzesz mnie pod ramię.

– Spacerujemy – mówisz.

– Spacerujemy – zgadzam się radośnie.

Co nam się przydarzyło? Co we mnie widziałaś?

Nie, nie czekam na odpowiedź. Jesteś w Nowym Jorku. Na pewno zapracowana. Jak zwykle. Nie masz sobie równych gdy idzie o determinację, z jaką co pewien czas otwierasz nową kartę.

Niewiele się dowiem, próbując sobie wyobrazić, jak mnie widziałaś tamtego dnia w Arzie. Miałaś przed sobą człowieka zamkniętego w sobie, o ostrożnych ruchach i zamyślonej twarzy.

Sądząc z wyglądu, dość samotnego. Niewolnego od namiętności, jak mogłaś się zorientować z umizgów do młodziutkiej Jaśmin. I jak już wcześniej pisałem, niebrzydkiego. Bardzo wysokiego, szczupłego mężczyznę, blednącego pod wpływem wzruszenia czy zmieszania, o rysach ostrych, świadczących o wysokiej inteligencji. Co prawda nieco już wyblakłego, ale wciąż obdarzonego przyciągającą uwagę bujną czupryną, opadającą na czoło. Może widziałaś we mnie zbłąkanego artystę o wyglądzie niebanalnego muzyka, którego z akademii w jednym z krajów niemieckojęzycznych los zesłał na przedmurze Azji i który w niemym ściśnięciu warg kryje urazę, lecz godzi się z tym, że nie ma powrotu. Mężczyznę smutnego, ale prawdopodobnie w sprzyjających okolicznościach zdolnego do wielkich uniesień.

Krótko mówiąc, jak to określiłaś po pewnym czasie, sierota i dorosła ciocia.

Przy obiedzie siedzieliśmy już razem. Rozmawialiśmy o poezji Gottfrieda Benna. Jak para spiskowców staraliśmy się rozszyfrować kolejność obsługiwanego stolików. Nas obsługiwała Jaśmin. Nalewając wody sodowej, ochlapała mnie lekko przez nieuwagę. Nie miałem o to pretensji, byłem wręcz zadowolony, gdy znów nachyliła się nade mną i jej mocne piersi niemal dotknęły mojego ramienia. Dekolt białego fartucha ukazywał sieć cienkich niebieskich żyłek, jakie można czasem zobaczyć na marmurze z Galilei.

Moje podniecenie nie uszło Twojej uwagi. Jesteś ubawiona, zaczynasz mnie prowokować. Bez zmrużenia oka, jakbyś się chciała dowiedzieć, gdzie kupuję koszule, wypytujesz o moje życie kawalerskie. Widocznie to, że zanim poświęciłaś się pracy badawczej, prowadziłaś praktykę psychologiczną, upoważnia cię do stawiania pytań nieprzyjętych między ludźmi, którzy ledwo się poznali.

Ja oczywiście blednę, ale postanawiam dłużej nie robić uników. Odpowiadam, chociaż mam duży kłopot z doбором właściwych słów.

– Teraz nie sprowadziłaś rozmowy na Swidrygajłowa – stwierdzasz bezlitośnie.

Znowu idziemy na spacer, tym razem za ogrodzenie sanatorium, w kierunku zabudowań niewielkiej osady Mocą. Moja samotność, a może właśnie ostrożność w doborze słów budzi w Tobie sympatię. Podobam Ci się, stwierdzasz. Góry w popołudniowym świetle. Miętkość cyprysów. Płomyki geranium między domami, dachy z czerwonej dachówki, wianowłostka w ognistej chmurze kwiatów jak pozdrowienie z Teł Awiwu. Lekki suchy wietrzyk. Nasza rozmowa jest teraz bezosobowa, w stylu wiedeńskim, zwykła wymiana poglądów na temat przyjemności seksualnych i ich związku z życiem emocjonalnym. Zdumiewająco swobodnie mówisz o szczegółach anatomicznych i o fizjologii. Moja niepewność może Ci się podobać, a jednak Cię dziwi:

– Przecież oboje jesteśmy lekarzami, Immanuelu, dobrze znamy te mechanizmy, więc czemu jesteś skrupowany i modlisz się w duchu, żeby wreszcie zmieniła temat?

Tłumaczę się: skrupowanie wynika stąd, że w hebrajskim anatomia intymna – no dobrze, narządy płciowe – mają nowo wymyślone, jakby sterylne, zupełnie martwe nazwy i właśnie dlatego trudno mi się nimi posługiwać. Ten argument uznajesz za pilpul talmudyczny, dzielenie włosa na czworo. Nie wierzysz mi: ostatecznie kto mi broni przejść na niemiecki albo użyć terminów łacińskich? Nie, nie wierzysz mi ani trochę. Bez wahania rozpoznajesz u mnie zahamowania psychiczne. Skrywany purytanizm.

– Mino – bronię się – bardzo Cię przepraszam, ale nie jestem jeszcze twoim pacjentem.

– Nie, ale się poznajemy. Spacerujemy razem. Dlaczego nie próbujesz pytać o mnie?

– Nie mam żadnych pytań. Może tylko to: ktoś cię uraził, Mino, ludzie, mężczyzna, może wiele lat temu jakiś brutalny mężczyzna zranił cię bez litości.

– Czy to pytanie?

– Ja... wyrażam swoje odczucia.

Nagle oburącz chwytasz mnie mocno za głowę.

– Pochyl się.

Spełniam prośbę. Twoje usta. I małe odkrycie: dwie maleńkie dziurki w płatkach uszu. Czy to do pomyślenia, że nosiłaś kiedyś kolczyki? Nie zapytałem.

Potem mówisz mi, że przypominam Ci zegarek bez szkiełka: taki bezbronny. Bezradny. I wzruszający.

Dotykasz moich włosów. Kładę Ci dłoń na ramieniu. Idziemy w ciszy. Zapada zmrok. Nad nami drapieżny ptak w świetle zmierzchu. Sęp? Sokół? Nie wiem. Ogarnia mnie lęk: poza terenem sanatorium kręcą się arabscy pasterze. Niedaleko stąd jest owiana złą sławą wieś Kolonije. Trzeba wracać. Wokół nas smutek poczerniałych skał. Noc spływa na suchą kamienistą ziemię. Na północnym krańcu horyzontu, gdzieś nad Szu'afat czy Bet Ichsa, niebo rozdziera raca, blednie, rozpada się na świetliste iskry, ginie w ciemności.

Po kolacji w jadalni zjawia się wulgarny parodysta z kabaretu Ha-Matate. Sypie dowcipami, z mocnym rosyjskim akcentem naśmiewa się z dwulicowości angielskiego rządu i barbarzyństwa arabskich band. Na koniec stroi miny do publiczności. Działacz związkowy, czerwony na twarzy, wstaje ze swojego miejsca i głośno potępia frywolność, która nie przystoi w tych niespokojnych czasach. Zbesztany artysta siada w najdalszym kącie, bliski łez. Na widowni panuje idealna cisza. Z ust mówcy pada słowo „powściągliwość” i w tym momencie wybuchasz nagle dźwięcznym, młodym śmiechem, co wywołuje ogólne zaskoczenie. Po chwili kilka osób śmieje się z Tobą, a może z Ciebie. Wychodzimy. Na korytarzach i schodach panuje ciemność. Prawie natychmiast się obejmujemy. Szepczemy, tym razem po niemiecku. Mówisz, że Ci się podobam, masz w pokoju tomik wierszy Rilkego, przecież oboje jesteśmy wolni i dorośli.

W Twoim pokoju reguły ustalają się same. Sierota i dorosła ciocia. Mam odegrać rolę nieporadnego ucznia. Nieśmiałego, lecz posłusznego. I wdzięcznego. Bardzo przykładającego się do nauki. Ty szeptem wydajesz rozkazy, ja spełniam je milcząco. Każdy szczegół masz przemyślany, jakbyś przy moim udziale wprowadzała w życie osobliwy plan zaczerpnięty z podręcznika erotyki: tutaj. Teraz tu. Powoli. Mocno. Jeszcze. Poczekaj. Poczekaj. Teraz. Tak.

Droga Mino, oboje sądziliśmy, że ta noc będzie pierwszą i ostatnią. Mówiłaś, że jesteśmy wolni i dorośli, tymczasem kto tu wolny, kto dorosły, oboje jesteśmy we władaniu siły, która niesie nas, bezbronych, jak rzeka suche patyki. Może przez to, że Ci uległem. Może z góry powzięłaś plan zniewolenia mnie tamtej nocy, i tak stałem się niewolnikiem na wieki. Nadal nim jestem. Ale i Ty, Mino, przez moją uległość na wieki stałaś się panią. Byłaś nią następnego dnia w południe. I następnej nocy. I jeszcze wiele razy. A po urlopie zaczęłaś mi przysyłać do Jerozolimy lakoniczne pocztówki z rozkazami: przyjedź pojutrze do Hajfy. Czekaj na mnie w sobotę w nocy. Przyjedź do pensjonatu Kate Graubert w Talpijot. Odwiedzę Cię w święta. Powiedz Fritzowi, że post dobiega końca. Uściskaj ode mnie Gutziego i Gipsa.

Aż nauczyłaś mnie nazywać Cię Jaśmin, uwalniać tkwiącą we mnie zdyszana bestię, wznosić haremy Bagdadu w niskich pokoikach przypadkowych pensjonatów. Zadawać i przyjmować ból. Krzyczeć. Po wszystkich płaszczyć się u Twoich stóp, gdy tymczasem Ty zapalałaś papierosa, jednym gestem gasiłaś zapałkę i analizowałaś dokładnie naszą miłość jak dowódca powracający na pole bitwy, by przemyśleć błędy i wyciągać wnioski na przyszłość.

Nie, Mino, nie czuję goryczy ani żalu. Przeciwnie. To nieznośna tęsknota. Tęsknię za Twoimi rzadkimi pochwałami. Za przyganami. I drwiną. Moja Jaśmin, jestem chory, niewiele

mi czasu zostało. Można powiedzieć: wpadłem w Twoje sidła. Można też powiedzieć: kochałem Cię z upokorzenia.

Nowy akapit.

Wracam do zapisu naszego tu i teraz.

Jerozolima, wieczór, koniec lata, pierwsze oznaki jesieni, mężczyzna zaledwie trzydziestodwuletni, a już na rencie z powodu ciężkiej choroby, siedzi na balkonie i pisze listy do przyjaciółki czy byłej przyjaciółki. Zdaje jej relację z tego, co widzi i co myśli. Jak powiedziałem, nie wiem, jaki jest cel tych notatek ani co można by uznać za ich temat.

Zmierzch trwa dziś od godziny i piętnastu minut, a wciąż nie jest całkiem ciemno. Odpoczywam. Na pozór jest to spokojna pora. W każdy sobotni wieczór w Jerozolimie ma miejsce swoisty cud: wszystkie dźwięki, nawet hałasy wywołane przez dzieci z podwórka, przez samochody, psy, nawet piosenka w radiu – może Brachy Zefiry? – wtapiają się w ciszę. Nawet krzyki na biegnącej w dół ulicy. Nawet samotna seria z karabinu maszynowego od strony Sanhedrii. Wszystko okrywa się ciszą. Innymi słowy, w sobotni wieczór przed zakończeniem szabatu w Jerozolimie panuje cisza idealna.

Daleko i blisko rozdzwiają się dzwony kościołów i klasztorów, i też wchłania je cisza. Jutro będzie niedziela. Niebo jest ciemnoszare, wąski pas jaskrawej żółci wyziera spomiędzy jesiennych chmur. Chmury szybko znikają za horyzontem, podobnie jak stadko ptaków. Może skowronków. Różni ludzie przechodzą pod moim balkonem ulicą Malachiasza. Sąsiadka z koszykiem. Student ze stertą książek. Szybko idą obok siebie chłopak i dziewczyna, dzieli ich cały metr, nie rozmawiają, a jednak widać ponad wszelką wątpliwość, że są razem, a w ich sercach panuje spokój.

Naprzeciw mnie, na rogu ulicy Zachariasza, siedzi na chodniku leciwa arabska wieśniaczka. Nogi skrzyżowała po turecku i prawie się nie rusza. Przed nią leży duża miedziana taca, z której sprzedaje figi. Na brzegu tacy piętrzy się niewielki stosik monet, pewnie milli i półgroszówek, jej dzienny utarg. Przyszła tu z Szejch Badr, a może nawet z Lifty czy Malchy. Jest taka spokojna, chociaż wieczorem będzie miała długą drogę do przebycia. Tymczasem czeka. Przeżuwa coś. Liście mięty? Nie wiem. Niebawem wstanie – omal nie napisałem: wzniesie się – umieści tacę na głowie i ruszy w swoją stronę pośród ciemności, ostów i skał. Polne ścieżki oplatają dzielnice i wsie otaczające Jerozolimę jak cienka siateczka nerwów. Ta powolna, silna staruszka żyje w zgodzie ze swoim ciałem i z górzystym pustkowiem wokół. Serce się rwie do jej spokoju. Pójdzie sobie, a cała dzielnica rozbłyśnie żółtymi latarniami. Potem ustanie pieśń dzwonów i tylko wieczorny smutek nie ustąpi. Opadną żeliwne żaluzje. Wszystkie drzwi się zamkną. Jerozolima będzie trwać w ciemności, a ja będę w niej sam. A jeśli tej nocy mi się pogorszy? Czy rzeczywiście chłopiec będzie czuwał? Czy jeśli uchylę firankę i zapalę światło w łazience, naprawdę wymknie się z domu i stawi na moje wezwanie?

Na samą myśl o tym, że taki pomysł mógł zrodzić się w mojej głowie, ogarnia mnie lęk. Nie. Tej nocy też będę sam. Spokojnych snów.

*Niedziela,  
siódmy września czterdziestego siódmego roku*

Droga Mino!

Nie wiem, jakich słów użyć, by Ci opisać niebieski jesienny poranek, który mieliśmy dziś w Jerozolimie, nim zerwał się zachodni wiatr i przyniósł zimną pochmurną noc. Całe miasto skąpane było w intensywnym błękitcie. Nie był to tylko kolor czy odcień, lecz błękit esencjonalny jak mocny trunek. Domy i rośliny odpowiedziały ogólnym poruszeniem, zawzięcie zwielokrotniały barwy, jakby świadomie wprowadzały w życie patriotyczne hasło królujące aktualnie w audycjach podziemia i w prasie hebrajskiej: „Na każdą prowokację odpowiemy ze zdwojoną siłą, bo jesteśmy zdecydowani do końca bronić swoich racji”.

A więc na przykład płomienne geranium w ogródkach, na podwórzach, w puszkach po oliwkach na balkonach, w drewnianych skrzynkach na parapetach. Albo kamień jerozolimski: tego ranka naprawdę „krzyczy ze ścian” intensywną, nieugiętą szarością. Jest to szarość doskonała, kolor Twoich oczu. Albo passiflora oplatająca oliwkę przy sklepie spożywczym, cała w lśniące niebieskie cętki. Wszystko jak namalowane w wielkim podnieceniu przez początkującego malarza, który nie zna i nie chce znać umiaru. Omal nie ulegam pokusie, by użyć biblijnych słów „opal, agat i ametyst”, chociaż nie wiem, co dokładnie znaczą.

Czy należy przypisać te cuda przejrzystości pustynnego powietrza? Technieniu jesieni? A może mojej chorobie? Albo jakiejś zmianie, która tak bardzo chce nadejść? Nie znam odpowiedzi. Muszę spróbować opisać moje samopoczucie, więc powiem tak: czuję dziś bolesną tęsknotę za tym, co widzę, jakby to były obrazy wywoływane z pamięci. Jakby już przeminęły, być może bezpowrotnie. Tęsknotę tak silną, że rodzi wewnętrzną potrzebę natychmiastowego działania, jakiegoś małego szaleństwa. Może naprawdę włożyć lekką marynarkę i wyjść zaraz na spacer. Do lasu Teł Arza. Pomiedzy szydełkujące matki i ich dzieci baraszkujące na rozłożonych na ziemi matach. Przypomnieć sobie niedzielne wypadki do lasu z czasów dzieciństwa i poczuć nagle zapach innych jesieni, nietutejszych, zapach jezior, grzybów, kropli rosy w gałęziach jodeł, skórzanych spodni tyrolskich, dymu ognisk palonych przez letników, aromat mielonej kawy. Jak dziwnie musiałem wyglądać dziś rano w oczach żon sąsiadów: po lasu Tel Arza przechadza się doktor Nussbaum, wysoki i elegancki, z rękoma splecionymi z tyłu, depcze po sosnowych igłach, uśmiecha się do siebie z zadowoleniem, jakby właśnie ktoś mu podszeptał sprytnie rozwiązanie trudnego problemu.

– Dzień dobry, panie doktorze, jak się pan dzisiaj miewa i co się mówi w Agencji Żydowskiej?

– Dzień dobry, cudowny dzień, pani Litwak, czuję się stosunkowo nieźle. Państwa śliczny maluszek rośnie z każdym dniem. Przepraszam, to dziewczynka. Tak czy inaczej śliczna.

– Widzi pan, mamy to szczęście, że dane nam było ujrzeć światłość Jerozolimy oczyma ciała, a nie tylko oczyma duszy, a to, co oglądamy, jest wszak niczym wobec światłości jutra. Szczęśliwy, który czeka, przybędzie i ujrzy.

– Zaiste, zaiste, panie Nechamkin. Cudowny mamy dzień. Bardzo się cieszę, że widzę pana w dobrym zdrowiu.

– Zatem i pan na przechadzce. Czy mógłbym się przyłączyć? Razem pójdziemy i razem ujrzą nasze oczy, bo jak jest napisane, ważność sprawy wymaga dwóch świadków.

Tyle że obaj świadkowie nie są zbyt zdrowi. Zmęczeni się szybko. Mój sąsiad, poeta Nechamkin, przeprosił i udał się do domu, zapewniwszy uprzednio, że wkrótce wielka zmiana czeka Jerozolimę.

Ja jak zwykle zaszedłem na jarski obiad do baru mlecznego braci Kapitańskich. Zjadłem zupę pomidorową, podwójną jajecznicę, bakłażany z cebulką, popiłem to wszystko maślanką i szklanką herbaty.

Potem wróciłem do domu i bez żadnego zastrzyku czy tabletek zapadłem w mocny popołudniowy sen. Jakbym się napił wina.

O wpół do piątej znów zebrał się u mnie nasz komitet. Pisałem Ci już o tym, w Kerem Awraham powstaje dzielnicowy sztab obrony cywilnej.

Przyszło czterech czy pięciu przedstawicieli sąsiadów, a z nimi pani Litwak, która przed wyjściem za mąż była dyplomowaną pielęgniarką. Pani Litwak przyniosła z sobą ciasteczka domowego wypieku i nie dała mi w żaden sposób pomóc sobie w podaniu kawy: wystarczy, że jej powiem, gdzie jest cukier i taca – nie, już nie trzeba! Sama znalazła. Cytrynę też. Co za wzorowy porządek w kuchni! Przyprowadzi tu któregoś dnia swojego męża, niech zobaczy to na własne oczy i czegoś się nauczy! Dyrektor szkoły, a nie umie porządnie umyć szklanki. Taki jej los, ale nie wolno narzekać.



Rozpoczęliśmy zebranie. Częstowaliśmy się kawą i kruchymi ciasteczkami, a ja czułem się we własnym domu jak mile widziany gość.

– Dobrze – powiedziała pani Litwak – przejdźmy do porządku obrad. Doktorze Nussbaum, proszę zacząć.

– Proponuję kontynuować od punktu, w którym przerwaliśmy w ubiegłym tygodniu. Nie ma potrzeby zaczynać za każdym razem od początku.

– Rozmawialiśmy o siedzibie sztabu – powiedział towarzysz Lustig – mieszkaniu, w którym komitet mógłby się zorganizować i w sytuacji zagrożenia pełnić dyżury dzienne i nocne. W najgorszym razie mógłby to być jakiś pokój albo piwnica.

Mówił na stojąco, a kiedy skończył, usiadł. Pod brązowymi oczami tego małego człowieczka zwisały opuchnięte worki, zawsze wyglądał, jakby chwilę wcześniej ktoś zwyzywał go na ulicy od ostatnich, a on, niczemu niewinny, dziwił się temu w milczeniu. Zewulun Grill, płomiennorudy mężczyzna, któremu brak dwóch przednich zębów nadaje wygląd groźnego awanturnika, dodał:

– Rozmawialiśmy też o radiostacji. Rozmawialiśmy, ale nic nie zrobiliśmy, jak zwykle.

Efraim Nechamkin, kędzierzawy technik radiowy, pokiwał kilkakrotnie głową, jakby Grill powiedział dokładnie to, czego można się było po nim spodziewać, a jeśliby ktokolwiek miał jakieś złudzenia co do jego osoby, powinien się ich zawczasu wyzbycić.

– Efraim – powiedziałem – mimo wszystko lepiej będzie, jeśli w naszej dyskusji będziemy się posługiwać słowami, a nie pantomimą. Zechciej nam wyjaśnić, co cię zdenerwowało.

– Już jest – wycedził Efraim. – A u nas zawsze to samo: gadamy o przeszłości, zamiast o przyszłości.

– Co jest?

– Radiostacja. Przecież w zeszłym tygodniu obiecałem, że wam zmontuję nadajnik. A w ogóle – wypalił gwałtownie – po co ta radiostacja? Żeby błagać Anglików, by raczyli tu zostać i ratować nas przed Arabami? Żeby budzić sumienie świata wersetami z Biblii? Żeby ładnie wyjaśnić Arabom, że mają nas nie wyrzynać, bo inaczej nie będzie komu leczyć ich z jaglicy i parchów? Po co ten cały komitet z dwoma doktorami i kierowcą autobusu? Co macie zamiar zrobić?

– Nie unos się tak – powiedział z uśmiechem Nachcie.

– Spokojnie. Wszystko będzie dobrze.

Nachcie to drobny silny chłopak o bujnej czuprynie i wystających spod krótkich spodenek mocnych owłosionych nogach. Działa dorywczo w ruchu młodzieżowym Ha-Machanot ha-Olim, jest tam instruktorem. Musiałaś słyszeć o jego ojcu: to profesor Gutmacher, badacz wschodniego mistycyzmu, w połowie sparaliżowany uczony światowej sławy. Czasem wieczorami Nachcie i jego podopieczni palą ogniska w lesku, odbywają nocne ćwiczenia z grubymi kijami w rękach albo śpiewają na całą dzielnicę tęskne gniewne pieśni na rosyjską nutę.

– A ty się nie wygłupiaj, tylko mów wreszcie, co proponujesz – zwrócił się ostro Grill do Efraima.

– Atak – wypalił Efraim niskim, ochrypłym z emocji głosem. – Proponuję zorganizować atak. Ruszyć w teren. Do Szu'afat. Do Szejch Dżarach. Do Isawii. Podpalić nocą dom jakiegoś muftiemu. Albo wysadzić sztab Al-Nadżady. Zawiesić niebiesko-białą flagę na szczycie wieży Nabi Samu'il, albo nawet na Wzgórzu Świątynnym. Czemu nie. Niech drżą przed nami, niech tym razem oni złączą wysłać do nas delegacje. Niech błagają. A co.

W tym momencie wtrącił się doktor Kipnis, weterynarz z Teł Arza. Stał plecami do okna, ubrany w szarą bluzę wojskową i starannie wyprasowane spodnie khaki. Mówiąc, miał w dłoniach brązowy kaszkiet i nie patrzył na Efraima, tylko na panią Litwak, jakby jej widok – a może czarny warkocz – przypominał mu o czymś niezmiernie ważnym:

– Wydaje mi się, panowie – zaczął ostrożnie – że wchodzimy na niewłaściwą drogę. Mogę powiedzieć o sobie, że znam co nieco okoliczne wioski.

– Jasne – wyszeptał Efraim jadowicie. – Tylko że oni też pana znają, i innych Żydów takich jak pan, i to im zaostrza apetyt.

– Przepraszam – ciągnął doktor Kipnis – nie zamierzałem dyskutować o twoich zasadach. W każdym razie nie w tej chwili. Chciałem tylko podjąć próbę oceny sytuacji, zastanowić się nad możliwym rozwojem wypadków i zgłosić kilka własnych propozycji.

– Zorganizować się! – wrzasnął nagle towarzysz Lustig, waląc pięścią w stół. – Dość gadania! Trzeba się zorganizować!

A ja, przewodniczący, ledwo opanowałem chęć odpowiedzenia Nachciemu uśmiechem na jego przelotny, przeznaczony chyba tylko dla mnie uśmiech.

– Doktorze Kipnis – powiedziałem – proszę mówić dalej. I nie przeszkadzajmy sobie więcej.

– Tak. Mamy więc trzy możliwości – doktor Kipnis wystawił trzy szczupłe palce i zginał je kolejno, wyliczając. – Pierwsza: komisja przekazuje cały kraj w ręce Arabów, a my musimy wybierać między nową Masadą a nowym Jawne. Druga: komisja zaleca podział kraju, Arabowie przyjmują to rozwiązanie lub zostaje im ono narzucone przy pomocy obcych wojsk. Oczywiście nie brytyjskich. W tym przypadku powinniśmy przygotować się na ewentualne zamieszki i jednocześnie zabiegać o poprawę stosunków z sąsiednimi dzielnicami arabskimi. Jak to się mówi, złagodzić gorycz porażki.

– Trzeba ich stąd wyrzucić – odezwał się Efraim ze znużeniem. – Wyrzucić, przegnać, a co, niech sobie idą na pustynię, gdzie ich miejsce. Tu jest Jerozolima, tu jest Kraj Izraela, panie Kipnis, chyba zapomniał pan o tym, skoro się pan tak wstawia za Arabami.

– Trzecia możliwość – ciągnął weterynarz, najwyraźniej zdecydowany nie dać się sprowokować – to wojna. W takiej sytuacji nasz komitet dzielnicowy nie będzie oczywiście działał samowolnie. Zaczekamy na instrukcje instytucji ogólnonarodowych.

– To samo mówiłem – triumfował Lustig. – Zorganizować się, zorganizować i jeszcze raz zorganizować!

– Doktorze Kipnis – spytałem – co pan właściwie proponuje?

– Tak. A więc po pierwsze, nasi przedstawiciele, to jest przedstawiciele północno-zachodnich dzielnic Jerozolimy skontaktują się z kierownictwem Agencji Żydowskiej, wyjaśnią trudności wynikające z naszego położenia geograficznego i poproszą o instrukcje. Proponuję, żeby poszli tam doktor Nussbaum, pani Litwak i naturalnie towarzysz Nachcie. Po drugie, trzeba odbyć spotkanie z sąsiadami, to znaczy z szejkami i muchtarami. Tego zadania sam się chętnie podejmę. Powiemy im, że my, mieszkańcy dzielnic żydowskich na północy miasta, nie będziemy inicjować żadnych wrogich kroków, tylko nadal utrzymywać z nimi dobrosąsiedzkie stosunki. Jeśli jednak oni wybiorą rozlew krwi, cała odpowiedzialność spadnie na nich, poniosą konsekwencje i nie będą mogli twierdzić, że ich nie uprzedzono. Proponuję, żeby teraz towarzysz Nachcie omówił obronę naszych dzielnic. Żeby nam chociaż wyjaśnił najważniejsze założenia planu na wypadek, gdybyśmy faktycznie musieli przez jakiś czas sami radzić sobie z lokalnym konfliktem. Na tym skończyłem.

– Proponuję zacząć budować barykady – powiedział Lustig i parsknął śmiechem. – Wyobraźcie sobie nasze Kerem Awraham w roli syjonistycznego Stalingradu.

– Myślmy praktycznie – poprosiłem. – Musimy jeszcze dziś omówić podział zadań i kilka innych spraw.

– Nie ma obawy – stwierdził Efraim ponuro. – Tu nikt nie będzie praktyczny. Może pan o tym zapomnieć. Nie w tym Judenracie.

– Wypraszam sobie – powiedziałem surowo.

Tymczasem Nachcie wrócił z kuchni. Widać było, że rządził się tam jak u siebie: mocnymi zębami gryzł grubą kanapkę, którą sobie przygotował. Po krwistoczerwonych

plamach na jego brodzie poznałem, że oprócz sera i cebuli wepchnął między kromki chleba plasterki pomidora.

– Przepraszam – uśmiechnął się do mnie – byłem wściekle głodny i wymiotłem panu lodówkę. Nie spytałem o pozwolenie, bo nie chciałem wam przerywać sympozjum.

Mówiąc to, Nachcie kruszył bezwstydnie na fotel i dywan. Drobinę sera i chleba przyłgnęły mu do wąsów.

– Smacznego – powiedziałem.

– *Salamtak*<sup>14</sup> – odrzekł Nachcie. – Dobrze. Skończyliśmy już z ideologią? W porządku.

Więc tak.

Zapadła cisza. Nawet towarzysz Lustig tym razem zamilkł.

– Anglicy wkrótce się wycofają. To pewne. Czekają nas problemy. Ale nie będę teraz mówić o problemach, lecz o rozwiązaniach. Więc tak. Mamy w dzielnicy broń. Chwilowo tylko lekką. I dzięki Bogu jest paru chłopców, którzy wiedzą, jak się z nią obchodzić. Nie będziemy się wdawać w szczegóły. Sonia. Znaczą pani Litwak. Zbierzesz u siebie w domu wszystkie panie i jutro – wróć: dzisiaj, zaczniecie szyć worki. Nieważne z czego. To zamiast dziergania kominiarek dla Hagany. Kominiarki wydziergacie nam kiedy indziej. Potrzeba nam z tysiąc, tysiąc dwieście worków. Dzieci ładnie napełnią te worki piaskiem i żwirem. Użyjemy ich na naszych pozycjach i do ochrony okien. Przed kulami i pociskami. Dalej. Poczynając od jutra rana będziemy prowadzić stałą obserwację koszar Schnellera. Z balkonu Kołodnego. To też robota dla dzieci. Drugi punkt obserwacyjny będzie u Kapitańskich. Z ich dachu widać Szejjch Dżarach i szkołę policyjną. Niech Litwak mi zwolni ze szkoły z dwudziestką, trzydziestką dzieciaków, żebyśmy dokładnie wiedzieli, co robi chrześcijanin, a co muzułmanin. Dalej. Jeśli Anglicy się wyniosą, albo jeśli zobaczymy, że zamierzają przekazać klucze Beduinom króla Abdullaha, do akcji wkroczą moi chłopcy i zajmą koszary Schnellera. Nie ma to co prawda związku z waszym komitetem, ale chciałem wam to powiedzieć, żebyście mogli spać spokojnie. Dalej. Łączność. Efraim. Dziś w nocy przyjdziemy sprawdzić, co tam skonstruowałeś, i jeśli rzeczywiście jest tak, jak mówisz – podłączymy cię do częstotliwości sztabu Hagany. Ty i Lustig będziecie dyżurować na nasłuchu, całą dobę, macie siedzieć cicho ze słuchawkami na uszach, nie prowadzić żadnych dyskusji i wstawać tylko po to, żeby się wysikać albo zawiadomić mnie, gdybyście usłyszeli coś ważnego. Teraz ty, Grill. Słuchaj uważnie. Dwie rzeczy. Po pierwsze, zaczynasz zbierać w swojej szopie narzędzia ogrodnicze z całej dzielnicy. Chcą dać czy nie chcą, ty rekwirujesz co się da, oprócz konewek. Motyki, łopaty, kilofy, wszystko jak leci. Na moje polecenie – wróć, na polecenie właściwej osoby – ty i paru sąsiadów łapiecie narzędzia i zaczynacie szybko rozkopywać drogę na końcu ulicy Sofoniasza, na Amosa róg Geula i szosę do Tel Arza. Kopiecie zygzakami. Tak. Rowy. Żeby nam nie sprowadzili wojsk pancernych. I jeszcze jedno, Grill. Sztab będzie w twojej sypialni. Dlatego, że wasze mieszkanie ma trzy wyjścia. Daję ci dwa dni na wyprowadzenie stamtąd żony, potem wchodzimy. Teraz Kipnis. Pan, Kipnis, nie będzie mi teraz łąził do szejków i muchtarów, żebyśmy potem nie musieli narażać chłopaków, posyłając ich po pana zszargane zwłoki. Sytuacja jest taka, doktorze: po wojnie – bardzo proszę, czemu nie, będzie pan mógł tam iść z całą pompą, zrobić z nimi *sulche*<sup>15</sup>, może nawet sam z panem pójdę na jagnię pieczone na węglach. Ale póki co, skoro pan się tak pali do tego pomysłu, niech pan napisze do szejków list, wyśle go poleconym ekspresem i zaproponuje im dobre sąsiedztwo. Czemu nie. Jeśli to podziąła, osobiście połamię swój miecz na kawałki. Ale nim to nastąpi, będzie pan nadzorował warzywniak, sklep spożywczy i dostawcę nafty. Zadba pan, żeby nam nawieźli do dzielnicy wszystkiego ile wlezie. Tylko bez czarnego rynku i bez paniki. Tak. Trzeba zrobić zapasy. Dobrze słyszałaś, Sonia. Powiedziałem: zapasy. Chcę, żeby wszystkie kobiety naznosiły do domu ile

<sup>14</sup> Arabski: na zdrowie, smacznego.

<sup>15</sup> Arabski: *sulcha* – uroczystość pojednania po zakończeniu sporu.

się da konserw, macy, sucharów, nafty, cukru. Teraz pogadamy o wodzie. Wszyscy, ale to wszyscy członkowie komitetu mają się przejść po domach i pomóc znieść zbiorniki na wodę z dachów do piwnic. I żeby były pełne. I niech Elmaliach zacznij nam w swojej ślusarni robić tanki. Tanki na wodę, Efraim, nie czołgi, nie spadaj mi z krzesła. Trzeba od czegoś zacząć. Teraz gospodarz. Nussbaum, pan pójdzie jutro rano do apteki starej Wiśniakowej i sprawdzi dokładnie, co jest, a czego nie ma. Czego nie ma, zamówi pan na rachunek waszego komitetu. I ma być tego dużo. U pana będzie punkt opatrunkowy, z morfiną, bandażami i całą resztą. Poza tym, Grill, ty zaczniesz nam tu powoli ściągać benzynę. Z Ha-Mekaszera albo z powietrza. Nie obchodzi mnie skąd. Potrzeba nam ze dwieście litrów. Dzieciaki nabierają mi kilkaset butelek, a my, to znaczy ja i Efraim, zrobimy z nich koktajle Mołotowa. Nussbaum, mówił pan, że ma pan w tej sprawie jakieś propozycje? Dobrze. Pięknie. Ale nie teraz, nie wszyscy chcą o tym słuchać. Jeszcze coś?

– Tak – powiedział Lustig. – Potrzebny będzie cyjanek czy coś w tym rodzaju. Jeśli mimo wszystko wkroczą tu Arabowie, powyrzynają dzieci i naruszają cześć towarzyszek. Musimy być przygotowani na najgorsze.

– To było dobre w Warszawie – odparł Nachcie – nie u nas. A jeśli jeszcze raz powie pan coś takiego poza naszym gronem, panie Lustig, będzie pan miał poważne nieprzyjemności.

– Oczywiście – wymamrotał towarzysz Lustig – jak najbardziej. Zrozumiałem.

– Jeszcze jakieś pytania?

– Przepraszam – powiedziałem – a co w sytuacji, jeśli Anglicy się nie wycofają? Albo jeśli przekażą całą Jerozolimę *en bloc* w ręce króla Abdullaha?

– Jak się nie wycofają, to się nie wycofają. Niech pan pyta Ben Guriona, nie mnie. To by było na tyle. Sonia, daj jeszcze tym dobrym ludziom po kawie. Wszyscy mi nagle pobledli. Doktorze Nussbaum, bardzo dziękuję panu za gościnę, ale muszę już lecieć. Od pojutra po południu w razie potrzeby znajdziecie mnie, Akiwę albo Igała w sypialni Grillów. Na marginesie, jeśli przypadkiem pojawią się tu Anglicy, żeby robić jakieś przesłuchania czy rewizje, pamiętajcie, że dzielnica ma swój komitet. Mnie nikt nie zna. Ja nie istnieję. Niech rozmawiają z nimi doktorzy, Nussbaum albo Kipnis. To tyle. Tylko się nie denerwujcie, panowie. Jak głosi pieśń „Ha-Tikwa”, wciąż nie tracimy nadziei. Chwilę, Efraim. Chcę cię przeprosić. Jeśli przypadkiem cię uraziłem, nie zrobiłem tego celowo. A teraz żegnam.

Strzepnął okruchy z wąsów, starł z brody sok z pomidorów, błysnął pięknymi zębami w szerokim uśmiechu i wyszedł.

Hans Kipnis odezwał się łagodnie:

– O czym tu mówić.

Efraim rzucił:

– Niech pan nie zaczyna znowu. Słyszał pan – może pan pisać listy do wszystkich szejków w okolicy.

Sonia Litwak powiedziała:

– Oby tak zdrów był. Co za młodzież.

Towarzysz Lustig:

– Jak Kozacy. Gadają i gadają, zamiast się zorganizować. Jeszcze nas wymordują, nie daj Boże.

A doktor Nussbaum, droga Mino, Twój doktor Nussbaum stwierdził tonem pobłażliwie ironicznym:

– Za pozwoleniem, zdaje mi się, że należy uznać posiedzenie za zamknięte.

Towarzyszyłem myślami temu zgryźliwemu, chudemu chłopakowi, gdy wyszedł z mojego domu i wtopił się w wieczorne cienie. Nachcie, Menachem albo Nachum Gutmacher, krótkie spodenki, zmierzwiłone włosy, oczy barwy późnoletniego kurzu, wielka samotność. Pewnie poszedł do swoich chłopców, do lasku albo wadi. Może jest śmiertelnie zmęczony. Może od

wielu dni nie jadł porządnego posiłku. Zastanawiałem się, czy był już z kobietą, a jeśli tak – czy był w tym równie łąpczywy jak podczas jedzenia kanapki, czy też drżał z lęku.

Co mogłem zrobić, Mino? Co Ty byś zrobiła na moim miejscu? Zawierzyłybyś mu bez słowa? Zrugabyś go za butę i wyszydziła brutalnie? Zaczęłybyś badać i analizować jego sny? A może zakochałabyś się i zdobyła go dla siebie?

Czuję się zagubiony. Może powinienem był mu przerwać, ukrócić jego pychę, przywołać do porządku? Ale czy byłem w stanie? Przecież w głębi ducha, jak się już zapewne domyśliłaś, usynowiłem go, uznałem za dziecko, które mi potajemnie urodziłaś i ukryłaś przede mną w galilejskim kibucu albo w dolinach. Za naszego syna, który spędził dzieciństwo wśród koni i maszyn rolniczych i przybył do Jerozolimy, żeby nas ocalić. Powinienem teraz zamilknąć i natychmiast skończyć ten list.

Dodam tylko, że gdy po wyjściu gości zbierałem i zmywałem naczynia po kawie i sprzątałem okrucy z dywanu, niebo zmieniło się nagle. Z północnego zachodu nadszedł gniewny wilgotny i zimny powiew. Zniknął nieokiełznany błękit. Jerozolima poszarzała. Zmalała. Spadły pierwsze krople deszczu i nastąpiła noc zimowa. Też zacznę zbierać puste butelki. W każdym razie to ode mnie będzie musiał się Nachcie nauczyć, jak zrobić koktajl Mołotowa, od którego zapalą się samochody opancerzone. Teraz przerwę. Połknę tabletkę. Nie położę się, tylko spędzę deszczową noc w moim laboratorium. Czasu jest mało. Henry Gurney, sekretarz rządu mandatowego, wzywa przez radio wszystkie społeczności Palestyny do zachowania spokoju i przestrzegania prawa i porządku, póki sytuacja się nie wyjaśni. A spiker „Głosu Jerozolimy” tłumaczy na urzędowy hebrajski: obowiązuje zakaz zgromadzeń na ulicach, nie wolno zakłócać życia mieszkańców.

*Ósmy września czterdziestego siódmego roku*

Droga Mino!

Deszcz padał łagodnie. Nie była to jeszcze pierwsza jesienna ulewa, tylko leniwa nocna mżawka. Rano miasto znów pojaśniało, a podwórza wesoło zapachniały wilgocią. Obmyte z kurzu liście opadały z drzew. Do rana nie mogłem zasnąć. I wcale nie chciałem. Po wczorajszym zebraniu przyszło mi do głowy pewne połączenie chemiczne, proste i fascynujące. Nie dawało mi to spokoju. Chwilami ból narastał do tego stopnia, że stół, sufit i ściany rozmywały się całkowicie. Celowo zrezygnowałem z zastrzyku, bo miałem wrażenie, że z tej mgły może się wyłonić zarys jakiejś koncepcji. Uśmiechasz się. Olśnienie czy natchnienie zrodzone z cierpienia uważasz za wytwór romantycznej, niedojrzałej wyobraźni. Niech będzie. Skreśliłem nawet nocą jakieś litery i cyfry na kawałku kartki. Długo po północy, kiedy dzwon w koszarach Schnellera wybił drugą albo trzecią, a podniebienie i język wyschły mi całkowicie z bólu i pragnienia, w nastroju dojmującej tęsknoty poczułem nagle, że jestem bliski przeprowadzenia reakcji łańcuchowej zdumiewająco prostymi środkami, bez niesłychanych temperatur. Ze zaraz wydobędę energię z tanich dostępnych pierwiastków. Chyba tak właśnie burzą się wszystkie życiowe siły i lęk przed poznaniem w sercu, powiedzmy, kompozytora, który słyszy nocą dźwięki swojej ostatniej symfonii i wie, że nie ma i być nie może sposobu, by ją pochwycić w nuty. Upojenie i rozpacz. Odczytuję znaczenie: to zwiastowanie śmierci, bardzo niedalekiej. Przede mną leży kartka z nocnymi zapiskami: same nedorzeczości. Naukowe rojenia w stylu Juliusza Verne'a albo Herberta George'a Wellsa. Nic niewarte. Tym bardziej że gdy je nanosiłem na papier, miałem taką gorączkę, że we wschodnim oknie widziałem płonące Morze Martwe, rozświetlające noc pomarańczową mineralną poświatą, istnym ogniem piekielnym, co wprawiło mnie w przekonanie, że moje nocne odkrycia już znalazły zastosowanie w świecie zewnętrznym. Świt. Ty i Uri szykujecie coś w laboratorium. Ty z Jaśmin i Nachciem na dywanie uprawiacie seks i wzywacie mnie, bym się dołączył. A za oknem grzyb ognia w sam środek nocnego

nieba, z pomocą zwykłego lusterka usuwam go stąd, z mojego pokoju, za góry i doliny. Nad ranem znów zasnąłem w ubraniu na podłodze w laboratorium, we śnie wiedziałem, że czas wezwać Duszkina, przyszedł z rabinem Ówkiem, chorym kabalistą z Safedu, i obaj próbowali Cię przekonać, że tylko dekapitacja daje szansę na zahamowanie dalszego rozrostu gruczolów, a ty stanowczo twierdziłaś, że silne napromieniowanie warstwy sodu i fosfatu wyzwoli reakcję łańcuchową, która, ratując mi życie, jednocześnie całkowicie zmieni sytuację militarną.

Rano, po kawie i goleniu, zmierzyłem temperaturę. Stwierdziłem niewielką gorączkę i lekkie zaburzenia widzenia. Mogłem więc czytać gazetę i byłem w stanie pisać. Ale kiedy sięgnąłem po suchara z dżemem, nie trafiłem i zrzuciłem ze stołu słoik ze zsiadłym mlekiem. Napiszę Ci jeszcze, że od samego rana krążył nisko nad miastem angielski samolot zwiadowczy, może dlatego że w dzisiejszej gazecie podano niemal oficjalnie, że komisja śledcza faktycznie zaleci podział Palestyny, a Jerozolima i Betlejem pozostaną pod kontrolą międzynarodową i nie będą podlegać ani władzy żydowskiej, ani arabskiej. Uri w drodze ze szkoły zajrzał do mnie i powiedział, że bez Jerozolimy nie będzie państwa hebrajskiego, albo wybuchnie straszna wojna między Haganą i Palmachem a Ecel i Lechi, i Anglikom właśnie o to chodzi.

Swoją drogą Uri rządzi bez reszty w moim laboratorium. Robi, co mu tylko przyjdzie do głowy. Dziś ułożył mnie na kanapie, nakrył wełnianym kocem, podał herbatę z cytryną, a nawet wybrał i nastawił na gramofonie płytę, żeby mi było przyjemniej. Umieścił też w nogach termofor z gorącą wodą. Gdy tak leżałem, zbyt słaby, by protestować, zaczął wyjmować ze skrzynki puste butelki. Potem wszedł do laboratorium, coś mieszał, odrywał główki zapalek, łączył jakieś roztwory. Zostałem wyparty z własnego domu: Nachcie i Sonia Litwak w kuchni, Uri w laboratorium, Ty w snach. Niedługo będę musiał odejść.

– Ostrożnie tam, Uri!

– Robię tylko to, czego mnie pan nauczył, panie doktorze. Niech pan się nie martwi, pracuję według notatek, które pan zostawił na stole. Jak tylko pan wyzdrowieje, znów będziemy pracować razem.

Odpoczywam. Muzyka Mozarta płynie z gramofonu, a z laboratorium dobiega podzwanianie probówek, szum palnika spirytusowego, bulgotanie wrzątku.

Za oknem znów wczesny wieczór jesienny.

Wokół rzeczy proste, dotkliwe, banalne. Jaką pilną wiadomość próbują mi przekazać? Gasnące słońce, Mino, krakanie wron, wycie psa, bicie dzwonu były od zawsze i nadal będą. Słyszę nawet z daleka, od strony Emek Refaim, gwizd pociągu. I płacz niemowlęcia. I polską piosenkę śpiewaną przez sąsiadkę. Dlaczego w ten wieczór proste, bliskie, banalne rzeczy zdają się ze mną żegnać? Co mam robić? Mogę się tylko odwrócić do ściany i umrzeć natychmiast. I natychmiast poraża mnie pewność: jest sens. Jest wytłumaczenie. Może jest sposób. Dano mi jeszcze trochę czasu, bym mógł spróbować odczytać znaczenie i intencję. I tylko wciąż targa mną żal: przeżyłem około czterdziestu lat. Wygnano mnie, upraszczając, do innego kraju. Hi nawet coś zdziałalem w miarę swoich skromnych możliwości. I tu Cię kochałem. Ale Ty odeszłaś, a ja zostałem. Nie na długo. Stąd też jestem brutalnie wyganiany. Jaki z tego wniosek, Mino? Jaka nauka, jaki sens? O co tu chodzi?

Może tak: na dworze jesień. Stoję pod ścianą. Coś się musi zdarzyć, coś musi nastąpić w sercu i duszy. Natychmiast. Co takiego, sam chciałbym wiedzieć. Chwila obecna jest bezpowrotna. Była i już jej nie ma.

Przypominam sobie letni dzień w Wiedniu. Wczesne popołudnie. Chłodno. Bładoniebieskie, prawie szare niebo pokryte puszkami chmur. Na ulicy delikatny zapach smażonego mięsa, śmieci i kwitnących ogrodów. Może jeszcze perfum przechodzących kobiet. W kawiarniach gwarno. Przez okna widać panów w letnich garniturach. Pałą, dyskutują, prowadzą interesy. Inni przeglądają żurnale i rozwiązują krzyżówki. Niektórzy

grają w szachy. Wracam zwykłą trasą z uczelnianej biblioteki do domu. W sercu mam pustkę. Czuję lekką pokusę, choć nie rzeczywiste pragnienie, by spędzić wieczór z Charlotte czy Margot na pięterku Zmęczonego Serca. Przed mostem waham się chwilę. Tuż przy moście zebrze dwóch murzyńskich włóczęgów. Jeden uderza w bęben, drugi zawodzi dziwną melodię. U ich stóp na chodniku leży pomięty kapelusz, w nim trochę miedziaków. Są niemłodzi, choć i nie starzy. Zdają się nie podlegać europejskim kryteriom wieku, mają własny zegar biologiczny.

Przystaję, żeby przyjrzeć się im z bliska: niedawno powtarzałem do egzaminu z antropologii, a ci dwaj są bodaj pierwszymi Murzynami, jakich w życiu widziałem. Poza cyrkami, oczywiście. Są mocno kędzierzawi. Ich skóra ma odcień nie tyle czekolady, co kawy. Przechodzi mnie lekki dreszcz. Odpycham przelotne wyobrażenie ich organów płciowych. Wyższy z nich, ten, który zawodzi czy też śpiewa, ma przekłuty nos, ale brak w nim kolczyka. Nos jego kompana jest spłaszczony w sposób tak niezwykły, że powraca natrętna myśl o kształcie członków. Nie jestem w stanie odejść, nie mogę oderwać od nich wzroku. Trwam tak przykuty lękiem, obrzydzeniem i zachwytem. Murzyni stoją tyłem do mostu i wody. Jeden nosi sandały związane zwykłym sznurkiem, drugi wielkie zniszczone buciska bez skarpet. Nagle ogarnia mnie wstyd, jak w dzieciństwie, kiedy zostałem przyłapany na wgapieniu się w dekolt ciotki Greta. Szybko wrzucam monetę do kapelusza.

Coś mi każe udać się mimo wszystko do Zmęczonego Serca i spędzić wieczór z Charlotte czy Margot, a może nawet z obiema naraz. Jednak nogi są jak przytwierdzone do trotuaru. Spoglądam więc na zegarek, udaję, że się tu z kimś umówiłem. I czekam. Tak czy owak muszę najpierw zadzwonić, inaczej nie będzie Margot ani Charlotte.

Nagle koło żebraków zatrzymuje się grupka chłopców w mundurach narodowego ruchu młodzieżowego. Stoję jak przygwożdżony. Chłopcy sprawiają wrażenie spokojnych, spragnionych wiedzy, są przystojni, krótko ostrzyżeni, śniadość ich skóry wskazuje, że długie, męczące wycieczki po górach i lasach już zahartowały ich po wojskowemu, chociaż nie ucierpiały przy tym dobre maniere. Z grupki występuje instruktor, mężczyzna w średnim wieku, typ sportowca, niski, zbity w sobie, o bezlitośnie przyciętych szpakowatych włosach i wąskich ładnych wargach. Coś w jego chodzie czy naprężeniu ramion świadczy o tym, że równie swobodnie czuje się pływając samotnie w górskiej rzece jak w pałacach o przestronnych wysokich salach. Mój drogi ojciec zawsze pragnął całym sercem, by jego jedyny syn tak wyglądał. Instruktor też ma na sobie czysty, starannie odprasowany mundur. Od podopiecznych różni go tylko sznur, kolor odznak i naszywek na pagonach. Zaczyna coś tłumaczyć chłopcom stanowczym tonem, szczerliwie kończąc krótkie zdania. Rysuje palcem w powietrzu, bez wahania przenosi go kilka centymetrów od głowy stojącego w pobliżu Murzyna. Szkicuje zarys czaszki. Coś demonstruje i podkreśla. Podchodzę powoli, żeby posłuchać. Wyjaśnia po niemiecku, w dialekcie bawarskim, kwestię różnic rasowych. Ten krótki wykład, z tego, co udaje mi się uchwycić, łączy w sobie antropologię, historię i ideologię. Artykulacja: staccato.

Kilku chłopców sięga do kieszeni brązowych koszul, wyjmując ołówki i jednakowe notesy i pilnie robi notatki. Dwaj Murzyni są bardzo zadowoleni i uśmiechają się miło od ucha do ucha. Wdzięcznie błyskają białkami oczu. Okazują mnóstwo dobrej woli, może głupoty, niewinnej radości, szacunku i wdzięczności. Muszę przyznać, że w tym momencie nasuwa mi się skojarzenie ze zbłąkanymi psami, po które właśnie przyszli nowi państwo. Tymczasem instruktor rzuca słowa: ewolucja. Selekcja. Degeneracja. Pstryka palcami, a Murzyni jak jeden mąż odpowiadają piskliwym chichotem, pokazując śnieżnobiałe zęby.

Instruktor rozstawia kciuk i palec wskazujący, bez dotykania mierzy szerokość ich czoł, tą samą metodą mierzy własne czoło, i mówi: *Also...*

Krótki wykład kończy słowem „cywilizacja”.

Podopieczni chowają ołówki i notesy. Czar prysł. W milczeniu ruszają w dalszą drogę. Wydają się zatroskani. Odchodzą energicznym krokiem w dół rzeki, w stronę centrum miasta i muzeów. Wyglądają teraz jak wojskowy patrol, zwiad, który niespodziewanie natknął się na przednie straże nieprzyjaciela, wycofał się i spieszy wezwać posiłki.

Czar prysł. Ja też ruszam w kierunku domu. Po drodze jestem skłonny zgodzić się w myślach, że Europa jest zagrożona. U jej bram istotnie stoi rasa barbarzyńców. Zagłada grozi naszej muzyce, prawom, sztuce handlowej, subtelnej ironii, umiejętności wychwytywania niuansów i odczuwania ambiwalencji. Rasa barbarzyńców u bram. Przecież historia uczy, że mongolskie hordy napłynęły już kiedyś z mrocznej Azji nad same brzegi Dunaju i stanęły pod Wiedniem.

W domu Lisel podaje kolację bez słowa. Ojciec też milczy z nachmurzoną miną. Interesy idą coraz gorzej. W mieście panuje nieciekawa atmosfera. Co było, nie wróci. Minister zarzeka się w radiu, że zgniecie komunizm, kosmopolityzm i inne destrukcyjne elementy. Rząd jego zdaniem okazał dużo pobłażliwości wobec tych pasożytów, a oni odpowiedzieli niewdzięcznością. Ojciec wyłącza radio. Nadal milczy. Może w duchu obwinia Żydów z Europy Wschodniej, którzy zalali Wiedeń i sprowadzili na nas wielkie kłopoty. Ja też jem w ciszy i znikam w swoim pokoju. Margot, jej ramiona, szyja, wciąż stanowią tło moich myśli. Co miałem powiedzieć ojcu? Jest wiecznie przekonany, że jego jedynaka tak dalece pochłaniają flirty studenckie, że nie dostrzega, co się dzieje w mieście i na świecie. o północy schodzę do kuchni napić się wody i zastaję tam ojca. Siedzi samotnie w szlafroku, z zamkniętymi oczami, pali i milczy.

– Znowu masz bóle, tato?

Otwiera jedno oko:

– Co ty pleciesz, Immanuelu. i po chwili dodaje:

– Przysłali mi dzisiaj prospekt syjonistyczny. Broszury z Palestyny. Ze zdjęciami.

Wzruszam ramionami, przepraszam, życzę mu spokojnej nocy i wracam do siebie.

Dokładnie tydzień później przychodzi list.

Jest to anonim. Na kopercie ktoś wypisał na maszynie nazwisko i imię ojca, wszystkie jego tytuły i adres fabryki. Ojciec otwiera list przy Indze, swojej sekretarce, i ciemnieje mu w oczach. W kopercie jest niewielki arkusz porządnego grubego papieru listowego z połączanymi brzegami, z odcisniętym znakiem wodnym, ale bez daty, nagłówka i podpisu. Na samym środku kartki ktoś napisał ładnym okrągłym pismem jedno jedyne słowo: *Jude*. Z wykrzyknikiem.

– Co ty na to, Ingo? – spytał ojciec, kiedy odzyskał mowę.

– To fakt – odpowiedziała grzecznie, dodając: – Nie ma się o co obrażać, *Herr Doktor*. To po prostu fakt.

A ojciec trupioblady wargami wyszeptał:

– Czy kiedykolwiek się tego wypierałem, Ingo? Nigdy nie próbowałem zaprzeczać.

Niecały miesiąc później znalazł rzutkiego kupca na nasz dom z ogrodem. Fabrykę sprzedał spółce z Linzu. Inga została zwolniona w lodowatej atmosferze, zaś Lisel dostała w prezencie starą walizkę z ubraniami matki i została odesłana w góry, do rodzinnej wioski.

Ojciec i ja bez trudu dostaliśmy zezwolenie na imigrację do Palestyny z rąk samego konsula brytyjskiego: przywilej zamożnych.

Ojciec zdążył zasięgnąć języka i opracować plan stworzenia niewielkiej fabryczki w jakimś nowym mieście nieopodal Tel Awiwu. Poznał tamtejsze warunki, wykonał nawet wstępne kalkulacje, ale co pewien czas napomykał, że pragnie jak najszybciej dołączyć do matki w świecie, gdzie nie ma zła. Przyjaciele rodziny próbowali go przekonywać, błagali, żeby to jeszcze rozważył. Sądziło się, że wstrząs i zniewaga obudziły w nim instynkt samozniszczenia. W tym czasie wiedeńscy Żydzi pokładali ogromną wiarę w psychologii i uważali, że sytuacja się szybko poprawi, bo całe narody nie mogą nagle oszaleć.



Ojciec był jak głaz: szary i nieugięty.

Jednocześnie żadną miarą nie chciał przyznać, że doktor Herzl przewidział to wszystko. Przeciwnie, twierdził, że właśnie Herzl i jego przyjaciele wpakowali nas w bagno.

Ale po roku, już w Ramat Gan, zmienił poglądy całkowicie. Wstąpił nawet do partii Ogólnych Syjonistów.

Dyplom lekarski odebrałem cztery dni przed wyjazdem, tego samego ranka kiedy wbito mi wizę. Zostałem wezwany do rektoratu, gdzie wyjaśniono mi delikatnie, że chyba nie czułbym się dobrze na oficjalnym rozdaniu dyplomów, a ponieważ trzeba się liczyć z nastrojami panującymi wśród studentów, otrzymam go w nieformalnych okolicznościach, w zwykłej szarej kopercie. Usłyszałem, że młody lekarz znajdzie na przedprożu Azji szerokie pole do popisu. Ciemnota, brud i choroby szerzą się tam w skali wprost niewyobrażalnej. W tym miejscu wspomniano Alberta Schweitzera, który mieszka i leczy chorych w sercu dżungli afrykańskiej. Ktoś nietaktownie podkreślił, że Schweitzer też wywodzi się z rasy żydowskiej. Potem obecni wyrazili przypuszczenie, że mogę chować w sercu niejakię rozgoryczenie, ale prosili, abym gdy będę daleko, pamiętał mimo wszystko co dał mi Wiedeń, a nie tylko czym mnie uraził. Życzyli szczęśliwej drogi i z lekkim wahaniem uścisnęli mi rękę na pożegnanie.

Istotnie pamiętam. Chowam przy tym w sercu nie tyle rozgoryczenie i urazę, co, jak by to ująć – już widzę zimny, ironiczny grymas wokół twoich ust i pogardliwie puszczone nosem dym – żydowską nostalgię i gniew. Nie, nie w sercu: w szpiku kostnym. I stworzę z niego dla Hagany nie domorosły, lecz totalny materiał wybuchowy. Zadzawię Uriego, Nachciego, samego Ben Guriona. Oby tylko starczyło mi tej resztki sił. Ja będę rasą barbarzyńców u bram. Ja mongolską hordą.

Znowu, jak zwykle, zartuję w nieodpowiednim momencie i znów żart, doprowadzony ad absurdum – po hebrajsku powiedziałbym chyba: do skrajnej przesady – nie jest śmieszny.

Dotarliśmy do Palestyny przez Tyrol, Triest i Pireus francuskim parowcem. Ojciec naprawdę założył w Ramat Gan znane zakłady cukiernicze. Ożenił się po raz drugi z mówiącą gardłowym głosem, obwieszoną błyskotkami emigrantką z południa Polski. Może pod wpływem żony stał się aktywnym członkiem Rady Ogólnych Syjonistów i różnych komitetów.

Czasem przysyła mi pieniądze. Całkiem niepotrzebnie. Mam ich wystarczająco dużo.

Miałem zwyczaj odwiedzać ich dwa razy w roku, na Pesach i podczas świąt jesiennych. Spędzałem kilka dni wśród kandelabrow, waz i serwisów. Każdego wieczoru przez ich dom przewijali się ludzie interesu w średnim wieku, działacze i kupcy, pośrednicy wielbiący czulent i tabakę, sadzący pikantne dowcipy w trzech językach przy wtórce chrapliwego męskiego śmiechu.

– Feliks – mówili, puszcżając oko do ojca – reb Pinchasl, kiedy wreszcie postawi pan chłopaka pod chupą? Kiedy go pan wprowadzi w interesy? Co to się o nim mówi, ma pan w domu socjalistę?

A żona ojca, ze złotym zegarkiem, którego tarcza tkwiła w paszczy złotego węża na przegubie mocno piegowatej dłoni, stawiała w mojej obronie:

– Jakie interesy wam w głowie. Co za interesy. Nasz Immanuel niedługo będzie profesorem w Hadasie i wszyscy będziemy musieli czekać trzy miesiące w kolejce, żeby nas raczył zbadać, a i to tylko po znajomości.

Rzeczywiście przez jakiś czas pracowałem w Hadasie, znosząc w milczeniu rubaszną tyranie Aleksandra Duszki. Kiedyś wezwał mnie do swojego domu w Kiriat Szmuel i po herbacie, żarcikach i plotkach obwieścił, że „w przyszłym tygodniu oddaje mnie całego i zdrowego w ręce rządu Palestyny”. Deleguje mnie do Urzędu Bakteriologii.

– Dali mi ultimatum. Zażądali, żebym im wydał jakiegoś Swidrygajłowa najwyższej rangi, który będzie nadzorował wszystkie źródła wody w okolicy i w samej Jerozolimie. Natychmiast sprzedałem im ciebie. Za darmo. W prezencie. Nawet trzech sykli srebra nie

zażądałem w zamian. Pensja jest niezgorsza, pojeździsz sobie na koszt króla na wycieczki, od Hebronu po Jerycho i od Ramalli po Rosz ha-Ajin. Będziesz miał własne imperium. Ten O'Leary ci się spodoba, to wykształcony i kulturalny goj. Nie tak jak ja, Tatarzyn i kanibal. Mówmy otwarcie, Nussbaum, ty i ja... No cóż, ty jesteś flegmatykiem, a ja jestem furiat, tak czy owak, nie jesteśmy stworzeni do chodzenia w jednym zaprzęgu. Ale wiedz, Immanuelu – zagrzmiał nagle, bo do oczu napłynęły mu łzy – wiedz, że moje drzwi i serce zawsze będą dla ciebie otwarte, o każdej porze dnia i nocy. Przecież tak cię lubię. Tylko żebyś nam wstydu nie przyniósł przed gojem. No. Co z twoją herbatą Pij! Pij!

Tak rozstałem się z Samowarem i trafiłem do Edwarda O'Leary i mojego drogiego doktora Antoine'a al-Mahdiego. Od tego zaczęły się moje podróże do źródeł wody.

Kilka razy w tygodniu odwiedzaliśmy wsie. Mijaliśmy piękne sady, winnice, gaje oliwne i skromne ogródki warzywne. Widzieliśmy smutek strzelistych meczetów na szczytach wzgórz. Przedzierał się we trzech przez kolczaste żywopłoty i godzinami wędrowaliśmy pieszo, żeby dotrzeć do odludnych źródeł czy studni zapomnianych od Boga. Zapach łajna i kurzu kojarzył mi się ze spokojem i odpoczynkiem. Natomiast Antoine mówił czasem przepraszająco:

– Bydło to bydło, a chłopci to też bydło. Nie sposób ich odróżnić.

Kiedy O'Leary pytał go żartem:

– Jak ci się podoba myśl, że pewnego dnia każdy wieśniak włoży tweedowy garnitur i krawat, tak jak ty?

Antoine odpowiadał:

– To byłoby wbrew naturze.

Edward śmiał się:

– A jak jest u Żydów? W kibucach adwokaci doją krowy i wynoszą gnój.

– Żydzi – uśmiechał się do mnie Antoine życzliwie – to niezwykli ludzie. Zawsze działają wbrew naturze.

Jeździliśmy do basenów Salomona. Nad Nachal Arugot na pustyni. Do doliny Ela. Pobieraliśmy próbki i zawoziliśmy w szklanych butelkach do laboratorium przy ulicy Juliana, żeby je zbadać pod mikroskopem. O'Leary chętnie nam pożyczał książki napisane przez angielskich podróżników z ubiegłego wieku, które zawierały dokładne opisy Palestyny w stanie zniszczenia i upadku.

– Co w niej jest? – pytał nas O'Leary z rozbawieniem. – Co takiego ma w sobie ta zasuszona, znękana staruszka, że wszyscy się w niej kochają do szaleństwa? Byłem kiedyś w południowej Persji. Mają tam takie same żałosne wzgórza zaśmieczone szarymi skałami, trochę oliwek, trochę starych skorup, a nikt nie pędzi z końca świata, żeby je zdobyć.

– Kobieta powstała z ziemi – przemówił doktor Mahdi aksamitnym głosem, starannie dobierając angielskie słowa – mężczyzna powstał z deszczu, a pożądanie pochodzi od diabła. Weźmy na przykład Jordan. Od tysiącleci wpada do Morza Martwego, gdzie nie ma ani jednej ryby, ani jednego drzewa, wpada i wpada, i już nie wypływa. Czegoś takiego nie ma w Persji, Edwardzie, a morał z tego taki: gdzie trudno wejść, stamtąd trudno wyjść.

Czasem dorzucałem od siebie:

– W Palestynie pełno jest prostych symboli. Nie tylko Jordan i Morze Martwe, ale nawet malaria i bilharcjoza mają tu wymiar symboliczny.

Albo:

– Używacie obaj podobnych słów dla wyrażenia zupełnie innych uczuć. A właściwie to się odnosi do nas wszystkich.

– Doprawdy? – mruczał O'Leary uprzejmie i nie czekając na wyjaśnienia z wdziękiem zmieniał temat.

Popołudnia i wieczory Antoine przeznaczał na prywatną praktykę w dzielnicy Katamon. Ja w tym czasie przyjmowałem pacjentów w moim domu w Kerem Awraham. Nauczyłem się nawiązywać uprzejme stosunki z sąsiadami i wysłuchiwać ich życzliwie w ciężkich chwilach. Nie licząc godzin, walczyłem z dyfterytem i dyzenterią. Nie narzekałem, jeśli mnie wzywano w nocy albo w soboty, gdy oddawałem się słuchaniu muzyki albo pracy w moim amatorskim laboratorium. Nie złościłem się, kiedy dzieciaki wołały za mną *Jeke*, albo nawet *Jeke poc*<sup>16</sup>. Pokornie wypełniałem swoje obowiązki.

Aż do naszego spotkania w Arzie. I do ujawnienia się choroby.

Oto dzieje mojego życia w największym skrócie. Wiedziałaś, co wiedziałaś, a to, czego Ci nie mówiłem, z pewnością swoim zwyczajem sama wywnioskowałaś z analizy mojego zachowania.

Wracam do moich spostrzeżeń.

Uri, pewnie z polecenia kogoś z tajemniczych pomocników Nachciego, zajął stanowisko na dachu domu braci Kapitańskich, żeby obserwować Szejch Dżarach i ruch na szosie do Ramalli. Ja też przyglądałem się z balkonu temu, co dzieje się na ulicy. Dane, które zbieram, nie mają wielkiej wartości militarnej: co sprzedaje, a co kupuje jerozolimski domokrażca. Jak sprzedaje i komu. Dlaczego ciągle się kłócą moi ubodzy aszkenazyjscy sąsiedzi. Jakże właściwie mają wspólne dążenia. Co nowego i co starego u ich dzieci. I jeszcze młodzież, chłopcy tacy jak Nachcie, Igal i Akiwa. Jak i z jakim skutkiem próbują naśladować w ubiorze, żartach i sposobie rozmowy obiekt swojego podziwu, jakiegoś abstrakcyjnego archiswojaka z Palmachu, z Galilei.

I ja sam, niezależnie od narastającej we mnie śmierci i kodu bólu i symptomów: dlaczego ci dzielni chłopcy budzą we mnie czasem niesmak i nazywam ich w duchu Azjatami, a innym razem kocham ich z całego serca, jakby był wśród nich mój niepoznany syn, bosy, czarniawy, bardzo silny fizycznie chłopak, wielki znawca broni i wszelkich maszyn, gardzący słowami, moimi troskami i mną? Nie mam pojęcia.

I jeszcze kilka pytań retorycznych: co tu uchodzi za śmieszne, a co za żenujące? O czym się mówi, a co przemilcza? Kto i skąd przyjechał do Jerozolimy? Co miał nadzieję tu znaleźć, a co znalazł w rzeczywistości? Helena Grill a Sonia Litwak. Poeta Nechamkin z punktu naprawy urządzeń elektrycznych a towarzysz Lustig. Co mieli nadzieję tu znaleźć i co znaleźli? Dla siebie też nie robię wyjątku.

Dalsze pytania: co jest w Jerozolimie ulotne, a co nieprzemijalne? Dlaczego jesień i wieczór przybierają tu różne odcienie? I jeszcze z innej dziedziny: co zamierzają Anglicy? Czy powstanie tu wkrótce polityczna pustka? Gdzie kończy się nasza siła, a zaczynają złudzenia i fanfaronada? Czy doktor Mahdi jest prawdziwym wrogiem, nienawidzącym nas z całej duszy? Czy to dowód słabości, że nie potrafię pragnąć jego śmierci i wciąż wymyślam argumenty, którymi mógłbym go przekonać? Wszystko to sprowadza się do jednego zasadniczego pytania: co to będzie? Co będzie z nami?

Bo o czym jeszcze mam myśleć, co mi zostało? Może zachody słońca. Resztki miłości do Ciebie. Wahania i wątpliwości. Żałosne przygotowania. Niepokój.

Mino, gdzie teraz jesteś? Gdzie spędzasz ten wieczór? Wróć.

Może to zabrzmiało dla Ciebie jak wołanie o pomoc. Nie o to mi chodziło. Wybacz, proszę. Bardzo mi przykro.

*Dziewiąty wrzesnia, wtorek*

Droga Mino!

---

<sup>16</sup> Jeke – pogardliwe hebrajskie określenie Żydów z Niemiec i Europy Środkowej w związku z wyróżniającym ich zachowaniem i sposobem życia (skrupulatnością, zamiłowaniem do porządku itp.). Jeke poc – durny Jeke.

Poszedłem dziś rano do Agencji Żydowskiej złożyć raport o dostępnych chemikaliach, które mogą mieć zastosowanie do celów wojskowych. Na osobnej kartce zapisałem kilka propozycji, chociaż wydaje mi się, że nic nowego nie wnoszą i każdy chemik z uniwersytetu na Górze Skopus na pewno wskazałby dokładnie te same możliwości. Wezwano mnie na dziewiątą, przyszedłem kilka minut wcześniej. Po drodze wysmagał mi policzki drobny zacinający deszczyk. Potem, za oknem biur Agencji, przeszedł w ulewę. Wzięli ode mnie tekturową teczkę, podziękowali i ku mojemu wielkiemu zdziwieniu zaprowadzili do gabinetu Ben Guriona. Widocznie ktoś mu naopowiadał, że w Jerozolimie mieszka chory lekarz będący zdolnym chemikiem o śmiałych i oryginalnych pomysłach z zakresu pirotechniki. Ktoś bezpodstawnie zrobił ze mnie bohatera. Krótko mówiąc, Ben Gurion chciał mnie niezwłocznie zobaczyć.

Zaczął od przesłuchania: był ciekaw, skąd pochodzę, pytał o moją rodzinę, czy jestem spokrewniony z *tym* Nussbaumem, znanym pedagogiem, czy nie są mi przypadkiem bliskie ugodowe koncepcje ruchu Brit Szalom. Był to człowiek energiczny, wybuchowy, z gestów przypominał Duszkina, w kółko biegał od okna do regału z książkami i z powrotem, nie tracił czasu na wątpliwości czy zastrzeżenia. Ledwo się odezwałem, przerwał mi i zaczął naciskać: nadciąga niebezpieczeństwo. Tkwimy w wodzie po szyję. Nadszedł krytyczny moment, a ręce mamy puste. Braki materiałowe wypełnimy duchem i talentem wynalazczym. Nie zawiedzie nas geniusz żydowski.

– Panie Ben Gurion – próbowałem się wtrącić – pozwoli pan...

Ale on nie pozwalał.

– Dostanie pan od nas wszystko, co potrzebne, i zacznie pracę jeszcze dziś w nocy. Motke, notuj. Tak. A teraz, doktorze, może pan zabrać głos i powiedzieć nam, czego panu potrzeba.

A ja zawstydzony, z rękami wyprężonymi sztywno wzdłuż tułowia, z trudem wyjaśniłem, że najwyraźniej zaszło nieporozumienie: nie jestem nowym Einsteinem. Jestem zwykłym lekarzem znającym się nieco na chemii, który założył kiedyś pewne pismo i wysunął mało znaczący pomysł. Geniusz żydowski – z pewnością, ale to nie ja. To nieporozumienie.

Tak więc wróciłem do domu jak niepyszny. Gdybym mógł spełnić te wielkie oczekiwania! Towarzysz Rubaszow napisał w gazecie „Dawar”, że wyjdziemy zwycięsko z czekającej nas próby. Przeraza mnie to. Próba! Nadciąga poważna wojna, jesteśmy bezbronni, a jakaś banda niedouczonej zapaleńców uparcie nazywa to „próbą”. Pewnie uśmiechniesz się w tym miejscu, nie z powodu towarzysza Rubaszowa, tylko użytych przeze mnie słów: napisałem „poważna wojna”. Chociaż jesteś daleko, wiem, że wypuszczasz nosem dym z papierosa i ściągasz wargi.

Ostatniej nocy dobiegł mnie ryk silników od strony ulicy Chancellora. Kolejna angielska kolumna zmierza na północ, w stronę portu w Hajfie. Pewnie jadą z przygaszonymi światłami. Czy rzeczywiście zaczęła się ewakuacja? Czy naprawdę zostaniemy sami? A jeśli wyobrażenie nieustraszonego swojaka z gór Galilei jest fałszywe? Jeśli regularne wojska przekroczą Jordan i pustynie i nie przejdziemy próby?

Przyglądałem się rano z balkonu Sarze Zeldin, przedszkolance z przeciwka, drobnej staruszce z Rosji o pobrużdżonej twarzy, ubranej w niebieski fartuch. Było to tuż po powrocie z Agencji Żydowskiej. Uczyla dzieci piosenki:

*Moja malutka wioseczka  
Na zboczu góry wyrasta.  
Jej pola i sady sięgają  
Hen do samego miasta.*

W tym momencie ujrzałem jak żywą tę wioszczkę, górskie zbocze, pola ciągnące się po horyzont. Ogarnął mnie strach. Ale dzieci, Szimszon, Arnon, Ejtan i Meraw pani Litwak, przedrzeźniały przedszkolankę, śpiewając cienkimi głosikami: „Moja głupiutka wioszczka”.

Co to będzie, Mino.

– Jak tylko Anglicy zwieją stąd z podkulonym ogonem, Ecel i Lechi wysadzą wszystkie mosty i zajmą przejścia w górach – powiedział Uri. – Bo Hagana nie umie się zdecydować, czy naprawdę chce, żebyśmy mieli państwo hebrajskie, czy chce się dalej prosić u obcych. Widzi pan, panie doktorze, mam bluzę wojskową, dostałem w prezencie od ciotki Natalii, bo dziś wracają rodzice.

– Odrobiłeś lekcje?

– Od razu. Na przerwie. Do Kapitańskich wszedł pijany australijski żołnierz, szukał dziewczyn. Zostawił swojego dżipa na chodniku. Pistolet miał przy sobie, ale magazynków już raczej nie zobaczy, chyba że we śnie. Proszę. Przyniosłem je panu. Trzy całkiem pełne i jeden do połowy. Do tommy guna. Poza tym znalazłem dziurę w murze koszar Schnellera, jest mała, ale może jakoś uda mi się przez nią przecisnąć w nocy, muszę tylko dostać rozkaz, ulotki i dynamit. Ale niech pan nie mówi tego Nachciemu, bo on przecież robi to, co mu każą ci z Hagany, a nikt nie wie, gdzie się podział Efraim. Więc niech pan zdecyduje sam.

– Dobrze – odpowiedziałem – żadnego wślizgiwania się do koszar. Tak zdecydowałem. I żadnego okradania australijskich żołnierzy, bo będę się bardzo gniewał.

Uri spojrział na mnie ze zdumieniem, pokiwał głową, chwilę pomilczał i po zastanowieniu spytał, czy może mi zadać pytanie osobiste.

– Proszę – zachęciłem, dodając w duchu: mój kochany głuptasku. Tak chciałbym być twoim ojcem. Ale gdybym nim był, nie wiem, co bym powiedział albo zrobił, żebyś wreszcie zrozumiał. Co rozumiał? Sam nie wiem. – A więc? Pytaj.

– Nieważne. Powiedział pan nie, to nie i już.

– Miałem na myśli: nie bez rozkazu. Nie przedwcześnie.

– Panie doktorze, to... przez chorobę?

– Co przez chorobę, Uri?

– Ze tak się panu trzęsą ręce i... jedno oko ma pan przymknięte i ciągle nim mruga?

– Tego ostatniego nie zauważyłem.

– Ta... pana choroba jest bardzo groźna?

– Dlaczego pytasz, Uri?

– A tak... bo w takim razie musi mnie pan wszystkiego nauczyć, wie pan, w laboratorium, na wszelki wypadek, gdyby nie daj Boże nagle...

– Nagle co?

– Nic. Niech pan się nie martwi, panie doktorze. Niech pan mi da koszyk i kartkę z zakupami, pójdę do warzywniaka i do Ziegla, przyniosę co trzeba.

– Dlaczego tak się o mnie troszczysz, chłopcze? Tylko z powodu bomby, którą mam jeszcze stworzyć?

– A bo... nie wiem. To chyba też.

– Co też?

– Jest pan jakby moim wujkiem. To znaczy nie wujkiem, kimś ważnym.

– A twoi rodzice? A ciotka Natalia?

– Śmieją się ze mnie. Zawsze mówią, że mam pstro w głowie. Pan się nie śmieje.

– Nie. Dlaczego miałbym się śmiać?

– Nie myśli pan, że mam pstro w głowie?

– Raczej nie, Uri. A może mam w głowie tak samo pstro jak ty.

Cisza. A potem:

– Panie doktorze, pan w końcu wyzdrowieje?

– Nie sądzę, Uri.

- Ale ja nie chcę, żeby pan umarł.
- Czemu to dla ciebie takie ważne?
- Bo pan nie uważa, że jestem nienormalny, i nigdy mnie pan nie okłamuje.
- Powinieneś już iść, chłopcze.
- Ale ja nie chcę.
- Musisz.
- Dobrze. W porządku. Jak pan każe. Ale ciągle będę do pana przychodzić. I od progu, tuż przed zamknięciem drzwi:
- Niech pan nie umiera.

Wyszedł zostawiając po sobie niezmaconą ciszę. W tej ciszy słyszałem pulsującą w skroniach krew. Co jeszcze zostało mi do zrobienia, Mino? Może siądę i przepiszę dla Ciebie trochę wiadomości z porannej gazety, bo w Nowym Jorku na pewno brak Ci szczegółowych doniesień o tym, co się dzieje w Palestynie. Pominę nagłówki: gdy je czytam, odnoszę wrażenie, że rząd brytyjski ma już serdecznie dość naszych bomb, ulotek, delegacji, pogardliwych napomnień, które mu przesyłamy. Pewnej nocy wprowadzą u nas godzinę policyjną, narzucą Jerozolimie śmiertelną ciszę, rano wstaniemy, a ich nie będzie.

I co wtedy, Mino?

W Tel Awiwie za zgodą angielskiego gubernatora utworzono hebrajską policję drogową. Ośmiu policjantów będzie zatrudnionych na dwie zmiany. Arabska trzynastolatka ze wsi Chawara pod Nablusem stanęła przed sądem wojskowym za posiadanie broni. Nielegalni imigranci ze statku „Exodus” wywiezieni wbrew woli do Hamburga zapowiadają, że nie zejną na ląd i póki starczy im sił, będą się bronić. Czternastu gestapowców skazano na śmierć w Lubece. Pan Szlomo Chmielnik z Rechowot został porwany i ciężko pobity przez organizacje separatystyczne, ale wrócił szczęśliwie do domu. Chanan Schlesinger poprowadzi orkiestrę radia „Głos Jerozolimy”. Głodówka Mahatmy Gandhiego trwa już drugi dzień. Edith de Philippe nie zaśpiewa w tym tygodniu w Jerozolimie. Również teatr Ha-Kameri musiał przełożyć przedstawienie „Wszak nie zabierzesz nas z sobą”. Natomiast przedwczoraj dokonano w Jerozolimie uroczystego otwarcia Budynku Kolumnowego przy ulicy Jafskiej, w którym między innymi działają sklepy obuwnicze znanych firm Mikolinski, Freiman et Bein i Dr Scholl. Zdaniem arabskiego przywódcy Musy Alamię Arabowie nigdy się nie zgodzą na podział Palestyny; już król Salomon orzekł, że prawdziwą matką jest ta, która nie dopuszcza do podziału, a Żydzi powinni znać tę przypowieść i rozumieć jej przesłanie. Towarzyszka Golda Meyerson z kierownictwa Agencji Żydowskiej oświadczyła ze swej strony, że Żydzi będą walczyć o włączenie Jerozolimy do państwa hebrajskiego, ponieważ Kraj Izraela i Jerozolima są dla nas synonimami. Synonimy to po hebrajsku *milim nirdafot*.

Późnym wieczorem Arab zaatakował dwie młode Żydówki w pobliżu kawiarni Bernardia, między dzielnicami Bet ha-Kerem i Bajit wa-Gan. Jedna uciekła, a druga zaczęła krzyczeć, usłyszeli ją sąsiedzi i udaremniili podejrzanemu ucieczkę. Dochodzenie prowadzone przez oficera policji O’Connora wykazało, że mężczyzna pracuje w radiu i jest spokrewniony z wpływowym rodem Naszaszibich, mimo to nie zwolniono go za poręczeniem ze względu na ciężar przypisywanego mu przestępstwa. Zatrzymany twierdził na swoją obronę, że wyszedł pijany z kawiarni i zdawało mu się, że dziewczyny są nagie i spótkują z sobą w ciemnościach.

I jeszcze jedna wiadomość: podpułkownik Adderley, prezes sądu wojskowego, przewodniczył sprawie Szlomo Mansura Szaloma, oskarżonego o rozpowszechnianie ulotek, który został uznany za niepoczytalnego. Jego kurator, pan Gradowicz, wnosił o nieumieszczanie oskarżonego w szpitalu psychiatrycznym, gdzie jego stan mógłby się pogorszyć, i nalegał, by tymczasowo odosobnić go w prywatnym zakładzie, żeby fanatycy nie wykorzystali jego upośledzenia w celach przestępczych. Podpułkownik Adderley z żalem orzekł, że nie może się przychylić do wniosku pana Gradowicza z braku właściwości i

zmuszony jest aresztować nieszczęsnego oskarżonego do czasu, aż Wysoki Komisarz podejmie w imieniu Korony decyzję o ewentualnym złagodzeniu kary lub amnestii. Fanatycy to po hebrajsku *kanaim*. Przepisuję dla Ciebie te wiadomości, żebyś miała wyobrażenie, co się u nas dzieje. Nie, nieprawda: przepisuję, żeby uciec od dręczących myśli i uczuć. W radiu Cyla Lejbowicz daje recital fortepianowy, a po wiadomościach mają nadać przegląd wydarzeń Gordusa i piosenki Brachy Zefiry. Kilku sąsiadów na pewno wpadnie posłuchać wiadomości. Grill albo Lustig, może Litwak. W ostatnich dniach nie widuję Efraima. Zniknął też Nachcie. Tylko poeta Nechamkin krąży po ulicy Malachiasza i bada końcem laski, czy jerozolimskie kamienie są prawdziwe. A może stuka nią w poszukiwaniu pustego miejsca, starożytnego przejścia w skale, na której stoją nasze domy, kierując się wskazówkami i obietnicami zawartymi w świętych księgach. Szczęśliwy, który wierzy. Moja daleka Jaśmin, jeszcze nie skończyłem pisać o przejściu w skale, gdy przyszedł nowy ból, dotąd nieznan, ale zbliżony do pewnej przejmującej pieszczoty, jakiej mnie nauczyłaś na krótko przed swoim odejściem. Późną jesienią u doktora Nussbauma dojdzie prawdopodobnie do osłabienia czynności narządów trawiennych. Trzeba go będzie przewieźć do szpitala Hadasa. Z okna zobaczy może zwodne światło pustynne o brzasku i zarys nieba przebłyskujący nad górami Moabu. Profesor Duszkin nie będzie żałował morfiny i nie będzie daremnie przedłużał męczarni konania, zgodziliśmy się co do tego bez słów. Potem przyjdą zaburzenia widzenia i oddychania. Serce osłabnie. Zgaśnie świadomość. Sporadycznie zdarzy się jeszcze pacjentowi powiedzieć coś z sensem. Może mówić po niemiecku. Może szeptać Twoje imię. Mam wielką nadzieję, że nie będzie krzyczał. Ojciec i macocha przyjadą się z nim pożegnać, chory i jego ojciec z najwyższym wysiłkiem wymienią parę niemieckich anegdotek, choćby mieli przy tym zgrzytać zębami z rozpacz. Potem wszystko zmroczy się i pacjent będzie się jeszcze trzepotał na krawędzi przez kilka godzin, najwyżej kilka dni. Będzie to pora deszczowa. Bardzo możliwe, że styczniowe deszcze spadną na jego grób w Sanhedrii albo na Górze Oliwnej. Co wydarzy się w Jerozolimie, nie wie. Nikt tego nie wie. Zdaje się, że Musa Alami i Golda Meyerson nie zmienią przekonań. Ale w końcu ten trudny czas minie, zapomnisz o nim i o problemach, które niesie. Może już zapomniałaś. Jedynie Uri, syn drukarza Kołodnego, będzie może pamiętał, wspominał go z mieszanymi uczuciami, nawet z tęsknotą. Droga Mino, jeśli Jerozolima przetrwa, a te listy trafią do Twoich rąk, i jeśli po latach zechcesz się ich pozbyć, postaraj się, proszę, odnaleźć Uriego i mu je przesłać. Pewnie już Ci jestem cierniem. Wystarczy.

Na swoim balkonie siedzi drukarz Kołodny, jego żona, jej siostra Natalia i nasz sąsiad, poeta Nechamkin z punktu naprawy urządzeń elektrycznych. Otaczają ich puszki z geranium i skrzynki z ziemią, w których rosną rozmaite kaktusy. A gdzie dziecko? Bardzo państwa proszę, nie spuszczaście chłopca z oka, by mu nie wpadło do głowy wtargnąć do koszar Schnellera i natrzeć samotnie na brytyjskie wojska. Nie widzę Uriego, a oni nic nie zauważają, siedzą sobie spokojnie i rozmawiają, pewnie dyskutują o polityce. Ten spokój jest dla mnie skandaliczny. Żółte światło świeci im nad głowami, nocne owady krążą wokół lampy jak oszalałe. Drukarz Kołodny to blady rozważny mężczyzna, ale nawet on ubrał się nie wiedzieć czemu w strój przypominający mundur wojskowy: luźne szorty khaki, pas z mosiężną klamrą, zgniłozielone skarpety podtrzymywane pod kolanami przez podwiązki. Natomiast poeta Nechamkin ma na sobie jak zwykle polski garnitur i jedwabny krawat: zawsze w pełnej gotowości. Mam wrażenie, że poza nim i mną wszyscy w tej okolicy są w większym lub mniejszym stopniu swoimi chłopami. Wszyscy są wspaniali, pozytywni, dalecy od jakichkolwiek lęków. Śmierć w ogóle nie wchodzi w rachubę. Żartują sobie, śmieją się, pani Kołodny podaje im misę pomarańczy, ale nikt się nie częstuje, więc na jej twarzy widać uśmiech rozczarowania. Co jest w Jerozolimie ulotne, a co nieprzemijalne. Za czym będzie kiedyś tęsknił Uri. Za blaszakami. Przepierzeniami z dykty. Pustymi słoikami po zsiadłym mleku. Europejskimi manierami wymieszany z wulgarną wesołością. To miasto

emigrantów na skraju pustyni, w którym na każdym dachu powiewa schnąca pościel. Mieszkańcy są w nieustannym biegu. Unoszą na czoło okulary słoneczne, co oznacza: „Jestem teraz bardzo zajęty, ale dla ciebie znajdę chwilkę”. I jeszcze: „Wzywają mnie pilne sprawy”. I: „Wybacz, kiedyś znajdziemy czas na dłuższą rozmowę, ale teraz muszę lecieć do obowiązków”.

Nie neguję tego, Mino. Czas jest krytyczny, niedługo wybuchnie wojna. Każdy, nawet ja, stara się jak może wnieść swój skromny wkład do zbiorowego wysiłku. Może istotnie jesteśmy ostatnim z uciemionych pokoleń. Ale czy naprawdę ostatnim. Czy rzeczywiście nadejdą inne czasy, a ja ich nie doczekam.

Tylko kobiety już nie wytrzymują: w kolejce po mąkę, po lód, do wozu z naftą wydają się na wpół zemdlone. Czasem w letnie południe, gdy Jerozolima płonie żywym ogniem, znękana pustynnym światłem, zdarza mi się słyszeć przez opuszczone żaluzje płaczącą skargę pianina pani Kołodny.

Anglicy wycofają się zatem z Palestyny. Z hotelu King David przy ulicy Juliana znikną urzędnicy o przetłuszczonych, gładko zaczesanych włosach z przedziałkiem pośrodku. Znikną znużone zagraniczne damy, przesiadujące na hotelowym tarasie z widokiem na mury Starego Miasta, jakby łowiły ryby na brzegu biblijnej przeszłości. Skończą się poranne zebrania pod portretem króla w biurze Edwarda O’Leary, podczas których dr Mahdi z ramienia Komitetu Arabskiego i dr Nussbaum z ramienia szpitala Hadasa zastanawiali się wspólnie, jak chronić wodę pitną w Jerozolimie przed skażeniem bakteriologicznym albo jak zniszczyć wylęgarnię moskitów w dolinie Cedronu. Nadejdą inne dni.

– Jak to możliwe – mówi doktor Mahdi – że tacy wspaniali ludzie jak wy, taka światła, wykształcona nacja dała się porwać strasznej idei syjonizmu?

Próbuję swoich sił:

– Antoine, na Boga, proszę, chociaż raz spróbuj się postawić na naszym miejscu.

Edward jak zwykle wtrąca stanowczo:

– Panowie, może lepiej wróćmy do aktualnego tematu.

Aktualny oznacza tutaj: niecierpiący zwłoki.

O jaki temat chodzi, droga Mino?

Może Ty wiesz?

Na dworze nieprzenikniona ciemność. Cykady. Gwiazdy. Wiatr. Przerwę na tym.

*Noc z wtorku na środę, dziesiąty września*

Droga Mino!

Nie użyję słowa „wina”. Nie jesteś winna temu, co ze mną robisz w snach. Chyba jednak ponosisz za to pewną odpowiedzialność.

Stoisz przy moim łóżku w wojskowych spodniach i dużej męskiej koszuli z mnóstwem kieszeni. Masz leciutki ciemny wąsik i nawet Twoje włosy czuć dymem papierosów. Antoine maca moją grdykę, zaciska obie dłonie na brodzie, żebym się nie wiercił podczas operacji. Jego uprzejma twarz jest tuż przy mojej twarzy, aż zauważam spęczniały żółty pryszcz w różowej otoczce na jego nosie i lekką asymetrię wąsów. Jest tęgawy, grzeczny, pachnie wodą kolońską. Z uśmiechem mówi do mnie po angielsku:

– Już, już. Wspólnymi siłami.

Dwóch krzepkich chłopaków przytrzymuje mi nogi nad kolanami, ale nie są skupieni na operacji, poszeptują między sobą i chichoczą. Podajesz skalpel. A może nie skalpel, tylko nóż kuchenny, do krojenia chleba. Samowar bierze go i swoim zwyczajem dziękuje Ci skinieniem głowy.

– Powoli – pouczasz go - w tym przypadku nie należy się spieszyć. Tu. Teraz tu. I jeszcze tutaj.



On wykonuje dokładnie Twoje zalecenia. Jest cały czerwony. Na rękach ma gumowe rękawiczki. Tnie zaskakująco delikatnie. Muszę natychmiast spróbować coś powiedzieć, nim głowa zostanie odcięta od szyi. Może przypomnę Antoine'owi, jak przyszedł do mnie zeszłej zimy o jedenastej w nocy i błagał, żebym go wyleczył z rzeżączki, którą zaraził się prawdopodobnie podczas swojej ostatniej podróży do Bejrutu. I jak przez cztery dni u mnie mieszkał, a ja mu robiłem zastrzyki. Ale przecież obiecałem, że zabiorę z sobą do grobu tę jego tajemnicę. Będę milczał. Jakie dziwne jest pogłębiające się cięcie na mojej szyi: nie ma krwi ani bólu. Przeciwnie. Odprężenie. Ulga.

– To wszystko, doktor Oswald? – pyta Ben Gurion, jakby nie wierzył własnym oczom. – W sumie to bardzo prosta operacja.

A ja stwierdzam bezgłośnie, że zamykam zebranie.

Budzi mnie rześisty deszcz. Lampa nie chce się palić: widocznie w Jerozolimie nie ma prądu. Zapalam zapałkę. Patrzę na zegarek. Pierwsza w nocy. Muszę wstać. Za oknami wichura i ulewa. Tym razem to już prawdziwy jesienny deszcz. Przepadły wszystkie nocne owady, które co wieczór tańczyły w kręgu światła na balkonie. Zostały tylko sosny i kamienie, obmyte z kurzu, oczyszczone przez wodę i wiatr.

Muszę się ubrać. Muszę w tej chwili wyjechać. Ale dokąd mam jechać, Mino. Umarli nie będą chwalili Pana<sup>17</sup>. Mówiłaś, że Nowy Jork skupia teraz przedstawicieli późnej szkoły wiedeńskiej. Musisz tam być, aby zaświadczyć o zbiorowym powrocie do zdrowia, który następuje w górach Galilei i w dolinie Jezreel. O zmierzchu wieloletnich neuroz narodowych.

– Istnieje droga, panie i panowie – obwieścisz uczonym uchodźcom. – Ta droga stoi przed nami otworem.

Czy o mnie też im opowiesz? Czy będziesz mogła przynajmniej posłużyć się moim przykładem jako ciekawostką, konkretnym przypadkiem rzucającym światło albo cień na nowe doświadczenie pionierskiego życia w otoczeniu pradawnych gór?

Muszę jechać. Tej nocy. Teraz. Może do Katamonu, zapukać do drzwi Antoine'a i błagać go na wszystkie świętości. Zaklinać na dusze jego i moich dzieci. Albo nie do Katamonu, tylko do Hajfy i kibuców w dolinie. Czy mój czas już minął? Czy deszczowi i wiatrom tym razem chodzi o mnie? Dzwon w koszarach Schnellera bije raz, drugi i cichnie. Siedzę otulony szarym flanelowym szlafrokiem i piszę do Ciebie przy świetle lampy naftowej. Muszę się ubrać i jechać. Jest droga. Stoi otworem. Szczęśliwy, który czeka, przybędzie i ujrzy, powiada pan Nechamkin. Kto czeka, ten nie przybędzie, drogi panie, przybędą ci, którzy idą. Dokąd przybędą. Jest droga, trzeba wstać i iść. Sam nie wiem, co to za droga, Mino, ale przecież urodził nam się syn, który będzie mógł w nią wyruszyć. Pisze do Ciebie zmęczony i chory człowiek. Musi sobie zrobić zastrzyk, połknąć tabletki i wrócić spokojnie do łóżka. W czterech językach wyryto napis na portalu kościoła w dzielnicy Wiednia, gdzie spędziłem dzieciństwo. W czterech językach zapewniał on każdą kobietę i mężczyznę, że jest droga powrotna. To kłamstwo, powiadam Ci, wierutne kłamstwo.

Muszę jechać. Nie teraz, nocą, tylko jutro rano. Pojadę na Górę Skopus i zawiadomię Duszkina, tak jak obiecałem, że mój stan się pogorszył. Nie mnie dokazać w Jerozolimie małego cudu, odmienić serce doktora Mahdiego albo dokonać odkrycia, które gruntownie zmieni sytuację militarną. „Księżyc nad głową i rosa u stóp, tam Bet Alfa, a Nahalal tu”, śpiewają nad ranem w audycji Hagany na falach krótkich. Ale na ulicy Malachiasza wierzchołki drzew szarzeją w słabej poświacie brudnego świtu i deszcz nie ustaje. Jak już wspominałem, to ostatnie dni. Ty mnie wzięłaś, wykorzystawałaś i odłożyłaś na miejsce. Pewnego dnia wrócisz do Jerozolimy jako sławna pani profesor, kładąca podwaliny pod nową dziedzinę nauki. Przywiesz z sobą do młodego państwa hebrajskiego najświeższe metody

---

<sup>17</sup> Psalm 115.17.

badawcze. Moja śmierć też może zostanie Ci poczytana na korzyść. Moje nazwisko trafi może kiedyś przez pomyłkę na listę ofiar wojny i ludzie będą szeptać za Twoimi plecami, że profesor Oswald złożyła krajowi ofiarę ze swojej młodości, wiedeńskiego uczonego, wyjątkowego człowieka. Jerozolima wystąpi poza mury i stanie się wielkim miastem. Starcy i staruszki będą siedzieć na jej ulicach, w jej bramy nigdy nie wstąpi wróg, jak obiecywał mój sąsiad poeta. Będą tu szerokie bulwary. Będą tramwaje łączące z sobą przedmieścia. Wyrosną pałace i wieże. Może puszczą tędy rzekę, a nad nią rozepną mosty. Będzie to piękne, spokojne miasto. Skończę już – Twój kochający – i wrócę do łóżka. Na tym kończy się zapis tu i teraz. Świadek jest wolny. Ma nadzieję, że kiedyś to miejsce, czas i świadek dostąpią przebaczenia. Może w tęsknocie Uriego. Spokojnej nocy. Będzie dobrze.

1975

*Wzgórze Złej Rady* to zbiór trzech niepublikowanych do tej pory w Polsce opowiadań wybitnego izraelskiego pisarza, od dawna uznawanego za kandydata do literackiej Nagrody Nobla.

Tłem utworów jest Jerozolima lat czterdziestych, czasów dzieciństwa Amosa Oza – miasto kamiennych domów, magicznych zaułków i osadników przybyłych tu ze wszystkich stron świata. Brytyjska okupacja dobiega końca, wkrótce Żydzi proklamują powstanie własnego państwa i będą toczyć dramatyczną walkę o niepodległość. Tymczasem w cieniu nadciągających wydarzeń rozgrywają się małe i wielkie tragedie mieszkańców Jerozolimy.

Łącząc literacką fikcję z faktami historycznymi, autor genialnie przedstawia pełną napięcia atmosferę miasta oraz nadzieje i obawy jerozolimczyków w przededniu wielkiego zwrotu dziejowego.